

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

• Sebastian Kawa:
**Polskie
szybownictwo
umiera**
► 32

• Przez migrantów robi się
niebezpiecznie? • Mazzini: Tusk
naśladuje Londyn i Brukselę
• Sekrety autora książek o arabskich
modelkach i stewardesach



**WYSOKIE
OBCASY**
**Czemu
nastolatki
uciekają z domu**

FOT. ARCHIWUM SEBASTIANA KAWY



MAGAZYN

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Dawid Podsiadło

Dziś kulturę
przeżywamy
samotnie.
Nie chcę tak

► 22

FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

WYBORCZA

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 048908



**Dobrze, że Sikorski
go nie zburzył**
Sekretne miejsca
Pałacu Kultury ► 18

**Poznałem
geja,**
który ubiera
papieży ► 30

**Drugi
tata**
Koziołka
Matołka ► 43



FOT. PAP/ JACEK BEDNARCZYK

**Bruce
Springsteen**
groźniejszy niż
Taylor Swift ► 11

Agnieszka Kublik



Nigdy nie będziesz jak Barbie

Na rynku pojawiła się Barbie z cukrzycą typu 1. W serwisach społecznościowych ekscytacja, a ja marudzę. Producent Barbie od dawna przekonuje, że „pragnie reprezentować wszystkich”. Że „stara się pokazać dziewczynom, że mogą zostać kimkolwiek chcą, poprzez szereg karier tradycyjnie przypisywanych mężczyznom”. O tak, mogą, o ile spełnią wymyślony w połowie XX w. ideał kobiecej urody, który szkodzi kobietom i mężczyznom. Barbie jaka jest, każdy widzi: chuda, wysoka, o wąskiej talii. XXI wiek, a tych kilka nierealnych wymiarów jednej z najlepiej sprzedających się zabawek kształtuje wyobraźnię dziewczyny. Ale czy da się być jak Barbie? Sprawdzono to naukowo. W 2013 r. Nickolay Lamm, grafik i analityk, porównał Barbie z ciałem przeciętnej amerykańskiej 19-latk.

Strażaczka, kosmonautka, prezydentka, pilotka, paleontolożka – dziewczynki mogą zostać, kim chcą, o ile spełnią wymyślony wiek ideał urody

Barbie jest w skali 1/6, więc w naturze miałyby 175 cm. Nogi „dużej” Barbie są o 50 proc. dłuższe od rąk – u prawdziwej młodej kobiety różnica wynosi 20 proc. Talia Barbie to 40-45 cm, mniej niż obwód jej głowy. W jej w brzuchu zmieściłoby się kilkadziesiąt centymetrów jelita – człowiek ma go 5-6 m. Kostka Barbie ma obwód 15 cm, przeciętnej dziewczyny – 20-23 cm. Barbie ma stopę w dziecięcym rozmiarze. Taka kostka nie wytrzymałaby obciążenia ciała. Głowa Barbie ma obwód ponad 55 cm. Głowa 19-latk – około 51. Szyja Barbie jest prawie dwa razy dłuższa i ma 23 cm obwodu, szyja prawdziwa – około 38. Własna głowa złamałaby łalce kark. Nadgarstek Barbie ma obwód niecałe 9 cm, nastolatki 15-18. Mimo – czy raczej za ich sprawą – tych wymiarów stała się obiektem pożądania kobiet. Właścicielki tej lalki marzą o ciecie Barbie i wpadają w kompleksy. Spada im samoocena. Czasami prowadzi to do zaburzeń odżywiania, z anoreksją włącznie. Producent lalki, świadom tych problemów, zaczął wytwarzać Barbie o trzech różnych sylwetkach – wysokiej, drobnej i krągłej. Ale cóż z tego, skoro wszystkie nadal mają świetne figury, chodzą w mini i na obcasach. A pomyśl i tak nie wypalił, dziewczynki wołały Barbie oryginalną, czyli nienaturalną. Trzeba oddać zabawkowej korporacji, że się stara i nie podaje. Przed Barbie z cukrzycą typu 1 były lalki na wózku inwalidzkim, z protezą i zespołem Downa. Tylko że – tak, zgadliście – wszystkie wysokie, szczupłe i piękne. Czepiam się? Wcale nie. Oprócz tego, że bywa osobą z niepełnosprawnością, Barbie wykonuje również wiele zawodów, demonstrując dziewczynom, że nadają się do nauki, eksploracji czy polityki równie dobrze, co chłopaki. Na rynku są strażaczka, farmerka, kosmonautka, prezydentka, pilotka czy paleontolożka. Ale zgadnijcie, jak wyglądają. Najwidoczniej nie wystarczy być kompetentną, pracowitą i odważną. Chcesz, skarbie, zrealizować się – lepiej, byś wyglądała jak Barbie. ●

Andrzej rysuje



Małopolska, Bukowno
Nie obwodnica, a podwodnica



Obwodnicę Bolesławia za 7,5 mln rząd PiS podawał jako przykład troski o małe miejscowości. Dziury pojawiły się tuż po otwarciu, a w nich woda. Okazało się, że pokopalniany teren sklasyfikowano jako niezdatny do budowy i zagrożony zalaniem. „Zalew Bolesławicki” staje się atrakcją turystyczną, a ogólnopolski rozgłos zapewniła mu kąpiel Dariusza Brzeskiego, który wędruje po Polsce z gęsią, kaczoorem i psem. **Więcej ► Krakow.wyborcza.pl**

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata czytaj teraz na wyborcza.pl

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU i bądź na bieżąco przez cały weekend*

5FS2BV1

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 19-20.07.2025 r.

Cytat tygodnia

Nie powinni jechać w wysokie góry ludzie, którzy wierzą, że na 100 procent wrócą. To upuszczanie rodziny w bajer



WALDEMAR KOWALEWSKI
enfant terrible polskiego himalaizmu, właśnie uratowany z lawiny na Broad Peak
Więcej ► Wyborcza.pl/sport

Eotephradactylus mcintireae
Ta mewa nie sępi okruszków

Naukowcy odkryli najstarszego znanego pterozaura Ameryki Północnej, który żył obok dinozaurów i był pierwszym kręgowcem, u którego rozwinął się lot napędzany. Park Narodowy Skamieniałego Lasu słynie z triasowych złóż skamieniałości i kolorowych złóż skamieniałego drewna. 14 lat temu zespół geologa Kay’a Behrensmeyera z Narodowego Muzeum Historii Naturalnej zaczął szukać tam skamieniałości prehistorycznych prekursorów ssaków. A znalazł cały ekosystem triasowy, wykluwający się około 200 mln lat temu po rozpadzie superkontynentu Pangea, który zmienił globalny klimat i wyniszczył 75 proc. gatunków. Skamieniałości pokazują, że starsze grupy zwierząt, w tym olbrzymie płazy i krewni krokodyli pancernych, żyły obok ewolucyjnych nowicjuszy, takich jak żaby i żółwie. Oraz pterozaurowie – najcenniejszym odkryciem w Ari-



zonie jest nowy gatunek skrzydlatego gada. Miał rozmiar mewy, mógłby usiąść człowiekowi na ramieniu, żywił się rybami, z których wiele było pokrytych łuskami przypominającymi pancerz. Niezwykłą skamielinę odkryła Suzanne McIntire, która przez 18 lat pracowała jako wolontariuszka w muzeum. Łacińska nazwa nowego pterozaura oznacza „boginię świtu o skrzydłach jesionu” i nawiązuje do popiołu wulkanicznego w tej okolicy oraz położenia gatunku w pobliżu podstawy drzewa ewolucyjnego pterozaurów. **• Więcej w tekście Margit Kos-sobudzkiej ► Wyborcza.pl/nauka**

Liczba tygodnia

200

MILIONÓW
ZŁOTYCH

z KPO wspomoże rozbudowę systemu EZD RP, czyli elektronicznego obiegu dokumentów w administracji centralnej i samorządowej. Z systemu korzysta 50 tys. urzędników, ma korzystać 250 tys. Resort cyfryzacji chce wspomóc małe samorządy, których nie stać na zespoły informatyków. Nie zabraknie nowinki, czyli AI. PLLuM, „polski ChatGPT”, wspomóc urzędników w tworzeniu pism. Podadzą AI kluczowe dane, a ona przygotuje np. odpowiedź na wniosek.

• Więcej ► Wyborcza.biz



Czemu nikt nic nie robi z Braunem

Rząd jak Burbonowie

Dla służb i policji zwalczanie prawicowego ekstremizmu nie jest priorytetem

Pankowski

Z PROF. **RAFAŁEM PANKOWSKIM**
ROZMAWIA **PAWEŁ**
MARCINKIEWICZ

Na granicy polsko-niemieckiej gromadzą się z jednej strony obecni na stadionowych ustawkach chuligani, z drugiej seniorzy z Klubów Gazety Polskiej. Na pierwszy rzut oka to kolejna odsłona typowego mobilizowania tradycyjnych – migranci i Niemcy – prawicowych emocji. Ale różnorodność tego zestawu każe zadać pytanie, czy nie mamy do czynienia w jakimś sensie z nowym, a przez to niebezpiecznym zjawiskiem?
– Dotknął pan sedna sprawy. Zjawisko jest jednocześnie nowe i nienowe.

Nowe nie są manifestujący się przy różnych okazjach nacjonalizm oraz istnienie w społeczeństwie skrajnej prawicy. Kluby Gazety Polskiej i skrajnie prawicowe bojówki spotykały się już pod jednym sztandarem, chociażby na Marszach Niepodległości. Ale teraz patrole przygraniczne nie są tylko demonstracją tak zwanej dumy narodowej, tylko mają na celu kreowanie atmosfery strachu, z groźbą użycia przemocy fizycznej właśnie.

Nowa jest skala tych akcji, które odbywają się nie tylko na granicy, ale i w wielu miastach Polski. Samozwańcze patrole uzurpują sobie funkcje zastrzeżone dla instytucji państwa. Sami wywołują poczucie zagrożenia wśród osób, które mieszkają w regionie przygranicznym albo wjeżdżają na terytorium Polski i ze zdumieniem obserwują, że w sercu Europy operują jakieś umundurowane, samozwańcze bojówki przy bierności instytucji państwowych.

Nowa jest też skala tak otwarcie wyrażanego rasizmu. Propaganda ksenofobiczna pierwszy raz na większą skalę pojawiła się we współczesnej Polsce w ustach prawicowych polityków i na łamach mediów w 2015 roku, kiedy na południu i zachodzie Europy zapanował kryzys migracyjny, związany między innymi z wojną domową w Syrii.

Wtedy najczęściej padały demagogiczne argumenty o różnicach kulturowych, islamie, który miałby zagrażać polskiej, katolickiej tożsamości. W tym roku jest inaczej – mamy przede wszystkim do czynienia z demonizowaniem osób o ciemniejszej kolorze skóry, budowaniem poczucia zagrożenia w związku z samym ich wyglądem. Politycy i prawicowi działacze publikują zdjęcia osób o ciemniejszym kolorze skóry na ulicach polskich miast. Ich obecność ma świadczyć o zagrożeniu dla polskości. To już nie tylko ksenofobia, a wprost rasizm.

PiS – partia kiedyś raczej umiarkowanie prawicowa, pozwalająca niektórym w swoich szeregach na radykalne wysoki, ale hamująca się w realnej polityce – mówi często głośniej i ostrzej o niebezpieczeństwie na granicy niż chociażby Konfederacja. To wydaje się wyjątkowo groźne, bo prawica głównego nurtu, chcąc odebrać tlen radykalnej konkurencji, sprawia, że ksenofobia i rasizm wchodzą z futryną do politycznego mainstreamu.

– Widziałem właśnie wpis Jacka Sasina, polityka w typie partyjnego funkcjo-

nariusza, niekojarzonego dotąd z propagowaniem rasizmu. Wrzucił zdjęcie czarnoskórego mężczyzny na ulicach Łomży, dodając: „Podlaskie mówi dość!”.

PiS u swoich początków w 2001 r. był dość klasyczną, centroprawicową konserwatywną formacją. Przez lata się radykalizował i teraz zdarza się, że wyraża się w sposób bardziej radykalny od Konfederacji. W 2023 roku Mateusz Morawiecki wstawił spot wyborczy z obrazem czarnoskórego mężczyzny z nożem w zębach. To było granie na najbardziej prymitywnych instynktach. Strategia, która sięga do najbardziej mrocznych pokładów ksenofobii i rasizmu.

Właśnie. Jak to jest, czy PiS celnie wyczuł ideologiczny skręt Polaków i cynicznie go wykorzystał, czy obudził w ludziach cechy, których dotąd się wstydzili?

– To sprzężenie zwrotne. Politycy z jednej strony patrzą na badania opinii publicznej, a z drugiej sami kreują te postawy. Przywódcy polityczni cieszący się dużym autorytetem wpływają na postrzeganie świata przez ich zwolników. Legitymizują pewne poglądy, dotąd uznawane za skrajne czy obrzydliwe, jak otwarta ksenofobia czy rasizm.

W 2015 roku, w którym PiS przejął władzę, pod wpływem ksenofobicznej kampanii wyborczej gwałtownie wzrósł odsetek osób deklarujących sprzeciw wobec przyjmowania uchodźców, uciekających przed wojną.

Podobnie jest dziś: to właśnie politycy nakręcają nastroje antyukraińskie.

To ja sięgnę jeszcze trochę głębiej. Czy państwo polskie wyciągnęło wnioski zarówno z roku 2015, jak i z 2011 czy 2012, gdy rodziła się dziś kilkuset tysięczna siła Marszu Niepodległości? Czy rządzący umieją reagować na tłący się nacjonalizm i dusić go w zarodku?

– To pytanie retoryczne. Cofnijmy się jeszcze dalej. Liberalny establishment w latach 90. uważał, że ekstremizm i nacjonalizm to zjawiska, które znikną razem z pokoleniem, które pamięta czasy przedwojenne. Nowe pokolenia, wychowane już w demokratycznej, wolnej Polsce miały być bardziej tolerancyjne, otwarte na świat. Stało się coś zupełnie odwrotnego. Doszło do międzypokoleniowej transmisji radykalnego nacjonalizmu. Państwo od wielu lat nie radzi sobie z tym wyzwaniem, mamy od dawna do czynienia z tchórzostwem klasy politycznej. Wyjątkiem od tej reguły był Jacek Kuroń, który nie bał się wprost mówić o tym, że neofaszyzm może być zagrożeniem.

Dziś jest podobnie – państwo praktycznie nie reaguje na obecność bojówek Bąkiewicza na granicy czy na to, co wydarzyło się ostatnio w Jedwabnem, gdzie Braun ze swoimi zwolennikami zakłócał uroczystości, wznosił hasła antysemitckie, blokował samochód uczestników uroczystości upamiętniających ofiary pogromu. Policja w oświadczeniu wydanym już po fakcie nie zająknęła się ani słowem o antysemitckich okrzykach. To polityka notorycznego chowania głowy w piasek. A mieliśmy nadzieję, że po wyborach w 2023 roku coś jednak się zmieni.

Szczególnie że informacje o organizowaniu ludzi na granicy przez Bąkiewicza nie były żadną tajemnicą. Co państwo mogło zrobić, by nie dopuścić do eskalacji tego konfliktu? Może użyć służb specjalnych?

– Nie są potrzebne żadne specjalne środki do zebrania powszechnie dostępnych informacji, te akcje były organizowane na powierzchni.

Absolutnym minimum, wymaganym od państwa, jest to, by konsekwentnie egzekwowało prawo. Artykuł 13. konstytucji, o którym chyba wszyscy zapomnieli, mówi o tym, że działalność polegająca na szerzeniu nienawiści narodowej i rasowej jest przestępstwem.

Może część ludzi ze służb specjalnych czy policji też zapomniiała? Czy to możliwe, że są bardziej wyrozumiali, bo sami lubują się w wizji silnego państwa albo wręcz mają nacjonalistyczne poglądy? Przypominają mi się tajniacy prowokujący uczestniczki i uczestników Strajków Kobiet.

– Żadna tajemnica, że tam są ludzie, którzy w jakiejś mierze sympatyzują z antydemokratycznymi ideologiami, które mają za zadanie monitorować i zwalczać. Tym można czasem tłumaczyć nieudolność różnych organów w radzeniu sobie z tego typu zagrożeniami. Nieprzypadkowo w ośrodkach wojskowych wygrywają Mentzen i Braun.

Do okiełznania prawicowych radykałów nie są potrzebne służby specjalne. Oni organizują się na powierzchni, nie w ukryciu, Wystarczy egzekwować artykuł 13 konstytucji

Widać wyraźną różnicę w tym, jak różne instytucje państwa traktują imprezy nacjonalistów, wobec których są bardzo nieśmiałe, a tym, jak traktowano ludzi podczas Strajków Kobiet czy pikiet Ostatniego Pokolenia. W przypadku nacjonalistów to często wygląda tak, jak ostatnio w Jedwabnem, gdy policjant stał i nie śmiał przerwać antysemitckiej tyrady Brauna. To symboliczny obrazek. Zwalczanie nacjonalizmu nie jest dla nich priorytetem.

Dlaczego polska szkoła nie potrafi przeciwdziałać mowie nienawiści?

– Na pewno warto się przyjrzeć, jakie treści do głów wtłaczają dzieciom katecheci. I czy one nie są bardziej podobne do homilii biskupów Meringa czy Jędraszewskiego niż Tischnera czy świętego Franciszka. To odbywa się w murach szkoły, za publiczne pieniądze. Do tego prawie codziennie dostajemy sygnały od rodziców uczniów pochodzenia ukraińskiego. Rówieśnicy szykanują ich dzieci. Polska szkoła z tym sobie nie radzi.

A co najważniejsze – zrezygnowała z przekazywania wartości. Powinna uczyć weryfikowania treści, sprawdzania i przesiewania informacji, któ-

re można znaleźć w internecie. Weźmy historię. Uczniowie powinni wyciągać wnioski, mieć refleksje na temat teraźniejszości, a nie tylko uczyć się dat bitew i list ważnych nazwisk. Polska szkoła jako instytucja jest strukturą skostniałą, nie uczy krytycznego myślenia, które młodemu człowiekowi pozwoliłoby krytycznie spojrzeć na treści Brauna czy Mentzena na TikToku.

Mam wrażenie, że staramy się tworzyć szkołę przezroczystą, w strachu przed obiema stronami sporu politycznego, które wzajemnie oskarżają się o próbę indoktrynacji uczniów.

– Nie wszystkie ideologie są równie uprawnione. Mamy rasizm i antyrasizm, faszyzm i antyfaszyzm. W tych elementarnych aspektach szkoła nie może być neutralna. Neutralność wychowuje do obojętności i cynizmu.

To w pewnym sensie odpowiedź na pytanie o przyczyny poparcia dla skrajnej prawicy, która żeruje na kryzysie wartości wśród młodych ludzi, pogardzie dla drugiego człowieka ze względu na kolor skóry czy orientację seksualną. O sile ideologicznej presji świadczy wycofanie się rakiem z obligatoryjnego przedmiotu edukacji zdrowotnej, która nie powinna budzić kontrowersji. Skrajnie prawicowa krucjata skłoniła władzę do rezygnacji z oczywistego, pozytecznego postulatu.

Równie ważna jest edukacja nieformalna, poza szkołą – na stadionie, koncercie, w grupie rówieśników. To duża rola kultury popularnej. Chociażby wtedy, gdy Robert Lewandowski i Iga Świątek wypowiadają się o solidarności z uchodźcami z Ukrainy. Szczególnie wtedy, gdy skrajna prawica robi własną edukację. organizuje obozy dla dzieciaków od 14. roku życia, z nauką strzelania właśnie!

No i trzeba potraktować naprawdę serio platformy społecznościowe, które stały się kluczową przestrzenią socjalizacji, kształtowania postaw i zdobywania informacji. Olbrzymim grzechem tego rządu była opieszałość w realizacji DSA – europejskiego Aktu o usługach cyfrowych. Jesteśmy jednym z kilku krajów w Unii, które trzeba było dyscyplinować, by wprowadziły u siebie ten akt. A on przecież dotyczy między innymi tego, jak radzić sobie w internecie z mową nienawiści. Na przykład w wykonaniu bota Muska – konwersacyjnego modelu językowego Grok, celowo pozbawionego hamulców i bezpieczników – na platformie X.

Polska powinna być w awangardzie, a nie w ogonie wdrażania DSA, choćby z uwagi na to, że dezinformację kreuje propaganda putinowska. ●



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Rafał Pankowski

• urodzony w 1976 roku, socjolog kultury, politolog, profesor Collegium Civitas, współzałożyciel Stowarzyszenia NIGDY WIĘCEJ. Autor książek „Gdzie kończy się patriotyzm...: z dziejów polskich grup faszystujących 1922-1992”, „Neofaszyzm w Europie Zachodniej: zarys ideologii”, „Rasizm a kultura popularna”.

Do czego może odwołać się atrakcyjna edukacja obywatelska? Jakiego błędów popełnia Tusk? Cała rozmowa na Wyborcza.pl/magazyn

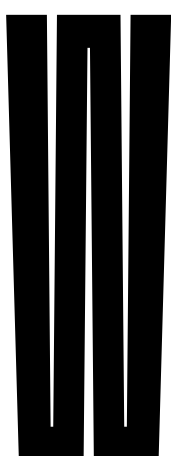


Przez migrantów jest niebezpieczniej? Sprawdzamy

DLACZEGO POLAK *boi się migranta*

Jak oszacować przestępczość wśród migrantów,
jeśli nie bardzo wiadomo, ilu w ogóle w Polsce mieszka cudzoziemców

Kamil Fejfer



W ostatnim czasie Polskę wstrząsnęły dwie zbrodnie. Jedną było podwójne zabójstwo dokonane w Starej Wsi koło Limanowej przez 57-letniego Tadeusza Dudę. Mężczyzna z zemsty zastrzelił córkę i zięcia. Świadek, brat zamordowanego, opowiadał, że sprawca mierzył do kobiety, kiedy uciekała z dzieckiem na rękach. Drugą zbrodnią był napad na 24-letnią Klaudię. Doktorantka na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika wracała w nocy z pracy przez park, gdy zaatakował ją 19-letni Wenezuelec. Zadał jej kilkanaście ciosów ostrym narzędziem w głowę i szyję. Prokuratura nie wyklucza motywu seksualnego. Napastnika przepłoszył mężczyzna, który, słysząc krzyki, wybiegł z mieszkania. Lekarze kilkanaście dni walczyli o życie dziewczyny, bezskutecznie.

Dwie okropne zbrodnie, jednak tylko jedna z nich trąciła w społeczeństwie jakąś strunę.

Nie jest to dziwne – w przypadku bulwersujących zdarzeń mamy tendencję do uproszczonych sposobów interpretacji świata. Ale takie pospieszne myślenie może nas sprowadzić na manowce. Tak, jak zapewne sprowadziło niektórych przejętych uczestników marszu milczenia podczas pogrzebu torunianki. – Rządzący mają krew na rękach, stop nielegalnym imigrantom – można było usłyszeć od ludzi wcale nie w typie kibola czy narodowca z Ruchu Obrony Granic. Z tłumu „normalistów” pod biało-czerwonymi flagami padały wręcz hasła groźniejsze, w rodzaju „śmierć za śmierć”.

Oczywiście na zbrodnie takie, jak ta Wenezuelczyka nie można zamykać oczu. Zamiatanie pod dywan spraw kryminalnych związanych z obcokrajowcami, nieformalny ban na medialne relacje odnoszące się do przestępczości migrantów jest złym pomysłem.

Po pierwsze – szkodzi ofiarom. Kiedy przemilczamy takie zdarzenia, ofiary i ich rodziny mogą się czuć podwójnie poszkodowane.

Po drugie – rodzą celowej ślepoty może prowadzić do narastania proble-

mów, które w przyszłości będzie znacznie trudniej opanować.

Ale właśnie dlatego należy wszystko to relacjonować w sposób systematyczny i – jak brutalnie by to brzmiało w takich okolicznościach – chłodny. Żeby nie podsycać niechęci do migrantów, którzy będą w coraz większym stopniu częścią naszej codzienności. Przyszłość naszego kraju jest, no cóż, multi-kulti. To przyszłość, w której obok nas będzie mieszkając znacznie więcej cudzoziemców niż obecnie.

• Nasze społeczeństwo się starzeje – to banal, który słyszymy od lat. Rządziej się mówi, co to dokładnie znaczy. Z prognozy demograficznej GUS wynika, że do 2050 roku będzie nas nie ponad 37 milionów jak obecnie, ale 30 milionów. Zapewne zaś jeszcze mniej, bo od kilku lat mamy jeszcze niższy wskaźnik dzietności niż najniższy prognozowany przez GUS w raporcie z 2022 roku. To znaczy, że liczba osób w wieku produkcyjnym spadnie z obecnych 22 milionów do niecałych 16. A w tej prognozie GUS i tak zaszył już migrację!

Coraz więcej osób odchodzi na emeryturę, coraz mniej wchodzi na rynek

pracy – obecne historycznie niskie bezrobocie nie jest osiągnięciem przemysłowej polityki tego czy innego rządu, ale wynikiem tego procesu.

Kiepska demografia oznacza, że będziemy tracić przewagę nad krajami starej Europy, spadnie i tak niezbyt imponująca innowacyjność, a rosnące wolniej niż wcześniej przychody państwo będzie przekierowywało w coraz większym stopniu na potrzeby seniorów, zwłaszcza na zdrowie i emerytury.

Z symulacji ZUS wynika, że jeżeli chcielibyśmy w roku 2034 utrzymać obecną proporcję osób w wieku produkcyjnym do osób w wieku emerytalnym, musielibyśmy przez raptem 9 lat przyjąć aż 3 miliony migrantów.

ZUS-owska prognoza nie uwzględnia zwiększenia wydajności czy rozwoju sztucznej inteligencji, która przejmie część zadań i w usługach, i w przemyśle. Ale to nie rozwiąże problemu zupełnie. Migranci i tak będą nam potrzebni w sporej liczbie.

• Jak więc jest z tą przestępczością cudzoziemców? Czy naprawdę mamy do czynienia z jej wzrostem w 2024 roku, pierwszym roku rządu Koalicji 15 Października, w którym – jak stwier-



dził Mateusz Morawiecki kilka tygodni temu na antenie Radia RMF FM – „Niemcy wcisnęli do nas 10 tysięcy migrantów”? Rzecz jasna z sugestią, że nie to, co wcześniej, za strzegących granic i bezpieczeństwa obywateli rządów PiS.

Spoiler: w najlepszym wypadku to konfabulacja. Ale zacznijmy od spojrzenia z wysoka, czyli od tego, jak to w ogóle jest z tymi obcokrajowcami w Polsce.

Na dobrą sprawę nikt nie wie, ilu w Polsce mieszka cudzoziemców. Wynika to nie tylko z niedbalstwa polskich służb, lecz głównie z faktu, że migrantów się po prostu trudno liczy.

Choćby dlatego, że wiele osób przekracza nielegalnie polską granicę, ale jedzie dalej. Jeszcze więcej legalnie mieszka tu kilka tygodni albo miesięcy i wraca do ojczyzny, na przykład do Białorusi albo Ukrainy, aby po jakimś czasie znowu przyjechać tu zarabiać.

Polski Instytut Ekonomiczny latem ub.r. szacował liczbę obcokrajowców w Polsce na mniej więcej 2,5 miliona. Podobnymi przybliżeniami posługuje się również rząd. Warsaw Enterprise Institute mówi jednak nawet o 3,5–4 milionach osób.

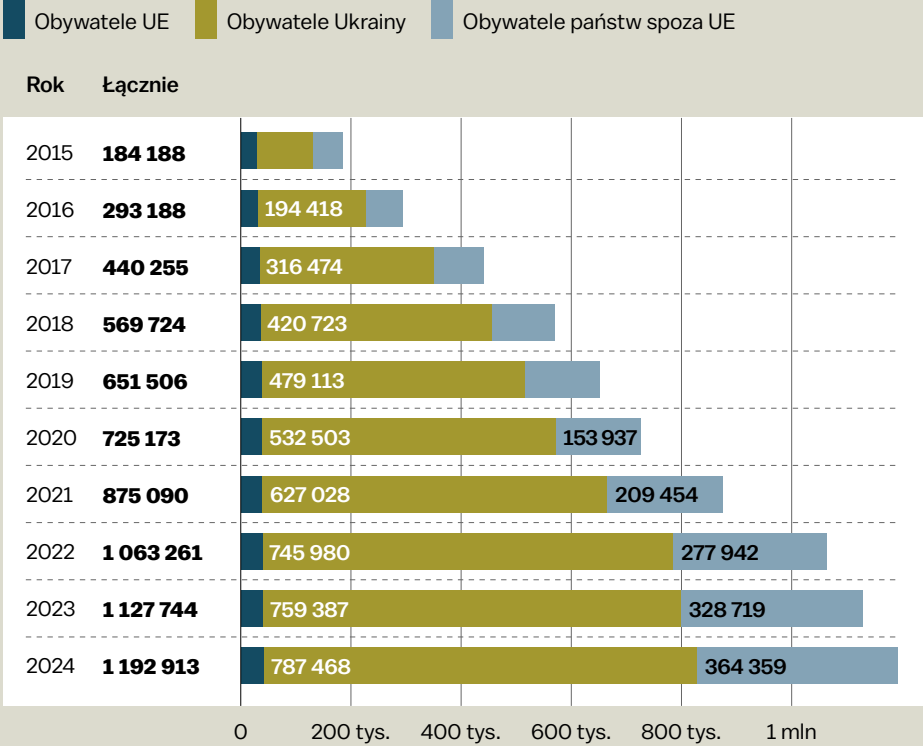
Innymi szacunkami dysponuje Zakład Ubezpieczeń Społecznych, który przedstawia nie liczbę wszystkich migrantów, ale tych, którzy odprowadzają składki, a więc są legalnie zatrudnieni. W 2024 roku było ich około 1,2 miliona. Resztę stanowią bezrobotni, osoby zatrudnione na czarno, osoby nieaktywne zawodowo (niepracujące i nieposzukujące pracy) oraz dzieci.

Dla porównania, w 2015 roku w Polsce było zatrudnionych legalnie niecałe 200 tysięcy osób. Przez dekadę przybył nam więc milion osób pracujących bez polskiego paszportu. Od tego czasu znacznie wzrosła też liczba cudzoziemców podejrzanych o popełnienie przestępstw.

Policja udostępniła mi dane na temat przestępczości migrantów od 2020 roku. I tak po kolei: w 2020 r. podejrzanych było 9351; w 2021 r. – 11 708; w 2022 r. – 15 861; w 2023r. – 17 294; w 2024 r. – 16 437. A więc jest odwrotnie, niż stwierdził

Zmiana liczby cudzoziemców zgłoszonych do ubezpieczeń emerytalnego i rentowych według kraju obywatelstwa

Stan na koniec roku

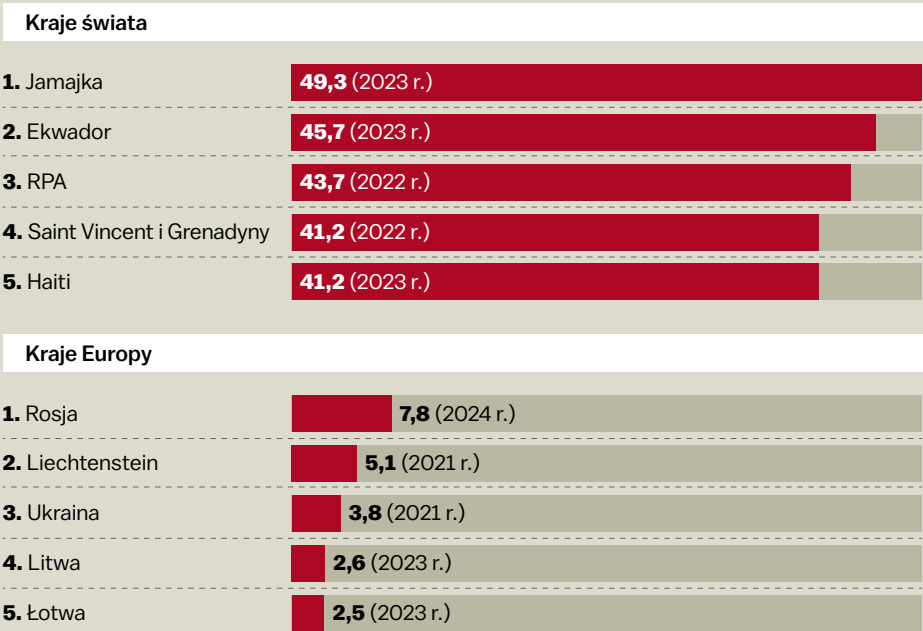


© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: ZUS

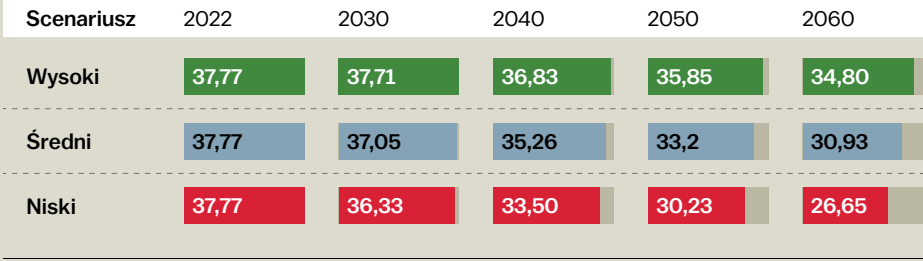
Kraje z najwyższym współczynnikiem zabójstw

Roczna liczba zabójstw na 100 tys. osób



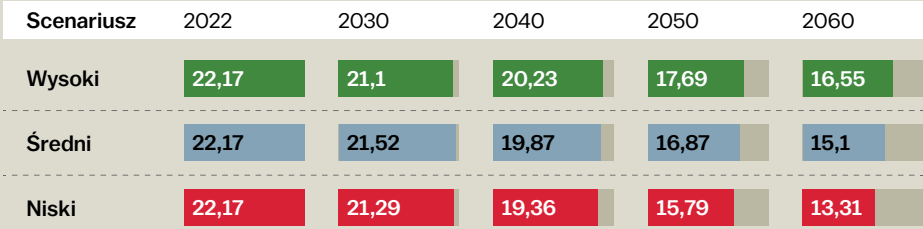
Liczba ludności Polski według trzech scenariuszy w wybranych latach

Dane w mln. Liczba ludności w 2022 r. to dane rzeczywiste GUS



Liczba osób w wieku produkcyjnym według trzech scenariuszy w wybranych latach

Dane w mln. Liczba osób w wieku produkcyjnym w 2022 r. to dane rzeczywiste GUS



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO OBU WYKRESÓW: GUS

◀ **Granica polsko-niemiecka. Przejście w Rosówku (woj. zachodniopomorskie). Ochotniczy obywatelski patrol, który pilnuje granicy przed „rzekomym” napływem z Niemiec nielegalnych imigrantów (6.07.2025)**

FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Po wejściu do UE „stara” Europa otworzyła się na polskich pracowników, zwłaszcza fizycznych, w dużej mierze młodych i w średnim wieku mężczyzn, również bez wykształcenia, ze środowisk traumatyzowanych i zaniedbanych społeczne. A więc wyeksportowaliśmy część najbardziej „ryzykownej” grupy

Morawiecki – liczba podejrzanych w 2024 roku spadła, a nie wzrosła.

Używając pokrętnej logiki – przecież sam były premier się do niej uciekł, oszczędnie gospodarując prawdą – można by stwierdzić, że skoro przez niemiecką granicę są przerzucani migranci (i to w dużych liczbach), a jednocześnie spada przestępczość, to być może napływ cudzoziemców sprzyja spadkowi przestępczości!

Absurd? Oczywiście. Ale nie mniej – niż konfabulacje niedoszłego następcy Jarosława Kaczyńskiego.

Rzeczywiście migranci popełniają coraz więcej przestępstw. Nie ma co do tego wątpliwości. Wynika to jednak z prostej mechaniki społecznej. Rośnie liczba ludności – rośnie przestępczość.

Tak samo jak rośnie liczba innych zjawisk, od wypadków drogowych po ciążę czy rozwody. Im więcej ludzi, tym większe prawdopodobieństwo, że wystąpi takie czy inne życiowe zdarzenie. W dużych grupach ludzi zawsze znajdą się ci, którzy będą z premedytacją, nie chcący lub pod wpływem impulsu łamać prawo. Jeżeli do kraju wróciliby z migracji Polacy, również wzrosłaby liczba osób podejrzanych.

Jedynym sposobem na uniknięcie przestępstw popełnianych przez cudzoziemców jest zupełne zamknięcie się na migrację – czyli pełne zamknięcie granic dla wszystkich, włącznie z europejskimi turystami i ekspatami (przecież, by przywołać głośną medialnie sprawę, muzyk popularnego zespołu Noir Desire, który śmiertelnie pobił w Wilnie swoją dziewczynę, był rodowitym białym Francuzem) – oraz relegowanie wszystkich osób, które nie mają polskiego paszportu.

Nawet gdyby wybory w 2027 roku miażdżąco wygrały Konfederacja z Koroną Polską, rząd Grzegorza Brauna, Krzysztofa Bosaka i Roberta Bąkiewicza nie zamknąłby granic. To byłaby katastrofa wizerunkowa, gospodarcza – od upadku turystyki oraz usług i produkcji po retorsje innych państw – i upodobnienie się do komunistycznej autarkicznej Albanii pod rządami Envera Hodży. Absurd.

● To może wystarczy ich monitorować? Dobrze sprawdzać na etapie wniosku wizowego albo na wjeździe? Jakoś Amerykanie mogą prześwietlać przyjezdnych, włącznie z turystami czy studentami, nie tylko gasterbeiterów, zaglądać do komórek i na profile na socjalach. Już taki biały wywiad może sporo zdradzić. Czasem rykoszetem oberwie ktoś niewinny, a teraz skupiają się na wylapywaniu krytyków Trumpa niż potencjalnych przestępców, no ale co do zasady... Nie można tak samo? – ktoś trzeźwo zapyta.

Cóż, trzeźwo tylko pozornie. Bo, jak zwykle, to nie takie proste.

Wystarczy się chwilę zastanowić, by zrozumieć, że to postulat niemożliwy do zrealizowania. Zresztą nie trzeba się zastanawiać, zrobili to za nas gigant socjologicznego science fiction Philip K. Dick i gigant socjologicznego kina akcji Steven Spielberg. Musielibyśmy żyć w świecie z „Raportu mniejszości”, w którym grupa jasnowidzów prookuje zamiary przyszłych przestępców.

Nikt nie przewidzi, czy konkretna osoba w przyszłości popełni przestępstwo. Choć istnieją pewne korelaty, które wpływają na ryzyko popełnienia przestępstwa – na poziomie indywidualnym to m.in.: wiek, płeć (męska), popełnienie przestępstwa w przeszłości, niektóre zaburzenia osobowości (osobowość dyssocjalna) czy przemoc w rodzinie. Zawsze jednak mamy do czynienia w takich przypadkach z probabilistyką i oceną ryzyka, a nie z twardym stwierdzeniem, że ten konkretny człowiek dopuści się złamania prawa.

No ale przecież jest statystyka, analiza szacunkowa, prognozowanie, big i small data... ktos powie. Może w namierzaniu najbardziej ryzykownych grup ludzi czy wręcz jednostek pomogą sztuczna inteligencja i uczenie maszynowe. Zaangażujmy algorytmy nakarmione możliwie pełnymi statystykami oraz wiedzą socjologiczną – i po problemie, bez kłopotliwego wizerunkowo i organizacyjnie odsiewu na granicy będzie można monitorować potencjalnie niebezpieczne osoby już tu, w kraju.

Cóż, tego też próbowano i wciąż się próbuje, choćby w amerykańskim sądownictwie czy policji. Za każdym razem odkrywając ten sam – prócz filozoficznego, bo czy takie profilowanie jest etyczne? – problem.

Otóż algorytmy są tak dobre jak dane, na których je trenujemy, i tak dobre – również w sensie moralnym – jak ludzie, którzy je tworzą. Ludzie z ich stereotypami czy uprzedzeniami. Cathy O’Neil w książce „Broń matematycznej zagłady” opisała, jak algorytmy profilujące odwzorowują nie tyle prawdziwy świat (a więc realne ryzyka), ile uprzedzenia wobec pewnych grup. I jak na manowce zwodzi je statystyka.

Gdyż z niej wynika np., że ponieważ statystycznie czarni Amerykanie, zwłaszcza młodzi – jako obarczeni dziedzictwem nierówności, dyskryminacji, wykluczenia kulturowego i ekonomicznego – częściej popełniają przestępstwa, to młody czarny Amerykanin jest bardziej podejrzany niż jego biały rówieśnik. A im częściej na tej podstawie czarni Amerykanie będą przewencyjnie zatrzymywani do kontroli ujawniającej jakieś wykroczenia, tym bardziej będą pasować do statystyki i jednocześnie ją podbijać.

Bo np. policjant znajduje u młodego czarnego kierowcy marihuanę – tę samą, którą znalazłby u młodego białego kierowcy. Ale za sprawą profilowania na jednego skontrolowanego i przyłapanego białego przypadnie trzech skontrolowanych i przyłapanych czarnych... Sędziowie będą dla nich mniej pobłażliwi – bo wg statystyki prawdopodobieństwo ich recydywy jest wyższe. Algorytm uwzględni wprobabilistycie te częstsze i surowsze wyroki i mamy diabelski krąg.

● A więc każda próba oszacowania ryzyka związanego z tym czy innym pochodzeniem jest ryzykowna. Jednocześnie ryzyko to najważniejsza kategoria, którą powinniśmy się posługiwać, mapując zagrożenia – czy raczej „zagrożenia” – ze strony migrantów.

Wróćmy na chwilę do 19-letniego Yomeykerta R.S., zabójcy Klaudii. Zbrodnia bestialska, odrażająca, zasługująca na najwyższą możliwą karę. Ale czy czas i uwaga, jakie zajęła w mediach, nie tylko mocno zideologizowanych, czyli prawicowych, były współmiernie?

W Polsce w ostatniej dekadzie rocznie odnotowuje się od niespełna 500 do mniej więcej 650 morderstw rocznie.

Jeżeli każde relacjonowalibyśmy z taką intensywnością, wyszłoby na to, że Polska spływa krwią i strach po zmroku wyjść na spacer, jak w Nowym Jorku lat 70. czy Gotham City, mieście bezprawia z opowieści o Batmanie. Tymczasem od lat należymy do najbezpieczniejszych krajów świata.

Ze współczynnikiem zabójstw na poziomie 0,8 na 100 tys. mieszkańców jesteśmy bezpieczniejsi niż: Australia (0,9 na 100 tys.), Austria (0,9), Finlandia (1), Szwecja (1,1), Wielka Brytania (1,1), Słowacja (1,1), Litwa (2,6), Łotwa (2,5) i Estonia (1,5).

No to obniżmy pułap obserwacji, zejźmy na poziom detali. Weźmy odsetek Polaków podejrzanych o popełnianie przestępstw i zestawmy go z odsetkiem podejrzanych obcokrajowców.

W 2024 r. w Polsce było 290 tysięcy osób podejrzanych o popełnienie przestępstw.

***W dużych grupach ludzi
zawsze znajdują się ci, którzy
będą z premedytacją,
nie chcący lub wskutek
impulsu łamać prawo.
Jeżeli do kraju wróciliby
z migracji Polacy, również
wzrosłaby liczba osób
podejrzanych***

W tej grupie – 16,5 tysiąca obcokrajowców. To oznacza, że coś mniej lub bardziej niewłaściwego lub groźnego ma na sumieniu około 0,75 procent Polaków.

A jak wygląda ta proporcja wśród cudzoziemców?

Zakładając, że było ich 2,5 miliona, możliwi złościny to 0,65 procent tej grupy.

A jeżeli przyjmiemy – po myśli przerażonej liczbą „obcych” populistycznej i narodowej prawicy – najwyższe szacunki, czyli około 4 miliony – to wnioski będą nie po jej myśli. Bo jedynie 0,4 procent cudzoziemców było podejrzanych o łamanie prawa. Ale i w pierwszym przypadku „obcy” okazują się „mniej ryzykowni” niż „swojacy”.

Tu kłania się – musi, choć wiem, jak irytuje komplikujący wywód ich nadmiar – kolejna zmienna. Otóż przestępstwa najczęściej popełniają osoby w wieku od kilkunastu do mniej więcej 40 lat. I zazwyczaj są to mężczyźni. Ta prawidłowość jest widoczna na całym świecie. Jednocześnie osoby w tym przedziale wiekowym to też ci, którzy najczęściej migrują.

Z poprawki na ten fakt płyną dwa wnioski.

Po pierwsze, okoliczności systemowe – kultura czy dominujące wyznanie w kraju pochodzenia – mają mniejsze znaczenie niż wiek, płeć oraz uwarunkowania indywidualne w rodzaju domu rodzinnego.

A po drugie, migranci są jeszcze mniej „ryzykowni” niż Polacy – ponieważ odsetek podejrzanych wyliczono z całej grupy naszych rodaków, również tych, którzy znajdują się w wieku emerytalnym i niemal nie popełniają przestępstw.

No dobrze, być może rzeczywiście migranci popełniają mniej przestępstw, ale za to dokonują największych zbrodni? Innymi słowy, być może częściej niż Polacy dopuszczają się zabójstw?

Też pudło. Według danych policji w 2024 roku Polsce podejrzane o zabójstwo były 452 osoby. W tej grupie znalazło

się 32 obcokrajowców. Czyli około 7 procent wszystkich podejrzanych. Proporcja zgodna z całą domieszką cudzoziemców w naszym społeczeństwie.

● To jakie właściwie przestępstwa popełniają – no bo popełniają – migranci?

W udostępnionych mi statystykach najczęściej przewijają się takie kategorie: • prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu (zdecydowanie najliczniejsze), • posiadanie substancji zakazanych, • niestosowanie się do zakazu prowadzenia pojazdu po cofnięciu uprawnień, • kradzież, • bójka, • fałszerstwo dokumentów.

Innymi słowy, o bardziej reprezentatywnym niż Wenezuelczyk Yomeykraft R.S. typem przestępcy obcokrajowca jest ktoś podobny do 28-letniego Ukraińca złapanego w Opolu, którzy ukradł kilkanaście rowerów z klatek schodowych. Ewentualnie ktoś na podwójnym gazie – sprawa karygodna, ale zupełnie innego kalibru niż intencjonalne zabójstwo.

Podejźmy do sprawy jeszcze innaczej: być może dla całej grupy migrantów ryzyko popełnienia przestępstwa jest niższe niż w przypadku Polaków, ale mogą przecież istnieć „bardziej ryzykowne” nacje. Tu wraca stary problem: liczby migrantów nie da się łatwo określić. Dlatego najlepsze dane mamy dla tych grup narodowościowych, które są najliczniejsze.

Przyjmując, że tylko Ukraińców jest około 1,5 miliona, podejrzanych o popełnienie przestępstw jest jakichś 6,5 tysiąca z nich.

Jeśli chodzi o Białorusinów – drugą pod względem liczebności grupę narodowościową – to podejrzanych było 787 na ponad 130 tysięcy mieszkających w Polsce.

Schody czyniąją się, kiedy mowa o Gruzinach. Szacuje się, że jest ich w naszym kraju około 27 tysięcy – a jednocześnie w 2024 roku niemal 1400 osób z Gruzji było podejrzanych o popełnienie przestępstwa – niemal 5 procent z tej grupy narodowościowej. Wychodziłoby na to, że Gruzini są „grupą podwyższonego ryzyka”.

Ale co to oznacza? Zaczniemy od zastrzeżenia, że 95 procent Gruzinów – przytłaczająca większość – nie jest o nic podejrzana. Większość z nas osoby tej narodowości kojarzy raczej z właścicielami i pracownikami piekarni i knajp z pysznym jedzeniem. Niemniej aż 5-procentowy odsetek ludzi w jakiś sposób na bakier z prawem to lampka alarmowa dla władz.

W największych miastach, zwłaszcza w Warszawie, przybyło pobić i kradzieży dokonywanych przez Gruzinów. Sporo mówi się też o zauważalnym wzroście gruzińskiej przestępczości zorganizowanej. Być może szlaki migracyjne są silnie przetarte przez organizacje przestępcze z tego regionu. A być może istnieje jakiś rodzaj „kulturowej predylekcji” do popełniania pewnych przestępstw? Eksperci od regionu wspominają choćby o maczystowskiej kulturze.

Jednocześnie liczba Gruzinów i Gruzinek podejrzanych o popełnianie przestępstw znacznie spadła – w 2022 roku było to aż 2655 osób. Może dlatego, że zaalarmowane wzrostem kradzieży i napadów władze zaczęły mieć baczenie na tę grupę. A może dlatego, że przestępczość zorganizowana migruje. Policjanci twierdzą, że dla wielu gangsterów Polska jest tylko przystankiem w drodze na Zachód, m. in. na Półwsep Iberyjski.

● A co z migrantami z krajów – jak to się eufemistycznie mówi – odległych kulturowo? W 2024 roku podejrzanych o popełnienie przestępstwa było: 2 Afgańczyków, 30 Algierczyków, 14 Marokańczyków, 26 Syryjczyków, 2 osoby z Konga, 6 z Etiopii, 4 z Libii, 2 z Gambii, 1 z Ghany, 7 z Iraku, 1 z Kamerunu... A więc kultury i regiony, których tak boi się prawica, nie są w zasadzie żadnym zagrożeniem.

Przyjrzyjmy się jeszcze Latynosom. – Czy to przypadek, że przybywa doniesień o incydentach – m. in. pobiciach czy burdach – z udziałem choćby Kolumbijczyków? – ktoś zada kolejne pytanie.

Nie da się wykluczyć, że osoby z niektórych państw Ameryki Południowej mogą rzeczywiście stanowić „podwyższone zagrożenie”. Oto kilka liczb:

• drugim najniebezpieczniejszym krajem świata jest Ekwador ze wskaźnikiem zabójstw 46 na 100 tysięcy mieszkańców, • na 9. miejscu jest Honduras (31 zabójstw), • na 8. miejscu Dominika (28 morderstw) • tuż za nią Kolumbia (25). • Wenezuela jest na 25. miejscu – niemal 13 morderstw na 100 tysięcy mieszkańców, to wskaźnik 16 razy wyższy niż w Polsce.

Ciągające się latami wojny domowe, zamachy stanu, brutalność junt lub prawicowych czy lewicowych autokratów, panoszące wskutek słabości ustrojowych gangi, w tym narkotykowe, kryzysy gospodarcze – w krajach dotkniętych tymi nieszczęściami kolejne pokolenia dorastały w otoczeniu, w którym przemoc była na porządku dziennym. Na to wszystko nakłada się wciąż silna kultura machismo. W efekcie brutalność powszednieje.

Co nie zmienia faktu, że – uwaga – najwidoczniej zmiana klimatu społecznego zmienia ludzi. Bo mimo, że gasterbeiterzy Latynosi są całkiem liczni wśród polskich cudzoziemców – Kolumbijczyków ZUS odnotował 15 199, dla innych państw brak wiarygodnych danych – to podejrzani o popełnienie jakichkolwiek przestępstw z tamtego kontynentu stanowią dosłownie pojedyncze przypadki.

● Ostateczną odpowiedź na pytanie: „Czy więcej cudzoziemców to więcej zagrożeń?”, uzyskamy wznosząc się znów wysoko, by spojrzeć na przestępczość w Polsce w ogóle.

Zaczniemy od kategorii najcięższej: zabójstw. Od mniej więcej dekady ich liczba pozostaje na stałym poziomie – a jednocześnie w ostatnich dziesięciu latach przybyło do nas najwięcej migrantów.

W 2023 r. pozbawiono życia 559 osób, w 2022 r. – 499 osób. Znaczący wzrost odnotowano w 2020 r. – 641 zabójstw. Ale zapewne bez związku z migrantami – wtedy o zbrodni były podejrzane 33 osoby bez polskiego paszportu – tylko z covidowym napięciem. Tymczasem przed 2011 rokiem normą było 700 zabójstw rocznie. A na początek wieku aż 1000.

Co się zmieniło w tym czasie? Po pierwsze, wzbogaciliśmy się i rozwinęliśmy jako kraj, bardzo spadło bezrobocie i zauważalnie wzrosły płace realne, również osób na najniższych stanowiskach. Gdy rośnie dobrobyt, maleje frustracja, maleją społeczne napięcia – i spada najbardziej brutalna przestępczość.

Po drugie, kłania się również migracja. Tylko że nasza własna. W pierwszej dekadzie XXI w. stara Europa otworzyła się na polskich pracowników, zwłaszcza fizycznych – w dużej mierze właśnie młodych i w średnim wieku mężczyzn również bez wykształcenia, również ze środowisk traumatyzowanych i zaniedbanych społecznie. A więc wyeksportowaliśmy część najbardziej „ryzykownej” grupy.

To jeszcze dla porządku spojrzmy, jak było z innymi przejawami łamania prawa. Wyraźnie ubyło innych przestępstw:

• bójek i pobić w 2015 r. było 4708, a w 2023 r. – 2452, • rozbojów w 2015 r. – 7787, a w 2023 r. – tylko 3942. • kradzieży w 2015 r. 145 464, a w 2023 r. – 117 447.

Czyli mimo rosnącej migracji liczba przestępstw od lat spada, Polska jest coraz bezpieczniejszym krajem, a straszenie hordami muzułmańskich gwałcieli, czarnoskórych złodziei i kaukaskich gangsterów jest polityczną hucpą grającą na najniższych instynktach, lękach, stereotypach, niewiedzy i uprzedzeniach, które w nas drzemią. ●

Wieszanie

Tusk cytował Miłosza, a Duda wydaje się cytować Jarosława Marka Rymkiewicza i jego książkę „Wieszanie”.



Michał Rusinek

Prezydent Andrzej Duda w wywiadzie dla kanałów Otwarta Konserwa, Nowy Ład i Klub Jagielloński zacytował zasłyszana ponoć wypowiedź obywatela tego kraju: „Jeden człowiek powiedział do mnie bardzo brutalnie: »Wie pan, dlaczego w Polsce jest tyle zdrady i warcholstwa bezczelnego? Ponieważ dawno nikogo za zdradę nie powieszono«. To straszne, ale w tych słowach jest prawda [...]». Kara ma również walor odstraszący”.

Ten fragment wywiadu wywołał wachlarz reakcji: od oburzenia, poprzez ironię, niepokój po bagatelizowanie. Do części tego wachlarza odniósł się sam Duda: „Delikatnie przypominam Państwu z KO i ich medialnym akolitom, kto pierwszy, jakiś czas temu, mówił o wieszaniu. To Wasz lider a dziś premier Donald Tusk. Jakos wtedy nie trzęśliście się z oburzenia”.

Chodziło mu słowo, jakie Tusk skierował do niego w czasie manifestacji przeciwko tzw. lex TVN: „Czesław Miłosz napisał wówczas takie słowa, które stoczniovcy umieścili na pomniku zamordowanych kolegów. Dedykujemy te słowa władzy, która dziś Polskę rujnuje. Ja adresuję te słowa do mieszkańca tego pałacu i jego mocodawcy: »Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta. Możesz go zabić – narodzi się nowy. Spisane będą czyny i rozmowy. Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy. I sznur, i gałąź pod ciężarem zgietą«.

Dedykacja Tuska była nieco niefortunna, ale wiersz Miłosza mówi o honorowym samobójstwie tyrana, który skrzywdził „człowieka prostego, śmiechem nad krzywdą jego wybuchając, gromadę blażnów koło siebie mając, na pomieszanie dobrego i złego”, a nie zachęca do wieszania zdrajców. To jest spora różnica.

O ile Tusk jawnie cytował Miłosza, o tyle Duda wydaje się cytować – mniej lub bardziej świadomie – innego poetę i eselistę, Jarosława Marka Rymkiewicza i jego książkę „Wieszanie”. Jest poświęcona temu, co działo się w Warszawie w czasie in-surekcji kościuszkowskiej, od kwietnia do listopada 1794 r. Nie chodzi o bitwy i politykę, ale – jak wyjaśnia autor – o „wydarzenia wiążące się z wieszaniem na szubienicy [...], z legalnym lub nielegalnym wykonywaniem wyroków śmierci – niekiedy sądowych, a niekiedy wydawanych spontanicznie przez lud Warszawy”.

Niedawno zmarły Jarosław Klejnocki pisał o książce: „Najważniejszą tezą »Wieszania« jest chyba konstatacja, że »krew jest dobra«. Krew – czyli tu akurat mord. [...] mord jako fundament nowej, ożywczej tożsamości [...]. Polacy, jak rozumiem Rymkiewicza, nie zdobyli się wówczas na radykalizm, który dokonałby narodowego katharsis i zresetował naszą narodową tożsamość ku lepszej i zdrowszej jakości”.

Rymkiewicz fantazjuje, co by było, gdyby powieszono króla Stanisława Augusta Poniatowskiego: „Jego śmierć na szubienicy byłaby wielkim wydarzeniem w historii Polski, które w całej swojej ohydzie, potworności i wielkości radykalnie i już na

zawsze zmieniloby nasze dzieje [...]». Polska ochrzczona wtedy tym wieszaniem [...] dziś byłaby jakąś całkiem inną Polską – nie bardzo potrafię ją sobie wyobrazić, ale z pewnością byłaby to Polska radykalna, na wieki zradykalizowana”.

Po publikacji „Wieszania” niektórzy recenzenci twierdzili, że Rymkiewicz czyni aluzję do Okrągłego Stołu i popiera interpretację tego wydarzenia autorstwa braci Kaczyńskich, że posługuje się nacjonalistycznym myśleniem i odwołuje do nacjonalistycznych wartości.

Zauważmy teraz my, że, po pierwsze, książka ta przywoływana dzisiaj wciąż może stanowić intelektualne zaplecze dla polityki Jarosława Kaczyńskiego i radykalnej prawicy. Nacjonalizm, nawet przebrany w garniturek intelektualisty, zawsze będzie zwalczał dialog, wspólnotę, tolerancję, inkluzywność, wizję świata opartą na współistnieniu narodów europejskich.

Po drugie, książka – mimo że ciekawa w warstwie faktograficznej – jest skandaliczna w tym sensie, że jej historiozofia sprowadza się w gruncie rzeczy do przyzwolenia na przemoc rozumianą – jak pisze Klejnocki – „jako akt odrodzenia duchowego integrującego i mobilizującego wspólnotę do przeobrażenia oraz odnalezienia swoich aksjologicznych korzeni”.

Po trzecie, jest ona głosem za przywróceniem kary śmierci, która w wielu krajach, także demokratycznych, wciąż jest wykonywana. Dodajmy, że ostatnią karę śmierci w Polsce wykonano w 1988 r. w krakowskim więzieniu przy ul. Montelupich – przez powieszenie.

Rymkiewicz okazuje się wciąż aktualny. Przemoc wobec przeciwników politycznych, założycielski mord, wymierzenie kary, która odstrasza, nie jest – jak zauważa autor „Wieszania” – aktem jednostkowym, czynnością wykonywaną przez kata. Taka przemoc buduje wspólnotę.

„Żeby skutecznie wieszać – pisze Rymkiewicz – przynajmniej z powodów politycznych lub narodowych [...], potrzebny jest wielki, najlepiej wielotysięczny tłum [...]». Rzecz bowiem w tym, że wieszają nie tylko ci, którzy [...] znaleźli się przy szubienicy. Wieszają wszyscy [...] ci, którzy wieszają, i ci, którzy na to patrzą, i nawet ci, którzy nie chcą patrzeć, ale są obecni”.

To słuszne spostrzeżenie, ale chciałoby się je nieco inaczej zinterpretować: obojętność wobec przemocy czyni nas współwinnymi, współodpowiedzialnymi za nią. Czytamy dalej: „Wieszający tłum staje się jednym człowiekiem [...] jednym strasliwym potworem – owładniętym pragnieniem zadawania śmierci. [...]», ale ostrzegalbym przed twierdzeniem, że ten potwór jest nieludzki i że wieszanie jest nieludzkie. Przeciwnie. Wieszający tłum jest jednym człowiekiem (wieszają wszystkie ręce, które tam są), a wieszanie jest głęboko, najgłębiej ludzkie”.

Kiedy Duda mówi, że to, co powiedział mu „jeden człowiek”, było brutalne, straszne, ale słuszne i prawdziwe, to powtarza właściwie – zapewne nieświadomie – Rymkiewicza, który pisze o wieszającym jako o strasliwym potworze, ale zarazem o wieszaniu jako o akcie ustanawiającym „człowieczeństwo”, z ludzkiej perspektywy nad wyraz słusznym. I mimo że Duda nigdy nie będzie nietzscheańskim egzystencjalistą, to jego słowa współbrzmiały z coraz głośniejszymi werblami konserwatywnej kontrewolucji. Dopóki te werble rozbrzmiewać będą w Europie, dopóty demokratyczny świat nie może spać spokojnie. ●

Banicja plagiatora kłamstwa

Gdy historycy czy publicyści oficjalnie zaprzeczają bredniom negacjonistów, ci ostatni triumfują.



Marcin Matczak

Kto dziś sięga po kłamstwo oświęcimskie, nie jest żadnym „poszukiwaczem prawdy”, lecz plagiatorem dawno sfalsyfikowanej i moralnie skompromitowanej narracji. Nie ma tu nic oryginalnego – to żalosne ogrzewanie podlej retoryki krążącej po marginesach publicznego dyskursu. Plagiator kłamstwa nie zasługuje na uwagę, lecz na semantyczną banicję. Jego imię nie powinno pojawiać się w mediach, debatach ani wyszukiwarkach. Nie z zemsty, lecz z szacunku dla ofiar i zdrowia języka. On marzy, by zostać męczennikiem rzekomej cenzury – a powinien zostać pominięty i zapomniany.

A jednak samo kłamstwo wymaga reakcji. Gdy walczymy z negowaniem Holocaustu – chronimy naszą zdolność odróżniania prawdy od fałszu, dobra od zła. Jeśli bowiem śmierć milionów można nazwać „fejkiem”, co pozostaje realne? Ten, kto neguje Zagładę, dokonuje zamachu na samą tkankę rzeczywistości. Gdy podważa się najbardziej bolesny dowód na istnienie zła, to zło staje się fikcją, a mordercy jedynie ofiarami pomówienia.

Kierowca jadący pod prąd

Plagiator kłamstwa oświęcimskiego wybieła nazizm. Zaprzecza zbrodni, a więc oczyszcza zbrodniarzy. Dlatego w wielu krajach to kłamstwo jest zakazane. I nie ma znaczenia kluczenie kłamcy: że Niemcy zabijali, ale chyba w inny sposób. Ważne jest podważenie „oficjalnej wersji”, aby wejść na równię pochyłą prowadzącą do wątpliwości i poczucia absurdu. A jak ponoć pisał Wolter: „Ci, którzy potrafią sprawić, że uwierzysz w absurd, potrafią sprawić, że popełnisz okrucieństwa”. Wielkie kłamstwo po to jest: by zachwiać fundamentami rozumu i pamięci. Jeśli ktoś wmówi ludziom, że największe zło było iluzją, wszystko staje się wątpliwe. Tracimy grunt pod nogami – pojawia się lęk, że wszystko i wszyscy nas oszukują.

Sam ojciec nazizmu znał moc tego kłamstwa. W „Mein Kampf” opisał technikę fałszu: musi być tak ogromny, by nikt nie podejrzewał, że ktoś mógł go wymyślić. Dzisiejsi negacjoniści idą tym śladem.

Hannah Arendt ostrzegała, że gdy zastąpi się fakty kłamstwem, doprowadza się nie tyle do wiary w nieprawdę, ile do zaniku samej kategorii prawdy. Ludzie nie umieją odróżnić faktów od fikcji i przez to stają się idealnymi poddanymi totalitaryzmu.

W zdrowych społeczeństwach za odwągnego uznaje się człowieka, który głosi prawdę mimo zagrożenia. I negacjonistów „odważny” jest ktoś, kto szerzy fałsz, tylko kłamca myśli niezależnie. To narcyzm intelektualny – ktoś pragnie się wyróżnić nawet za cenę rozsądku. Taki człowiek uwierzy, że wszyscy inni są w błędzie, a tylko on przejrzał „spisek”. Jak kierowca jadący pod prąd przekonany, że to inni oszaleli. W tym nie ma odwagi – jest tylko szaleństwo i pycha.

Perfidia kłamstwa oświęcimskiego
Kłamstwo oświęcimskie nie jest też kolejną opinią na rynku idei i dlatego jego głosicie-

li nie chroni wolność słowa – przeciwnie, to, co robią, to tej wolności zaprzeczenie i niszczenie. Zamiast ubogacać debatę publiczną, zatruwają ją i deformują, zmuszając innych do reagowania na ordynarne fałsze, jak gdyby były warte poważnej dyskusji.

Robert Mazurek z „Kanału Zero” uważa inaczej – uważa, że kłamca oświęcimski ma konstytucyjne prawo kłamać (przynajmniej jednocześnie, że to słowa nie do obrony, niemające nic wspólnego z prawdą).

Wyobraźmy sobie jednak, że ktoś publicznie oznajmia, że redaktor Mazurek nie istnieje. Czy takie twierdzenie zmusza go, by udowodniał wszystkim, że jest inaczej? To byłoby groteskowe. Gdyby Mazurek zaczął poważnie debatować z kimś, kto zaprzecza jego istnieniu, udowodniłby, że jest o czym dyskutować. Im bardziej tłumaczyłby, że na prawdę jest, tym bardziej niektórzy mogliby zacząć w jego istnienie wątpić („Skoro tak się zarzeka, może coś jest na rzeczy?”). Nie da się odpowiedzieć na taką insynuację, nie wikłając się w jej fałszywe założenie.

Robert Mazurek ma jednak łatwiej niż ofiary Holocaustu – istnieje, może się pokazać i nie musi się wdawać w dowodzenie własnego istnienia.

Problem z kłamstwem oświęcimskim polega na tym, że ofiar Zagłady nie ma. Nie mogą się więc nikomu pokazać ani same odpowiedzi na twierdzenie o „fejku”. My, żyjący, musimy mówić w ich imieniu.

I tu właśnie tkwi perfidia kłamstwa oświęcimskiego: zmusza nas do tłumaczenia rzeczy oczywistych, do udowadniania, że naprawdę ludzie byli zabijani w komorach gazowych. Samo takie tłumaczenie oczywistości jest już zwycięstwem kłamców. Reagujemy bowiem na ich chore teorie, jakby to była równorzędna „opinia”, którą należy rozważyć – a przez to mimowolnie ją uwiarygadniamy. Gdy historycy czy publicyści oficjalnie zaprzeczają bredniom negacjonistów, ci ostatni triumfują: „Widzicie? Debatują z nami, czyli temat jest otwarty!”. Właśnie o to im chodzi – by wzbudzić wątpliwości tam, gdzie wątpliwości żadnych nie ma.

Milczenie wobec absurdów

Nie każde twierdzenie zasługuje na odpowiedź. Wolność słowa zobowiązuje nas do poważnego traktowania nowych hipotez – one wzbogacają naszą wiedzę, dostarczają nam potencjalnych nowych pomysłów, jak radzić sobie ze światem. Ale wielokrotnie obalone bzdury nie zasługują na rzetelną polemikę – ich poważne traktowanie samo w sobie jest szkodliwe. Jest stratą społecznie cennego czasu debaty.

Ludzie od dawna intuicyjnie rozumieją kłamstwo jako siłę niszczącą świat.

W tradycji judeochrześcijańskiej Szatan jest „ojcem kłamstwa” – metaforą tego, co antyracjonalne, zwodnicze i niszczące. Jeśli Logos to kosmiczny ład i prawda, wielkie kłamstwo jest anty-Logosem, siłą chaosu niszczącą spójność świata i rozumu. Kusi pozorem wyzwolenia – „zrzuć jarzmo oficjalnej wersji!” – lecz zamiast wolności przynosi zatracenie. Wielkie kłamstwo odbiera ludziom zdolność krytycznego myślenia i wiarę w sensowny świat. Bo kto nie wierzy już w nic, może uwierzyć we wszystko.

W walce z takim kłamstwem nie chodzi więc tylko o prawdę historyczną. Chodzi o zdrowie zbiorowego umysłu, fundamenty naszego poznania i pamięci. Aby zachować sens, czasami należy milczeć wobec absurdów, aby nie dawać im pozorów wiarygodności. Tu nie można, bo ofiary tego kłamstwa nie obronią się same. Ale semantyczna banicja kłamcy jest możliwa – to wręcz konieczny akt epistemicznej higieny. ●

MŁODZI uciekają z centrum

Tusk znalazł się w tym samym miejscu, co Keir Starmer i Ursula von der Leyen



Mateusz Mazzini

Najważniejszą wiadomością mijającego tygodnia na Wyspach Brytyjskich była publikacja raportu biura Rzecznika Praw Dziecka na temat poziomu życia nieletnich w Anglii. Kierująca tym urzędem Rachel de Souza nie ukrywała powagi sytuacji – powiedziała dziennikarzom, że w wielu miejscach w kraju dzieci codziennie doświadczają „biedy rodem z książek Dickensa”.

Rzeczywiście historie ilustrujące w raporcie dane statystyczne i analizę trendów są jak z Dickensa: szczury biegające po sypialni, grzyb na ścianach, mieszkania bez ogrzewania i z niesprawną instalacją sanitarną oraz spożywanie spleśniałego chleba. Na tym tle przykłady niedostępności zrównoważonej diety, braku własnego miejsca do nauki czy możliwości udziału w zorganizowanych aktywnościach pozalekcyjnych – a więc rzeczy kluczowych dla rozwoju młodych ludzi – wydają się wręcz nieistotne.

Publikacji zarzucono efekciarstwo, niemniej ogólny wniosek z badań biura Rachel de Souzy jest, jaki jest: w Anglii w biedzie żyje obecnie 4,5 miliona dzieci. To prawie jedna trzecia wszystkich osób poniżej 18. roku życia. A będzie ich przybywać, bo centrolewicowy rząd Keira Starmera, będąc pod gigantyczną presją opozycji z powodu mikroskopijnego wzrostu gospodarczego oraz ogromnych – i cóż, że odziedziczonych po 14 latach rządów torysów – wydatkach publicznych, zamierza środki na dzieci jeszcze zredukować.

Mówi się o ograniczeniu transferów dla rodzin dzieci z niepełnosprawnościami oraz tak zwanymi *special education needs* – dysfunkcjami, które wpływają na ich rozwój intelektualny i wyniki w nauce. Z horyzontu dyskretnie znika też szumnie zapowiadane w ubiegłorocznej kampanii zniesienie limitu zasiłków na trzecie i kolejne dziecko. Oficjalnie dyskusję nad likwidacją limitów, w wyniku których poniżej granicy ubóstwa spada codziennie – jak wylicza organizacja Child Action Poverty – 109 dzieci, prze-

sunięto na jesień, ale mało kto spodziewa się, że Partia Pracy naprawdę ją przeprowadzi. Laburzyści na reformę, w wyniku której można by wyciągnąć z biedy pół miliona dzieci, po prostu nie mają pieniędzy. Kosztowałoby to 3,4 miliarda funtów rocznie.

Opowieść o biednych angielskich dzieciach doskonale ilustruje sytuację, w której znalazł się rząd Starmera zaledwie po roku u władzy.

12 miesięcy temu laburzyści zafundowali Partii Konserwatywnej najbardziej upokarzającą porażkę w dziejach. Po nie-prawej stronie sceny politycznej panował gigantyczny entuzjazm, bo torysi zostali zmiażdżeni, a bardzo dobry wynik zanotowali trzeci w wyborach Liberalni Demokraci. W nieoficjalnych rozmowach politycy Partii Pracy z dużą pewnością siebie stwierdzali, że „mają teraz przed sobą dekadę”. Czyli nawet nie jedną, a dwie kadencje u władzy – tak wielką różnicą głosów pogonili torysów.

Minął rok – a Starmer i jego rząd są w trudnym do wyobrażenia kryzysie. Nie udało się naprawić niczego, co zepsuli przegnani poprzednicy. Wzrost jest minimalny, gospodarka nie ruszyła, usługi publiczne są w katastrofalnym stanie. Nowe władze nie ograniczyły napływu nielegalnych migrantów, czego domagała się spora część społeczeństwa. Wręcz przeciwnie, jak pokazują dane Brytyjskiego Obserwatorium Migracyjnego, w ujęciu rocznym nielegalna migracja wzrosła znacząco, bo aż o 34 procent w porównaniu z czasami Rishiego Sunaka.

Do tego doszedł powrót Donalda Trumpa, który calemu światu, w tym Brytyjczykom, wypowiedział chaotyczną wojnę celną. Londyn, głównie rękami i ustami słynnego spin doktora Petera Mandelsona, dzisiaj ambasadora w Waszyngtonie, usiłuje ten kryzys zażegnać, ale na razie celu nie osiągnął – podpisana w maju umowa bilateralna z Amerykanami to świsstek papieru, który ma kilka stron i nie precyzuje absolutnie niczego we wzajemnej wymianie handlowej.

Na skutek kumulacji tych wszystkich czynników, braku sukcesów, fatalnej komunikacji z wyborcami, konfliktów w rządzie, nieustannych zygzaków we własnych postulatach i odejścia od socjalnej polityki, tak ważnej dla macierzystego elektoratu, laburzy-

ści są w gigantycznym dołku. Zaledwie rok po przejęciu władzy stracili pierwsze miejsce w sondażach na rzecz skrajnej prawicy pod szyldem Reform UK – antyeuropejskiej, prorosyjskiej, trumpowskiej i domagającej się zwinienia państwa do absolutnego minimum. Czyli kolejnej odsłony UKiP, United Kingdom Independence Party Nigela Farage’a, niestrudzonego promotora Brexitu, który z niegdyś lekceważonego ekscentrycznego eurosceptyka stał się głównym rozgrywającym brytyjskiej polityki.

Brzmi znajomo? Oczywiście, że tak. Starmer znalazł się w tym samym miejscu, w którym w Polsce jest Donald Tusk, a na scenie europejskiej – Ursula von der Leyen, poharatana po ostatnim głosowaniu w sprawie wotum nieufności dla niej i całej jej Komisji Europejskiej.

Politycy ukształtowani w starych, nieistniejących już warunkach demokratycznego dialogu, chcący uprawiać politykę ze środka, opartą na konsensusie i technokracji z bólem i gwałtownie przekonują się, że takiej polityki uprawiać się już nie da. Odbijają się od ściany, spadają im notowania, wyborcy i koalicyjni partnerzy krzyczą z niezadowolenia, grozą rebelią.

Kryzys jest zbyt duży, żeby go nie zauważyć, więc pojawiają się reakcje – chaotyczne, nerwowe, nieprzemyślane, obliczone na efekt krótkoterminowy. Plastry na głębokie, krwawiące rany.

I co z tego, że to nie oni te rany zadali. Starmer przejmował władzę po 14 latach rządów Partii Konserwatywnej, pełnych katastrofalnych w skutkach reform. W ramach których torysi zrobili to, za co zawsze krytykowali labourzystów – rozbudowali administrację publiczną do granic możliwości – oraz zaprojektowali bardzo nie dobrą politykę migracyjną. Wskutek brexitu, do którego doprowadzili, z rynku pracy odpłynęło 460 tysięcy pracowników z krajów unijnych. Próbowano ich szybko zastąpić osobami z Afryki i Azji, ale ci gąstarbeiterzy często mieli znacznie niższe kwalifikacje. Nawet jeśli rozczarowali pracodawców, nierzadko zostawali w kraju dłużej, niż pozwalały na to wizy. Jednocześnie wzrosła nielegalna imigracja przez kanał La Manche, bo Brytyjczycy poza Unią znacznie słabiej nie współpracowali z Francją. A premier Sunak wo-



lał przepychać kolanem nieudany plan deportacji do Rwandy, zamiast zajmować się problemem w ujęciu systemowym.

Takich problemów nie da się rozwiązać w rok – nawet w brytyjskim systemie, dającym prawie zawsze komfort rządzenia bez konieczności szukania koalicjantów.

Tusk z tego punktu widzenia miał nawet gorzej, bo przejmował władzę w państwie zdewastowanym instytucjonalnie, upolitycznionym do granic możliwości, z prawnego punktu widzenia dysfunkcyjnym. W dodatku przeszkody blokujące skuteczne działania premier napotyka również w środku własnej koalicji. Z partnerami coraz ciężiej mu się dogadać, pęka kordon sanitarny wokół PiS, partii jeszcze kilka miesięcy temu jednoznacznie uważanej za antypaństwo-wą i zwyczajnie niebezpieczną.

W takich warunkach żadna z najważniejszych obietnic wyborczych włącznie z liberalizacją prawa aborcyjnego, legalizacją związków partnerskich, przywróceniem praworządności czy rozliczeniem ludzi PiS, nie ma najmniejszych szans na realizację.

Szersze, europejskie tło wygląda równie nieciekawie. Unia Europejska przechodzi jeden z największych kryzysów, w środku i na zewnątrz.

W światowej dyplomacji praktycznie nie istnieje, co najlepiej zilustrował niedawny kryzys na Bliskim Wschodzie. Europejscy dyplomaci prowadzili negocjacje z rządem w Teheranie, co ostatecznie okazało się odwracaniem uwagi od Trumpa, który ostatecznie na ten Teheran zrzucił bomby. Unia jest też coraz bardziej podzielona w sprawie Izraela i Gazy, równocześnie nie mając żadnego realnego wpływu na sytuację w tym regionie.

Biały Dom nałożył właśnie na Wspólnotę 30-procentowe cła, a Chińczycy grożą zalaniem rynku tanimi produktami konsumenckimi.

W dodatku Unia nie może się zdecydować, czy pilnować regulacji, czy je likwidować ani, czy wymuszać na krajach członkowskich zielone reformy. Migracja pozostaje nierozwiązanym problemem, podobnie jak kwestia zbrojeń – niby wszyscy zgodzili się, że trzeba się zbroić, ale już słychać głosy, że kraje członkowskie chcą po prostu jak najwięcej z tych pieniędzy wziąć dla siebie, niekoniecznie wydając je najrozsądniej, jak się da.

• **Premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer i premier Donald Tusk po spotkaniu w Warszawie (17.01.2025)**

FOT. KUBA ATYS /
AGENCJA WYBORCZA.PL

O von der Leyen trudno powiedzieć, że jest główną winowajczynią tych problemów. Ona nie ma nawet bezpośredniego mandatu demokratycznego, jej funkcjonowanie na stanowisku szefowej Komisji Europejskiej to wynik wielotygodniowych, skomplikowanych negocjacji różnych obozów politycznych.

A cała Europa przesuwana się na prawo, w kolejnych krajach członkowskich poparcie zyskują lub utrzymują ugrupowania radykalne – AfD w Niemczech, Konfederacja w Polsce, FPÖ w Austrii – co wcześniej czy później znajduje odzwierciedlenie w składzie Parlamentu Europejskiego. To, jak wygląda europarlament, przekłada się z kolei na skład Komisji i jej stabilność.

Starmer, Tusk, von der Leyen – ta trójka polityków, choć operująca na różnych szczeblach i wywodząca się odmiennych politycznych kontekstów i rodzin partyjnych, ma jeszcze jedną wspólną cechę. Wszyscy, znalazłszy się w kryzysie, dokonują wyraźnego skreślenia w prawo.

Tusk podejmuje trudną do uzasadnienia decyzję o przywróceniu kontroli na granicach z Niemcami i Litwą, tym samym przyznając rację Robertowi Bąkiewiczowi i całej polskiej skrajnej prawicy. Oni od miesięcy twierdzą, że Polskę zalewa fala nielegalnych imigrantów, choć to nieprawda, ten kryzys jest całkowicie sfabrykowany. Tusk to wie – a jednak, zamykając granice, legitymizuje obawy wyrażane przez Bąkiewicza. „Coś jest na rzeczy na granicy, bo gdyby nie było, nie zawieszaliby swobodnego ruchu, nie?”.

Starmer robi fikołki jeszcze trudniejsze do wytłumaczenia, wszak to polityk lewicowy, a zdarza mu się mówić językiem najostrzejszych radykałów. W połowie maja oznajmił, że z powodu masowej imigracji Wielka Brytania „ryzykuje, że stanie się wyspą osób sobie obcych”. To fraza o tyle niefortunna, że jest niemal dokładnym cytatem z najbardziej kontrowersyjnego wystąpienia we współczesnej brytyjskiej historii, słynnego przemówienia *Rivers of Blood* – Rzeki Krwi – z 1968 roku, wygłoszonego przez faszystowskiego de facto polityka Partii Konserwatywnej, Enochę Powella. Prasa, internetowi komentatorzy i rywale polityczni natychmiast sięgnęli po to porównanie, premier przyznał, że niefortunnego sformułowania bardzo żałuje, tłumacząc się, że był „zestresowany i przepracowany”. Co nie zmienia faktu, że w polityce wewnętrznej, gospodarczej i fiskalnej laburzyści odchodzą od tradycyjnych, lewicowych pozycji, coraz bardziej denerwując swój własny elektorat.

Pieniądzy nie mają właściwie na nic, kanclerz skarbu Rachel Reeves szuka ich desperacko wszędzie, a efekt jest taki, że w niektórych obszarach Partia Pracy wprowadza cięcia większe niż wcześniej konserwatyści. Efekt? Reform UK urosło tak bardzo, że zasadne staje się pytanie, czy za cztery lata będą potrzebowali jeszcze torysów jako mniejszego partnera koalicyjnego. Co zresztą samo w sobie jest politycznym paradoksem. Program gospodarczy Farage’a to thatcheryzm na sterydach, choć jego deklarowanymi wyborcami są ludzie przede wszystkim z niższych warstw społecznych, rodzin wielodzietnych oraz emeryci – czyli osoby właśnie na wsparciu państwowym polegające najbardziej. Co z kolei, podobnie jak w przypadku Trumpa w USA, pokazuje, że coraz częściej we współczesnych demokracjach ludzie głosują przeciwko własnemu interesowi klasowemu.

Von der Leyen też jest coraz mocniej atakowana za ukłony w kierunku skrajnej prawicy. Socjaliści i Demokraci oraz Liberalowie, koalicyjni europarlamentarni partnerzy jej macierzystej frakcji, Europejskiej Partii Ludowej (EPP), apelują, by nie wycofywała się z ambitnych polityk klimatycznych i przestała prześwieślać organizacje pozarządowe, którym grozi wycofaniem środków unijnych. W Brukseli trwa gigantyczna awantura, bo według nowych regulacji Komisji pieniądze z LIFE, programu ochrony środowiska, nie będzie można wydawać na bezpośrednie promowanie polityki klimatycznej. WWF,

Gwałtownie kurczy się polityczne centrum, bo gwałtownie wysycha jego naturalny rezerwuuar głosów – czyli klasa średnia. Młodym wyborcom lewicy coraz trudniej do niej wejść, młodzi wyborcy prawicy realizują się w inny sposób

ClientEarth i inne organizacje pozarządowe mówią wprost, że to próba założenia im kagańca.

Inni jej sojusznicy chcą, by chroniła unijne regulacje, które prawica w całej Europie, wspierana przez propagandę trumpistów, przedstawia jako autorytarne, szkodliwe dla narodowych gospodarek i tożsamości zasady narzucane przez kosmopolityczną biurokrację – choć wiele z nich to rozwiązania pionierskie i dobrze działające, jak ochrona prywatności czy praw konsumentów.

Szef EPP Manfred Weber z jednej strony odrzuca te oskarżenia, mówiąc, że taka jest teraz demografia wyborcza i trzeba pracować z tymi, którzy mają demokratyczny mandat. A z drugiej – na wewnętrznych posiedzeniach EPP zarzuca europosłom statystykami, że frakcja minimalnie częściej głosuje w zgodzie z lewicą i centrum niż ze skrajną prawicą, więc w sumie wszystko jest okej. Dla tejże skrajnej prawicy najwyraźniej jednak nie jest, bo to właśnie radykałowie złożyli wniosek o wotum nieufności dla Komisji.

We wszystkich trzech przypadkach widać ostrą korektę na prawo. I we wszystkich trzech ta korekta nie daje. Dlaczego zatem tak doświadczeni gracze na politycznej scenie popełniają tak proste błędy? I to jeszcze wszyscy te same?

Odpowiedź nie jest prosta, gdyż dostrzec ją można dopiero po analizie głębszych trendów – nie politycznych, a społecznych. Politycy wielkich, tradycyjnych formacji głównego nurtu, przyzwyczajeni do merytorycznej, demokratycznej rywalizacji, idą w prawo, pchając się przy tym na druty, bo nie mają żadnej alternatywy. Mało tego, gdyby poszli w przeciwnym kierunku – prawdopodobnie nic by to nie zmieniło.

Po prostu w gospodarczo rozwiniętych społeczeństwach liberalnych demokracji powoli przestaje istnieć typ wyborcy, do którego ich formacje przemawiały, dla którego zostały zaprojektowane.

Gwałtownie kurczy się polityczne centrum, bo gwałtownie wysycha jego naturalny rezerwuuar głosów – czyli klasa średnia. Nie da się uprawiać polityki środka, chcąc rządzić społeczeństwem, w którym ten środek znika z prędkością światła.

W opisywanym przez weekendowy magazyn „Wyborczej” raporcie po wyborach prezydenckich Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski wieszczą nadejście nowego duopolu. Po odwiecznym konflikcie PO i PiS nadejdzie starcie skrajnej lewicy ze skrajną prawicą, uosabiane przez Partię Razem z jednej strony i Konfederację, być może wspieraną Grzegorzem Braunem, z drugiej.

Byłby to duopol znacznie bardziej radykalny od poprzedniego, nieznoszący w niczym umiaru. Razem jest partią ideologicznego purytanizmu, doktrynerstwa, które nie chce chodzić na kompromisy – a to przecież kompromis jest podstawą demokracji. Konfederacja natomiast atakuje wszystkie przestrzenie społeczne, w których klasa średnia, społeczne centrum żyje, pracuje, z którymi się utożsamia. Tak jak ruch Make America Great Again i Trump w Stanach Zjednoczonych, Konfederacji w Polsce biorą na cel media, uniwersytety, środowiska naukowe – wszystkie obszary, w których bezgraniczna wolność, w tym wolność gadania głupot, były mimo wszystko limitowane normami, zwyczajami, procedurami i po prostu prawem.

Autorzy raportu „Krytyki Politycznej” między wierszami, poprzez treść i ton rozmów z ankietowanymi, wskazują, że te zmiany na scenie politycznej po prostu są reakcją na zmiany zachodzące w polskim społeczeństwie. Polityka już dawno straciła moc kreowania rzeczywistości, porywania wielkich grup społecznych potężnymi optymistycznymi narracjami odnośnie przyszłości. Stała się naśladownicza – po prostu podąża za zmianami społecznymi.

Te obserwowane po roku 2000 zmiany społeczne, na które scena polityczna reaguje mimikrą – radykalizacja, niechęć do obcych, wzrost fundamentalizmów religijnych, rozpad małych społeczności, brak wspólnych form reprezentacji, zamach na ekspertyzę naukową przyspieszony przez rozwój internetu – są odbiciem zmiany „pierworodnej” rewolucji społecznej, która teraz powoduje rozpad tradycyjnego modelu uprawiania polityki.

Czyli wspomnianego cichego wymierania klasy średniej. Bo to ona przez blisko 200 lat była fundamentem czegoś, co uznajemy za oczywisty model i nasze naturalne środowisko: mniej lub bardziej liberalnych demokracji oraz przewidywalnych mieszczkańskich autokracji na szeroko rozumianym Zachodzie.

Zjawisko to wytłumaczył niedawno w cenionym blogu na portalu Substack profesor Adam Przeworski. Wybitny polsko-amerykański politolog z New

York University przypominał, że do tej pory polityka demokratyczna opierała się na wyborczej medianie, „środkowym głosującym” człowieku. Partie chcące wygrać wybory w sposób naturalny podążały w jego kierunku, bo takich wyborców było po prostu najwięcej. Dlatego duże ugrupowania stroniły od radykalizmów, miały silny komponent centrowy, a w skrajnych przypadkach – jak „wielkie koalicje” SPD i CDU/CSU w Niemczech – potrafiły się dogadać bez większych problemów, tworząc stabilne rządy.

Teraz jednak, zauważa Przeworski, środkowy wyborca nie partiom nie mówi i nic też nie daje, bo więcej głosujących przebywa w przestrzeniach radykalnych. Mamy więc do czynienia z modelem „wyborców bimodalnych”, którzy są na prawym i lewym krańcu spektrum partyjnego, natomiast nie ma ich już za bardzo w środku.

To inna cecha hipotezy podkowy, o której pisałem w weekendowej „Wyborczej” przed drugą turą wyborów prezydenckich. Akurat w polskiej polityce liczbowo dominuje skrajna prawica, wyborców Razem jest mniej, ale tu nie chodzi o końca o liczby. Ten argument jest jakościowy – w innych krajach proporcje mogą być odwrotne, nie ma to większego znaczenia, ważniejsze, że tradycyjny wyborca ze społecznego środka znika. Więc partie, które go reprezentowały, muszą zmieniać kurs – idą więc tam, gdzie widzą większe pogłowie, mimo że ci wyborcy wprost centrystów odrzucają i nigdy na nich nie głosują.

Skąd natomiast wymieranie klasy średniej? Z zablokowanych kanałów awansu społecznego, zwłaszcza w krajach bogatszych od Polski, choć nas to też dotyczy.

Mówiąc obrazowo, młodym ludziom coraz trudniej do tej klasy średniej wejść. Podwyższa się wiek, w którym zakłada się rodziny lub wchodzi w długotrwałe związki, coraz później znajduje się stabilną pracę, a przede wszystkim – kupuje własne mieszkanie, choćby na kredyt. To przede wszystkim bolączki wyborców lewicy, młodych ludzi w wielkich miastach, którzy zderzają się z niewydolnym systemem.

Upprzedzę krytykę, że wielu wyborców Konfederacji to zamożni menedżerowie przed czterdziestką – to prawda, ale same pieniądze członkostwa w klasie średniej nie dają. Rozumiejąc to pojęcie szerszej, nie tylko przez pryzmat kapitału materialnego, trzeba zauważyć, że tym, którzy popierają Konfederację, często brakuje wyższe-

go wykształcenia lub mają dyplomy techniczne. A na polskich uczelniach technicznych i ekonomicznych, zwłaszcza prywatnych, od dawna ogranicza się lub traktuje po macoszemu poszerzając wiedzę o świecie i ludziach przedmioty humanistyczno-społeczne.

W dodatku liczni sympatycy „Konfy” pieniądze zarabiają często w sektorach czy zawodach społecznie mało prestiżowych. W liczbach bezwzględnych są nie rzadko znacznie bogatsi od zwykłego inteligenta, pracownika administracji, „korporacysty” czy przedstawiciela klasy kreatywnej – ale społeczeństwo wielkomiejskie ich nie ceni, bo hodują pieczarki, produkują przetwory na eksport, sprzedają żarówki czy prowadzą sieci kebabów. Skoro stara klasa średnia pozbawia ich uznania, sami do niej nie lgną lub wręcz ją kontestują. Odrzucają wszystko, co kojarzy się mieszczańsko i elitarnie – kulturę, działalność w organizacjach pozarządowych, szerokie wykształcenie, „kosmopolityczną” współpracę międzynarodową, ciekawość innych kultur czy obyczajów.

Do tego na prawicy młodzi też trafiają na problemy ekonomiczne. Po raz pierwszy w historii Polski pojawia się presja ze strony imigrantów: po 2022 roku pojawiło się u nas sporo prężnych i skutecznych przedsiębiorców z Ukrainy, którzy tu przenieśli swoje biznesy. Jednocześnie w sektorze produkcyjnym trwa spowolnienie, spada sprzedaż detaliczna, nie mówiąc o silnej przez ostatnie lata inflacji – a młodzi zwolennicy prawicy, zwłaszcza w małych i średnich miastach, pracują przede wszystkim w produkcji przemysłowej, usługach, budownictwie i rolnictwie.

Krótko mówiąc, wyborców skrajnej lewicy na bycie w klasie średniej długo nie stać, mają na to szanse dopiero w okolicach 35. roku życia, jeśli nie mają własnej poduszki finansowej. Z kolei wyborców skrajnej prawicy klasa średnia ze swoim etosem i wartościami zwyczajnie nie interesuje – albo czują lęk i frustrację. W rezultacie mamy elektorat, który nie broni statusu quo, bo status quo nic im nie daje. A partie reprezentujące status quo reprezentujące wymierają, pozbawione tleny w postaci wyborców.

Jaką więc Starmer, Tusk, Von der Leyen i inni mają alternatywę wobec skreślenia w prawo? W miejscu stać nie mogą, tam już nie ma nikogo. Drugą opcją jest skręt w lewo. Ekonomiczny populizm, który testuje teraz amerykańska Partia Demokratyczna z Zohranem Mamdanim, młodym

kandydatem na burmistrza Nowego Jorku na czele.

Jeszcze więcej państwa, jeszcze więcej wydatków publicznych – ale ponieważ pieniędzy brakuje, oznaczałoby to większy dług publiczny albo kreatywną księgowość. Ponieważ jednak państwo nie może tak funkcjonować, a zasypywanie problemów pieniędzmi rzadko kiedy przynosi szybkie efekty, wolnościowa prawica natychmiast przypuściłaby frontalny atak za zwiększanie zadłużenia i marnowanie pieniędzy na „socjal” – i wygrała wybory. A więc przejście na pozycję lewicowców raczej tylko odracza egzekucję.

To nic, że istnieją na świecie programy społeczne udowadniające, że dawanie ludziom pieniędzy do ręki ma często bardzo dobre skutki. Tak jak brazylijski Fome Zero, talony na żywność, które prezydent Lula da Silva, dawny związkowiec, rozdawał rodzinom zobowiązującym się do kontynuowania nauki dzieci w szkołach, co wyciągnęło z nędzy 13 milionów Brazylijczyków.

Bezpośrednie transfery pieniężne dały pozytywne efekty w Ekwadorze, Meksyku, Republice Południowej Afryki, a 800+ mogło polskiej gospodarce, nakręcając popyt na usługi, towary i podróże ze strony ludzi, którym wcześniej ledwo starczało na podstawowe potrzeby. Nie mówiąc o korzyściach dla gospodarki i biznesu, jakie przynosiła zwykłe szerokie inwestycje publiczne, od Nowego Ładu Roosevelta po całą architekturę instytucjonalną krajów skandynawskich.

Problem z takimi rozwiązaniami jest jednak zasadniczy – na ich efekty trzeba czasu. A czasu w dzisiejszej polityce, toczącej się w serwisach społecznościowych w czasie rzeczywistym, nie ma nikt, przede wszystkim nie dają go wyborcy.

Demokratyczna polityka prowadzona ze środka sceny i środka społeczeństwa jest już niemożliwa. Ten układ się wyczerpał, trzeba stworzyć nowy. Lecz zaprojektowanie nowej rzeczywistości politycznej, społecznej, ekonomicznej nie będzie łatwe. Wymaga gigantycznej pracy intelektualnej, a potem odwagi i konsensusu politycznego – a więc cofnięcia się przez każdą ze stron o kilka kroków – by projekty zacząć wdrażać.

Tyle dobrego, że przynajmniej robotę początkową, koncepcyjną niektórzy już wykonują. Pomijając utopijne pomysły aktywistów i badaczy alt-leftowych w rodzaju degrowth – „odwzrostowienia”, przedstawienia cywilizacji na kulturę trwania, samoogra-

niczenia i minimalnej konsumpcji – najgłośniejszy jest o ruchu „dostatku”, tworzonym przez Ezrę Kleina z „The New York Times” i Dereka Thompsona z „The Atlantic”. W wydanej niedawno książce o tym samym tytule postulują reformę kapitalizmu tak, by produkował więcej rzeczy, które społeczeństwu są naprawdę potrzebne: mieszkania, infrastruktury, leków na rzadkie choroby, zamiast kłaść nacisk na społecznie nieprzydatne „puste” dobra konsumpcyjne. A jednocześnie reformę demokratycznych i liberalnych administracji tak, by regulacje biznesu wprowadzane dla ochrony najsłabszych i wykluczonych, mniejszości czy przyrody, nie utrudniały przedsięwzięć istotnych społecznie.

Tylko czy stronie liberalnej starczy odwagi i zdecydowania, by spróbować jakiegokolwiek nową ideę wcielić w życie? Bo nie tylko w bieżącej polityce, ale również w projektowaniu przyszłości – rozumianej nie jako zagrożenie, ale jako pole nowych możliwości – energia i wola są po stronie prawicy.

Szeroko dyskutowane i wspierane przez majątnych sponsorów inicjatywy są tyleż ambitne, co toksyczne i od nowożytnej demokracji tak odległe, jak to tylko możliwe. „Ciemne oświecenie”, post-ludzka, w pełni zautomatyzowana gospodarka, koniec państwa jako instytucji, pełna prywatyzacja świata i idący za nią techno-feudalizm – prawicowe kręgi intelektualne pracują jak nigdy. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Mateusz Mazzini

• Rocznik 1990. Reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy, a także o europejskiej skrajnej prawicy. Autor książek „Koniec tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34385551

W PIĄTEK W WYBORCZEJ



Poradnik. Chłodziśmy się

- Różnice pomiędzy: klimatyzatorem, klimatyzatorem przenośnym, klimatyzatorem, wentylatorem, cyrkulatorem, rekuperacją – ile kosztują i ile zużywają prądu

- Klimatyzacja w aucie: ile kosztuje i ile zużywa paliwa

- - Jaki jest koszt budowy i użytkowania basenu w ogrodzie?



Głos Ameryki

Byłem MAGA, nim stało się modne
– mógłby o sobie powiedzieć
Bruce Springsteen, gdyby był chwalipiętą.
I dlatego Trump boi się go bardziej
niż Taylor Swift



• Koncert na stadionie San Siro w Mediolanie. (30.06.2025)

Jan Radomski

Kraj, o którym śpiewam od pół wieku, naprawdę istnieje – mówi przejęty Bruce Springsteen między utworami podczas obecnej trasy koncertowej. „The Boss” cztery dekady temu zabrał się do wyjaśniania, co właściwie dzieje się w Ameryce, dziś ma 75 lat i rozumie ją lepiej niż ktokolwiek.

„The Don” vs „The Boss” – amerykańskie media od kilku tygodni relacjonują konflikt pomiędzy prezydentem a słynnym rockmanem. Bruce Springsteen swoje koncerty zmienia w polityczny manifest przeciwko wartościom, które reprezentuje aktualna administracja, Donald Trump odpowiada mu, że jest „irytującym dupkiem”.

Okazji do potyczek mają sporo, bo Springsteen jest ostatnio wyjątkowo aktywny – nie dość, że ciągle jest w trasie, to właśnie wydał siedem płyt z niepublikowanym wcześniej materiałem i już rozkręca się promocja filmu biograficznego – w roli głównej Jeremy Allen White – który wejdzie do kin jesienią.

• Najgłośniejszym utworem Bruce’a w ostatnich latach jest „Land of Hope and Dreams”. Tekst nawiązuje do gospelowej pieśni o pociągu przeznaczonym wyłącznie dla świętych i sprawiedliwych. Springsteen odwrócił to przesłanie, w jego pociągu miejsce jest dla wszystkich: przegranych i zwycięzców, głupców i królów. Jednym z najbardziej przejmujących momentów jest ten, gdy muzyk, wcielając się w konduktora, krzyczy: *All aboard! Wsiadajcie wszyscy!*

Utwór stał się politycznym hymnem połowy Ameryki. W 2021 roku „The Boss” zaśpiewał go podczas inauguracji prezydenckiej dla Joego Bidena i wiceprezydentki Kamali Harris. „Land of Hope and Dream” regularnie pojawiało się także podczas ubiegłorocznej kampanii, chociażby jako zwieńczenie wystąpienia Baracka Obamy podczas konwencji Partii Demokratycznej. Za pierwszej prezydentury Trumpa podczas występów na żywo Springsteen dodawał wers „ten pociąg wiezie imigrantów”.

Jak to się stało, że biały chłopak wychowujący się w latach 50. XX w. w New Jersey stał się głosem progresywnej części Ameryki? Wszak dziś ktoś taki poszedłby ideowo raczej w ślady wice-

prezydenta J.D. Vance’a, bidoka z Appalachów, który stał się pupilem jednocześnie konserwatystów, libertarian i technofeudalów.

Odpowiedź nie jest taka oczywista.

• Bruce Springsteen i Donald Trump mają ze sobą więcej wspólnego, niż można by przypuszczać. Co więcej, choć nowojorski miliarder nigdy tego nie przyzna, trudno nie doszukiwać się w jego myśli politycznej inspiracji tym, o czym pochodzi z peryferyjnej Long Branch autor „Born in the U.S.A.”, śpiewał od dekad.

Sztandarowe hasło „Make America Great Again” jest przecież odpowiedzią na społeczne lęki opisane w wielkim hicie „Glory Days”. Tekst opowiada o ludziach wspominających przeszłość – starzejącym się mężczyźnie, który w liceum był świetnym sportowcem (pierwowzór tej postaci, szkolny kolega Springsteena, zmarł zresztą kilka miesięcy temu) czy rozwiedzionej kobiecie, która przy piwie wspomina, jak dawno temu budziła zainteresowanie kolegów ze szkoły. Ci bohaterowie zatrzymani w czasach, gdy byli młodzi i atrakcyjni, są metaforą Ameryki – tragicznej, uwięzionej we własnej mitologii. Wyłącznie przeszłość

jest bezpieczna, ponieważ terażniejszość jest nijaka, a przyszłość zbyt niepewna.

Springsteen nie neguje amerykańskiego snu, ale go demaskuje. Bohaterowie przeżywają swoje dni chwały, ale w pewnym momencie orientują się, że to już za nimi i nic więcej ich nie czeka. To, co miało być spełnieniem, staje się wyłącznie przepelnionym gorczą wspomnieniem.

Właśnie do tych emocji odwołuje się Trump i jego hasło „Make America Great Again”. Prezydent obiecuje, że znów będzie tak jak kiedyś, chociaż doskonale wie, że to niemożliwe. Jak śpiewa Springsteen: „Ale czas ucieka i zostawia cię, kolego, z niczym, tylko z nudnymi opowieściami o dniach chwały”.

Nic dziwnego, że Bruce Springsteen tak wkurza obecnego prezydenta. Z Taylor Swift alt-rightowcy i trumpiści szydzą, wykorzystując jako poręczny symbol upadku tradycyjnych rodzinnych wartości – „bezdzienna kociara i jeszcze się tym chwali!” – ale się jej nie boją, bo megagwiazda w pewnym sensie przekonuje przekonanych – swój pokaz kieruje tam, gdzie konserwatyści i tak nie mają wielkich szans, do wielkich miast, wykształconych kobiet i pokolenia Z. Natomiast „The Boss” od zawsze był głosem klasy pracującej, mieszkańców mniejszych miejscowości i serca Ameryki – od lat tradycyjnego elektoratu Partii Republikańskiej.

„The Boss” byłby hipokrytą, gdyby kwestionował to, że amerykański sen istnieje, sam jest przeciw tego dowodem. Jego kariera zaczynała się od zera, nikt w rodzinie nie był artystą, a co więcej, Springsteenowie zmagali się z wieloma trudnościami, które utrudniały mu start – między innymi poważną chorobą psychiczną ojca, który pracował dorywczo, w tym jako kierowca autobusu.

Pierwszą gitarę piętnastolatkowi kupiła mama biorąc na siebie ciężar utrzymania rodziny. Ze względu na trudną sytuację musiała pożyczyć pieniądze, których przez wiele lat syn nie mógł jej oddać. Jego pierwsze albumy okazywały się bowiem artystycznymi sukcesami, ale finansowymi porażkami. Rockman do końca życia mamy (zmarła rok temu w wieku 99 lat) miał z nią bliską relację, regularnie zapraszał ją na scenę, żeby wspólnie zatańczyć przy „Dancing in the Dark”.

Przełom nastąpił dopiero w 1975 roku wraz z albumem „Born to Run”, który przez ponad dwa lata utrzymywał się na prestiżowej liście „Billboard 200”. Legenda głosi, że Springsteen pisał tekst tytułowego utworu, gdy miał w kieszeni dwadzieścia dolarów. Pewnie to przesada, jednak z pewnością ten utwór odzwierciedla jego emocje z tamtych czasów. Jest wezwaniem do ucieczki z ograniczającej rzeczywistości, by odnaleźć własne miejsce. „W dzień wylewamy pot na ulicach uciekającego amerykańskiego snu” – zaczyna Springsteen, by po chwili wezwać: „Musimy uciekać, póki jesteśmy młodzi”.

Tekst trafił do pokolenia dorastającego w latach sześćdziesiątych. To czas zarówno wielkich nadziei, których urzeczywistnieniem była rewolucja seksualna, ale także rozczarowań – wojny w Wietnamie i niestabilnej sytuacji ekonomicznej spowodowanej między innymi potężnymi wydatkami na armię. To pokolenie Kevina Arnolda (rocznik 1956) – głównego bohatera pamiętnych „Cu-downnych lat”, chłopca wyrastającego w cieniu Wietnamu, gdzie ginie starszy brat jego szkolnej miłości – czy Bergera (rocznik 1945) z filmu „Hair”, który ginie przez zbieg okoliczności na tej samej wojnie.

Springsteen urodził się w 1949 r., a więc pomiędzy tymi dwoma postaciami. Nic dziwnego, że stał się głosem ich pokolenia.

Gdyby zapytać o to, z czym najbardziej kojarzy się Bruce Springsteen, większość osób wskazałaby na płytę „Born in the U.S.A.”. Według rozmaitych rankingów to jeden z najważniejszych albumów w historii muzyki. Właściwie wszystkie utwory stały się hitami, na czele z „Glory Days” czy tytułową

piosenką, której tytuł stał się szlagwortem i od dekad żyje własnym życiem.

Własnym życiem żyje także okładka autorstwa legendarnej fotograficzki największych, najsławniejszych i najciekawszych – Annie Leibovitz, która przedstawia zdjęcie ubranego w dżinsy Springsteena stojącego – nieprzypadkowo! – tyłem na tle amerykańskiej flagi. Trochę kowboj – ten pasek, trochę robociarz – ta czapka w kieszeni wytartych dżinsów, sugestia amerykańskiej flagi w tle, kojarząca się z amerykańską prasą i plakatami czcionka – kadr legendarnej fotograficzki stał się równie ikoniczny, co Wuj Sam ze słynnych mobilizacyjnych plakatów „I want you!” czy zdjęcie marines zatykających gwieździsty sztandar na Iwo Jimie.

A Bruce stał się „tym” Springsteenem. Nieco wycofany, wrażliwy piosenkarz przedzierzgnął się w gwiazdę rocka z krwi i kości. „The Boss” w mgnieniu oka został bohaterem Ameryki. Kilka miesięcy po premierze płyty o Springsteenie jako symbolu nadziei oraz amerykańskich marzeń mówił na wiecu wyborczym sam Ronald Reagan.

Jednak przesłanie artysty było całkowicie inne. „Born in the U.S.A.” może brzmieć jak pieśń patriotyczna, ale tak naprawdę jest brutalnym aktem oskarżenia wobec Ameryki. Głównym bohaterem jest chłopak „urodzony w mieście umarłych ludzi”, któremu „dali do ręki karabin, żeby zabijać żółtych ludzi”. Gdy wraca do domu i próbuje znaleźć pracę w rafinerii, słyszy jedynie: „Synu, gdyby to ode mnie zależało...”.

Zarówno ten utwór, jak i wizerunek muzyka jako nowoczesnego kowboja patrioty był prowokacją, na którą walczący o reelekcję konserwatywny, wierzący w dawną Amerykę zdrowych moralnie, bogobojnych, ciężko pracujących rzemieślników i farmerów prezydent dał się nabrać.

Marc Dolan z Politico stwierdza, że ten moment był kluczowy w politycznym rozwoju Springsteena. Wcześniej Bruce ograniczał się do roli barda, kronikarza historii, które same w sobie były polityczne, jednak nigdy nie czuł się aktywistą. Teraz poczuł, że musi się opowiedzieć. Kilka dni po przemówieniu Reagana zapowiedział utwór „Johnny 99” słowami: „Ostatnio prezydent wspominał moje nazwisko i tak sobie pomyślałem, jaki musi być jego ulubiony album. Nie sądzę, żeby to była „Nebraska”. Wydaje mi się, że akurat tego nie słuchał”.

Bycie „urodzonym w USA” nie oznaczało więc, jak próbował przekonywać Ronald Reagan, szczęścia, ale wręcz przeciwnie – brak nadziei.

Żeby w pełni zrozumieć słowa Springsteena, trzeba cofnąć się o kilka lat.

Pod koniec lat siedemdziesiątych Stany Zjednoczone mierzyły się z kryzysem gospodarczym – po kryzysie naftowym 1973 roku kraj wpadł w jedną z najdłuższych recesji, rosło bezrobocie i inflacja. Rozpoczął się proces deindustrializacji, fabryki się albo automatyzowały, albo były przenoszone do Meksyku lub Azji. Setki miast wyludniały się niemal z dnia na dzień. W takiej rzeczywistości społecznej Springsteen próbował opowiadać o codziennym życiu zwykłych Amerykanów, którzy na własnej skórze odczuwali skutki tego, co działo się z ich krajem.

W 1980, rok przed prezydenturą Reagana – właśnie idącego po pierwszą kadencję z podobnym przekazem odbudowy amerykańskiego snu i dawnej chwały Ameryki, co w latach 2016 i 2024 Trump – napisał utwór „The River”, który stał się symbolicznym hymnem klasy robotniczej, często wykorzystywanym przez związki zawodowe. To historia siedemnastolatka, który poznaje Mary i razem radośnie kąpią się w rzece. Jednak musi szybko dorosnąć, gdy dziewczyna zachodzi w ciążę. „Na dziewiętnaste urodziny dostałem legitymację związkową i garnitur” – śpiewa bohater, którego ślub odbywa się bez uśmiechów i kwiatów. Tytułowa rzeka staje się pułapką – w kolejnych refrenach staje się coraz mniej beztroška, coraz mniej niewinna, aż w końcu wysycha. Z symbolu

dzieciństwa przemienia się w coś, co pozbawia marzeń i planów.

Błędem byłoby traktowanie tego utworu w kontekście egzystencjalnym – „The River” jest głęboko polityczne. To akt oskarżenia państwa. W pewnym momencie bohater stwierdza, że „Ostatnio nie ma wiele roboty przez sytuację w gospodarce”. Springsteen był jednym z pierwszych artystów, którzy śpiewali o kryzysie amerykańskiego przemysłu, narodzinach „pasa rdzy” i rozczarowaniu milionów ludzi zwiedzionych obietnicą, że jeżeli będą ciężko pracować, to osiągną – jak ich dziadkowie i rodzice – sukces i szczęście. Pokazuje, że robotnicy i „błkitne kolnierzyki” tak naprawdę nie mają wpływu na swoje życie, że przeciętny Amerykanin już nie jest, choćby chciał i starał się, kowalem własnego losu.

„Pochodzę z doliny, gdzie, proszę pana, gdy jesteś młody, wychowują cię, żebyś robił to, co twój ojciec” – tak zaczyna się „The River”, pokazując, jak niewielki wpływ na własne życie mają ludzie wywodzący się z klasy robotniczej. W ostatnich wersach rzeka porrywa dziecko głównego bohatera.

Retoryczne pytanie. „Czy sen jest kłamstwem, jeśli się nie spełnia, a może czymś jeszcze gorszym?”, to jeden z najmocniejszych wersów w karierze Springsteena. A je-



śli American Dream jest nie tylko kłamstwem, ale w dodatku cyniczną przemocą wymierzoną przez szczyh z Waszyngtonu, z Wall Street i korporacyjnych gabinetów w najsłabszych? – pyta „The Boss”.

Ronald Reagan rozpoczął prezydenturę w 1981 roku z wizerunkiem zwykłego faceta, który rozumie ludzi. Podobnie jak Trump przedstawiał się jako przeciwwaga dla liberalnych elit, opowiadając o moralności, rodzinie i religii. Było to niemal równie kuriozalne, jak w przypadku Trumpa, syna majątnego szemranego dewelopera – co prawda „Ron” wywodził się z working class, rodzinny sklepikarsko-robotniczej, ale szybko dołączył do establishmentu, stając się sławnym aktorem. Czym zresztą skutecznie uwiarygadniał swój wyborczy przekaz o tym, że amerykański sen istnieje, wystarczy tylko naprawić Amerykę. Podobnymi metodami, co obecny prezydent: reformy gospodarcze sławnej Reaganomics obejmowały deregulację gospodarki, obniżenie podatków i wzmocnienie armii.

Reagan był też zagorzałym zwolennikiem teorii skapywania, według której podatkowe uprzywilejowanie najbogatszych będzie skutkować powszechnym dobrobytem, ponieważ ich kapitał będzie nakręcał inwestycje, produkcję, usługi i konsumpcję.

Kilka lat temu naukowcy i naukowczynie z London School of Economics opublikowały metaanalizę, w której udowodnili, że teoria skapywania nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, a bazujące na niej reformy gospodarcze prowadzą wyłącznie do zwiększenia nierówności w społeczeństwie. Klasa robotnicza w latach osiemdziesiątych nie

potrzebowała badań, żeby to dostrzec. Skutki Reaganomics szybko okazały się katastrofalne – bezrobocie rosło jeszcze bardziej niż za Forda i Cartera, pensje wciąż spadały, a cięcie wydatków socjalnych powodowało, że klasa robotnicza straciła ochronę państwa. W Michigan, Ohio, Pensylwanii zamknięto kolejne fabryki, rosła skrajna bieda i przestępczość.

Znaczące zmiany nastąpiły także w prawie. Przez wszystkie lata drugowojennej i powojennej amerykańskiej potęgi i – mimo chwilowych zawirowań – prosperity, stosunek pomiędzy pracą a kapitałem definiował New Deal, ogłoszony i wprowadzony przez Franklina Delano Roosevelta po Wielkim Kryzysie przełomu lat dwudziestych i trzydziestych. W praktyce oznaczało to bardzo silną pozycję związków zawodowych, a także progresywny system podatkowy – rzadko pamięta się, że w USA stawka podatku dochodowego dla najlepiej zarabiających osób wynosiła nawet 94 procent. Zasady polityki gospodarczej oparte były na umowie: możecie się bogacić, ale płacicie wysokie podatki.

Reagan po blisko pięciu dekadach kłakowicie z tym zerwał. Podatki obniżył, rolę związkowców znacząco ograniczył. Symbolem tej zmiany jest strajk PATCO, związku zawodowego kontrolerów lotów, który

w sierpniu 1981 roku domagał się lepszych warunków pracy i wyższych zarobków. Reakcja administracji była nieprzejednana: strajk uznano za nielegalny, a strajkujący błyskawicznie zostali ukarani i zastąpieni.

Nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, jaki to był szok. W Ameryce strajki przez dekady kończyły się sukcesami, związkowi liderzy byli ważnymi rozgrywającymi w – nie tylko lokalnej – polityce. Tym razem protestujący przegrali w spektakularny sposób. Związki straciły wsparcie państwa, a pracodawcy poczuili się ośmieleni do łamania strajków i cięcia praw pracowniczych. Z perspektywy neoliberalów ze szkoły Miltona Friedmana i rosnącego nowego pokolenia menedżerów patrzących na firmy przez pryzmat bieżących notowań giełdowych i krótkoterminowego rocznego wyniku to była sanna. Z perspektywy milionów zwykłych Amerykanów, całych miast i miasteczek organicznie związanych z przedsiębiorstwami tworzącymi coś więcej niż tylko miejsca pracy, bo lokalną społeczność, dobrobyt oraz popyt na inne produkty i usługi – zerwano umowę społeczną.

Stopień uzwiązkowienia w amerykańskim społeczeństwie spadł z 20,9 procent w 1981 roku do 10 w 2024. Firmy regularnie sięgały po broń wskazaną przez Reagana – korzystanie z tymczasowej siły roboczej. Tak jak w 1983 roku, gdy górnicy z Arizony zaczęli strajkować, a firma wydobywczą Phelps Dodge Corporation, zamiast negocjować, po prostu natychmiast zatrudniła zamienników, którzy pod ochroną Gwardii Narodowej zagłosowali za unieważnieniem strajku.

Takie wydarzenia następowały kaskadowo, aż spowodowały fundamentalne zmia-

ny w gospodarce, nie tylko amerykańskiej – takie jak upowszechnienie innych form zatrudnienia niż umowa o pracę. Skutki odczuwamy po dziś dzień na całym świecie, także w Polsce.

W takim pejzażu gospodarczym i mentalnym Springsteen wydaje „Nebraskę”. Mroczy, surowy album o świecie bez cienia nadziei nagrywa samodzielnie we własnej sypialni na czterościeżkowym magnetofonie. Właśnie do niego ironicznie nawiąże za jakiś czas, gdy walczący o reelekcję prezydent wykrył „The Bossa”, przeinaczając jego etos i przekaz.

„Nebraska” to opowieść o upadku klasy robotniczej, upokorzonej w kraju rządzonym przez neoliberalnego prezydenta odwołującego się – znów analogia z Trumpem – do wartości, cnót i czasów, które sam odesłał w niebyt. Bohaterowie płyty są uczciwi i pracowici, lecz okoliczności popychają ich do przestępstw. Inaczej nie daliby rady utrzymać się na powierzchni. To już nie jest amerykański sen, ale amerykański koszmar. Podmiot liryczny – bo ten utwór to może jeszcze nie poezja, ale na pewno coś więcej niż piosenka – „Atlantic City” mieszka w tytułowym mieście. Kiedyś miejscu week-

wano wiece poparcia dla Mangionego. Słynny komik Chris Rock w legendarnym „Saturday Night Live” podsumował całą sytuację słowami: „No cóż, dilerzy narkotyków też czasem są zabijani”. Dla tych, którzy znali twórczość Springsteena, społeczna reakcja na morderstwo Briana Thompsona nie była aż tak zaskakująca.

Jak pisze Jeffrey Symynkywicz, badacz twórczości Springsteena, muzyk w latach osiemdziesiątych stał się głosem sumienia robotniczej Ameryki – tej, która została nabrana i wykorzystana przez konserwatywnych polityków. „The Boss” regularnie wspierał związki zawodowe i występował podczas pracowniczych manifestacji. W styczniu 1986 roku zagrał niespodziewany i darmowy koncert dla kilku tysięcy robotników, którzy protestowali przeciwko zamknięciu fabryki 3M w jego rodzinnym Freehold. Wraz z innym legendarnym muzykiem Willie Nelsonem dał w prasie ogłoszenia domagające się powstrzymania likwidacji zakładu. Jednocześnie wspierał kampanię, której celem było powstrzymanie redukcji etatów w Ameryce.

W tym czasie Springsteen coraz częściej i wyraźniej wypowiadał się przeciwko neo-

W ostatnim czasie największe kontrowersje wzbudził udział Springsteena w reklamie Jeepa wyemitowanej podczas Super Bowl, finału ligi futbolu amerykańskiego. Spot zrealizowano w małej kaplicy w Kansas, symbolicznym środku Ameryki, zachęcał do zawieszenia broni i odnalezienia wspólnoty. Tak się złożyło – lub tak to zaplanowali specjaliści od marketingu – że klip wypuszczono niedługo po szturmie na Kapitol.

Na muzyka posypała się krytyka właściwie ze wszystkich stron. Wściekli byli jego lewicowi fani, którzy poczuli się zdradzeni, widząc go po raz pierwszy w reklamie, do tego reklamie jednej z największych motoryzacyjnych korporacji. Dziwił także przekaz – niby szlachetny, ale wpisujący się w stereotyp mitycznej, utraconej Ameryki, jakim wtedy posługiwali się trumpiści. W dodatku sprzeczny z tym, o czym śpiewał sam Springsteen: dni chwały są przecież tylko wspomnieniem.

Wściekli byli także umiarkowani Demokraci, których nie przekonywało to, że można się spotkać w polowie drogi z ekstremizmem. Byli też tacy, którzy oskarżali muzyka o hipokryzję albo naiwność. Że propozycja pojednania ze strony zagorzałego krytyka Reagana, obu Bushów i Trumpa nie przekonała także Republikanów ani alt-rightu, nawet nie ma co wspominać.

Najważniejszym momentem na tegorocznej trasie koncertowej Springsteena był utwór „Rainmaker”, pochodząca z 2020 roku opowieść o dotkniętym suszą miasteczku. W obliczu katastrofy ludzie chwytają się ostatniej deski ratunku – nadziei. Tak pojawia się tytułowy zaklinacz deszczu.

Na poziomie historycznym to odniesienie do Dust Bowl, okresu wieloletniej suszy, która pomiędzy 1931 a 1938 rokiem zniszczyła środkową część Stanów Zjednoczonych. Zbyt zachłanna eksploatacja terenów rolniczych spowodowała, że gleba dosłownie oderwała się od ziemi, powodując potężne burze piaskowe. Rodziny farmerów bankrutów i całe wynędzniałe miasteczka ciągnęły do Kalifornii w poszukiwaniu pracy i chleba, ale tam też ich nie było, bo Stany dopiero zaczynały podnosić się po Great Depression. Ten okres miał ogromny wpływ na amerykańską kulturę, chociażby na twórczość Johna Steinbecka – słynne „Grona gniewu”, które są jedną z największych inspiracji Springsteena. Postać oszusta, który obiecywał zdesperowanym ludziom deszcz, nie została wymyślona – tacy ludzie naprawdę w tym czasie odwiedzali cierpiące miasteczka.

Jednak alegoria jest oczywista – tytułowym zaklinaczem deszczu jest Trump, prezydent, który sprzedaje ludziom nadzieję, a tak naprawdę ich oszukuje. Wyborcy szukają w nim oparcia, ponieważ – jak śpiewa Springsteen – „nie mogą znieść już bólu i kolejnego, długiego, gorącego dnia bez deszczu”.

Muzyk stara się nie oceniać, ale rozumieć, skąd bierze się popularność miliardera populisty. Nie wskazuje palcem na społeczeństwo, ale na polityków. Zgodnie z obietnicą złożoną w „Land of Hope and Dream” – w Ameryce Springsteena jest miejsce dla wszystkich, a więc znalazł tam miejsce również ktoś taki – regularny bankrut i hochsztapler traktujący nadzieję jako kapitałnie sprzedający się towar.

Po tym, gdy podczas majowego koncertu muzyk scharakteryzował administrację Trumpa jako „korupcyjną, niekompetentną i zdraziecką”,

prezydent odpowiedział mu, że nigdy nie lubił jego muzyki, a w dodatku „The Boss” „nie jest utalentowanym facetem – po prostu nachalnym, aroganckim osłem”. Do krytyki dołączyli pravicowi influencerzy, mówiąc, że muzyk jest „przeceniany” (Dana Perino, niegdyś rzeczniczka prezydenta George’a W. Busha, dziś harcownicza Republikanów w serwisach społecznościowych) i jest „przerzeklanym palantem” (Greg Gutfeld, gospodarz niezwykle popularne-

go talk-show w Fox News). W obronie Bruce’a – a także Taylor Swift – stanęła Amerykańska Federacja Muzyków. Czyli związek zawodowy, do którego oboje należą.

Jednocześnie badania pokazują, że tylko kilkanaście procent Amerykanów i Amerykanów nie lubi „The Bossa”, natomiast sympatię doń deklaruje przeszło 61 procent – zdecydowanie więcej, niż można by przypisać jednej z dwóch największych partii. Sondaż z 2014 roku przeprowadzony przez Monmouth University pokazał, że szacunek do Bruce’a Springsteena to jedna z niewielu rzeczy łączących Demokratów i Republikanów. A niedawno „The Washington Post” potwierdził, że wielu Republikanów, w tym politycy i działacze partyjni, nadal ceni Springsteena – mimo różnic politycznych jego przekaz i dziedzictwo są dla nich cenne. Dobrym przykładem jest były gubernator New Jersey, Chris Christie, który podkreśla, że muzyka „The Bossa” ma „wartość ponadpartyjną”.

Bo Springsteen nie sprzedaje iluzji, lecz śpiewa w imieniu ludzi, którzy zostali zdradzeni, porzuceni przez system, przez obietnice polityków i przez własną wiarę w sprawiedliwość. Nie oferuje prostych rozwiązań i przypomina, że prawda, solidarność i współczucie mają większą wartość niż populistyczne zakłęcia.

Stałym elementem tegorocznej trasy koncertowej był utwór „My City in Ruins”, opowieść o Asbury Park – innym rodzinnym mieście muzyka, które podpadło wskutek kryzysu gospodarczego. Springsteen kolejny śpiewa o walących się budynkach, pustych ulicach i braku wspólnoty. Smutek i beznadzieja, dopóki nie następuje refren: „Come on, rise up!” („No dalej, powstańmy!”).

Wykonanie tego utworu muzyk poprzedził kilkuminutową przemową:

„Dzieje się coś bardzo dziwnego, niepokojącego i niebezpiecznego. W Ameryce prześladowa się ludzi za korzystanie z prawa do wolności słowa i wyrażanie sprzeciwu. To dzieje się teraz.

W Ameryce najbogatsi ludzie z satysfakcją odwracają się od najbardziej potrzebujących, skazując ich na choroby i śmierć. To dzieje się teraz.

W moim kraju ludzie czerpią sadystyczną przyjemność z cierpienia, które zadają lojalnym amerykańskim robotnikom. Cofają historyczne ustawy o prawach obywatelskich, które doprowadziły do bardziej sprawiedliwego i różnorodnego społeczeństwa.

Porzucają naszych wielkich sojuszników i opowiadają się po stronie dyktatorów przeciwko tym, którzy walczą o wolność. Odbierają finansowanie amerykańskim uniwersytetom, które nie podporządkowują się ich ideologicznym żądaniom. Usuwaają mieszkańców z amerykańskich ulic i bez należytego procesu prawnego deportują ich do zagranicznych ośrodków detencyjnych i więzień.

To wszystko dzieje się teraz.

Ale Ameryka, o której śpiewam wam od 50 lat, jest prawdziwa i mimo swoich wad to wspaniały kraj z wielkim narodem. Przetrwamy ten moment”. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Jan Radomski

● socjolog, publicysta, doktor nauk społecznych, wykładowca akademicki, zajmuje się między innymi relacją kulturą i ekonomii oraz historią strajków. Publikuje w „Wyborczej”, „Krytyce Politycznej” i „Tygodniku Powszechnym”, stale współpracuje z mediami zagranicznymi.

Tylko 14 procent Amerykanów nie lubi „The Bossa”, sympatię doń deklaruje aż 61 procent – zdecydowanie więcej, niż można by przypisać jednej z dwóch największych partii

endowego wypoczynku, rozrywki i sprawunków dla robotników z przemysłowych miejscowości, lecz upadającym wraz z przemianą kwitującego przemysłowego zagłębia w „pas rdzy”.

Politycy obiecali odbudowanie świetności miasta poprzez legalizację hazardu, co skończyło się oddaniem miasta w ręce mafii. Upodabniające się do Gotham, miasta grzechu z komiksów o Batmanie, stało się symbolem fałszywego odrodzenia – złudnej nadziei, która tylko bardziej pogorszyła sytuację klasy robotniczej.

Takie są też losy mężczyzny, o którym snuje opowieść Springsteen. Choć próbuje uczciwie pracować, okazuje się to niemożliwe. „Miałem robotę, próbowałem odłożyć trochę pieniędzy, ale mam dług, których uczciwy człowiek nie splaci”. To jeden z najczęściej przywoływanych fragmentów w twórczości Springsteena. Niezwykle aktualny w kontekście rosnących długów studentów czy ubezpieczeń zdrowotnych.

Trudno uniknąć skojarzeń z wydarzenia z grudnia ubiegłego roku. Przed nowojorskim hotelem Hilton zastrzelono Briana Thompsona – prezesa UnitedHealthcare, firmy sprzedającej polisy zdrowotne, znanej z wyjątkowo bezdusznej polityki odmawiania świadczeń. Na luskach znaleziono słowa: „deley”, „deny” i „depose”, czyli opóźnij, odmów i zaprzeczaj, nawiązujące do sposobów działania firm ubezpieczeniowych.

Klasa polityczna i mainstreamowi komentatorzy przeżyli szok, gdy znaczna część społeczeństwa uznała mordercę za bohatera. W tiktokach, postach, komentarzach Luigi Mangione był przedstawiany jako bojownik o los zwykłych ludzi. Internet zalały chwalebne go memy, w całym kraju skrzyki-

liberalnej polityce Ronalda Reagana oraz Margaret Thatcher. Dopiero w tym roku światło ujrziała historia sprzed czterdziestu lat, o tym, jak wsparł finansowo górnicze rodziny z Anglii, które strajkowały w obronie kopalni w Northumberland i Durham. „Moi rodzice byli robotnikami, całe życie zmagali się z trudnościami. Czytałem o tym strajku w gazetach i poczułem, że chcę się w to zaangażować. To nie było nic wielkiego, po prostu coś dobrego, co można było zrobić” – opowiada w dokumencie BBC.

Jego słowa potwierdzają Anne Suddick i Juliana Heron, członkinie grupy wsparcia strajku, które niespodziewanie dostały zaproszenie za kulisy podczas koncertu Bruce’a w Newcastle. „Nie zrobił tego dla rozgłosu, zrobił to, bo chciał” – wspomina jedna z nich.

Jednocześnie obserwatorom nie umknął paradoks: oto rzecznikiem klasy robotniczej stał się gwiazdor muzyki, którego majątek to kilkaset milionów dolarów. To budziło kontrowersje, nawet jeśli sam Springsteen nie tylko był przedstawiany jako chłopak z robotniczej dzielnicy, który nie zapomniał o swoim pochodzeniu, ale sam się nim czuł.

Springsteen bywa oskarżany o hipokryzję, a przy okazji o zbytnią sympatię do demokratycznego mainstreamu. W 2016 roku wielu fanów było rozczarowanych, ponieważ nie poparł lewicowego, proletariackiego Berniego Sandersa, a deklaratywnie postępową, lecz ucieleśniającą nowojorski establishment i globalizację lat dziewięćdziesiątych Hillary Clinton. Wiele osób zauważało, że Sanders znacznie lepiej wpisuje się w to, co „The Boss” śpiewa, pisze i mówi o nierównościach klasowych, marginalizacji prowincji czy wykluczaniu klasy robotniczej.



Dyrektor z dumą pokazuje wideo z kopulacją tygrysów. Od tego, czy będą kocięta zależy los jego i Kazachstanu

Emilia Sułek

Tylko proszę nie pytać o politykę. Nic o Putina i nic o WWF – mówi biolog Lew Kabanow, stojąc przed drucianą siatką. Za siatką wylegają się dwa tygrysy. Pierwsze w Kazachstanie od niemal stu lat.

Nie podejrzewają, jak ich losy skomplikowała polityka i ile się od nich oczekuje. Rząd Kazachstanu liczy, że tygrysy dadzą mu lepszą pozycję w negocjacjach z Chinami, władze lokalne – na miejsca pracy i turystów, a wielu – po prostu na to, że tygrys wróci na dawne siedliska. Kabanow zaś liczy na święty spokój i to, że uniknie więzienia w Rosji.

Jezioro

Położone na południowym wschodzie Kazachstanu jezioro Bałchasz, trzecie co do wielkości w Azji, łatwo rozpoznać na mapie. Ma sierpowaty kształt i jest wyjątkowe, i to w skali świata: w zachodniej części woda jest słodka, we wschodniej słona.

Jezioro ma kluczowe znaczenie dla energetyki i przemysłu kraju, Kazachstan ma tam budować elektrownię atomową.

Jezioro zasila rzeka Ili, która płynie z Chin przez Ujgurski Region Autonomiczny Xinjiang. Aż 80 proc. wody pochodzi z Ili, ale jest jej coraz mniej. Xinjiang, pustynny i słabo zaludniony, rozwija się błyskawicznie. Chiny budują miasta, przemysł i sztucznie nawadniane rolnictwo.

Coraz mniej wody płynie do Kazachstanu. Rząd w Astanie niechętnie to przyznaje, ale lustro wody w jeziorze Bałchasz opada. Niewiele da się zrobić, bo Chiny nie podpisały międzynarodowych porozumień o wodach transgranicznych, opierają się też umowom bilateralnym. A może jednak da się? Z pomocą tygrysa?

Na południowym brzegu jeziora długiego na 600 km rozciągają się olbrzymie pola dzikiej przyrody. W 2018 roku utworzono tu rezerwat Ili-Bałchasz. Ponad 3,5 tys. km kw. – to więcej niż wszystkie parki narodowe w Polsce razem wzięte – to przyszłe królestwo tygrysa.

Do połowy ubiegłego wieku obszar Azji od Kazachstanu po Iran i Azerbejdżan był siedliskiem tygrysa turańskiego. Rosyjska kolonizacja przyniosła jego kres. Masowe polowania, reklamacja dzikiej przyrody pod rolnictwo, wysychanie rzek i zanik lasów tułajowych, naturalnego habitatu tygrysa, doprowadziły do zaniku populacji.

Ostatni tygrys w Kazachstanie zastrzelony został w latach 40. Ostatni albo niemal ostatni stoi wypchany w muzeum na kampusie Kazachskiego Uniwersytetu Narodowego im. Al-Farabiego w Almaty.

W 2010 roku Światowy Fundusz na rzecz Przyrody WWF ogłosił Global Tiger Initiative, światowy program odbudowy populacji tygrysów. Kazachstan od razu zadeklarował udział, w 2017 roku podpisał memorandum o współpracy.

Cel był ambitny, być może najbardziej z całego programu: przywrócić naturze tygrysa turańskiego. Jako że nie ma ani jednego żywego osobnika, do programu wybrano tygrysa amurskiego z Rosji. To on ma być podstawą hodowli.

Rezerwat

Rezerwat Ili-Bałchasz jest zamknięty.

– Skąd żeście się tu wzięli? – pyta Kanat Kodżabekow, dyrektor rezerwatu, witając nas przed biurem we wsi Karaoj.

Jestem tu za osobistą zgodą ministerstwa ekologii, dzięki pomocy kanału Turan TV. Właściciel Roman Botabekow chwali się, że pił nawet z Michaiłem Gorbaczowem, który był przecież niepijący. Ma kilka firm budowlanych i transportowych oraz telewizję. Programy przyrodnicze grają w niej główną rolę.

Z Almatów, największego miasta na południu Kazachstanu, jedzie się do tygrysów cały dzień. W Karaoj jest biuro: gliniana chałupa, komputer, telefon satelitarny. Na ścianie logo WWF, chyba ostatnie. Tu też kończy się asfalt. Kolejna godzina jazdy i dojeżdżamy do punktu kontrolnego. Jeszcze raz sprawdzają papiery i mogą jechać dalej. Trzy kilometry od brzegu jeziora bije serce projektu. Tu urzęduje Lew Kabanow i tu mieszkają tygrysy.

Kabanow to ekspert rangi światowej. Prowadził projekt rehabilitacji tygrysa amurskiego w Rosji, pracował w Akademii Nauk, potem w rosyjskim oddziale WWF. Od roku dowodzi centrum reintrodukcji tygrysa nad Bałchaszem. W budynku komputer, dwa monitory, stół, metalowe prcye – warunki spartańskie. I dwie lodówki pełne mięsa.

Tygrysy zjadają jedną krowę na tydzień. Karmienie odbywa się w rękawiczkach, panuje reżim sanitarny. To tygrysy wagi państwowej.

Kabanow ma doktorat z biologii z Władywostoku. Tam mieszka jego żona, ichtiołożka, ale od ryb morskich, toteż do Kazachstanu się nie wybiera. I Władywostok, i Bał-



• **Tygrysy amurskie z Holandii: samica Bogdana (na zdj.) i samiec Kuma mają w rezerwacie Ili-Bałchasz w Kazachstanie zapoczątkować odbudowę i hodowlę zniszczonego w latach 40. XX w. gatunku tygrysa turańskiego. Różnice genetyczne między tymi gatunkami tygrysów są bowiem minimalne**

• **Centrum reintrodukcji tygrysów w rezerwacie Ili-Bałchasz w pobliżu jeziora Bałchasz. Ogrodzony wybieg ma 10 ha a każdy ruch tygrysów jest monitorowany**

• **Gospodarz Ili-Bałchasz dyrektor Kanat Kodżabekow (z papierosem) ze swoimi pracownikami oraz biologką i deputowaną do parlamentu Ajdżan Skakową, przed biurem rezerwatu we wsi Karaoj**

FOT. DANIL USMANOV (3)

chasz mają tygrysa w herbie. Dzieli je 6 tysięcy kilometrów. Kabanow jeździ tam i z powrotem, niezbyt chętnie. Woli spędzać czas z tygrysami.

Również tygrysy nie żyją tu całkiem wolno. Z olbrzymiego rezerwatu wycięto 10 hektarów, to jakieś 10 boisk do piłki nożnej, ogrodzono siatką wysoką na sześć metrów, na górze elektryczny pastuch, wkopano jest jeszcze na metr w ziemię. Dookoła kamery.

Każdy ruch tygrysów widać na monitorze Kabanowa. To tygrysy amurskie.

– Kiedy będzie można mówić, że to tygrysy turańskie? – pytam.

– Kiedy urodzą się kocięta – odpowiada Kabanow. Przy tak małych różnicach genetycznych ius soli, czyli prawo ziemi, wydaje się mieć ostatnie słowo.

Sprowadzenie tygrysów nad Bałchasz poprzedziły mozolne przygotowania. Teren

trzeba było zasiedlić, bo tygrys coś jeść musi. Z Uzbekistanu przywieziono jelenie bucharskie, są w „Czerwonej księdze gatunków zagrożonych”. Z innych części Kazachstanu dowieziono kulany (dzikie osły). Gazele dżejran mieszkaly tu i wcześniej, ale groziło im wyginięcie z powodu kłusownictwa. Pomogło prawo grożące konfiskatą broni.

Teren jest zalesiany, w szklarni w Kara-oj rosną sadzonki wierzb, topoli, saksaulów i tamaryszków. Buduje się uruchamiane baterią słoneczną wodopoje. Rezerwat nie jest grodzony, by kopytne mogłyby wyemigrować dalej. Ważne, żeby miały idealne warunki, karmę i wodę i były tu z dobrej woli, podkreśla Kabanow.

W czerwcu 2024 roku Kazachstan podpisał umowę z ośrodkiem Stichting Leeuw przy ogrodzie zoologicznym Landgoed Hoenderdaell w Holandii. Ośrodek, największy w Europie, opiekuje się kotami po przejściach. Do takich należą samiec Kuma i samica Bohdana. Trzynastoletnia Bohdana uratowana została z niemieckiego zoo, dziesięcioletni Kuma z parku safari we Włoszech. Jeden z kolegów Kумы zjadł właściciela parku. Park zlikwidowano.

Robert Kruijff, dyrektor ośrodka, wyjaśnia, że celem nie jest przetrzymywanie kotów w Holandii, choć warunki mają przednie. Mieszkają na osłoniętych od gapiów wybiegach, ćwiczą polowania. Drapieżniki się leczą i wyprowadza na prostą, potem szuka im nowego domu. Bo tygrys lubi przestrzeń.

Nad Bałchaszem miejsca jest sporo. Biolodzy wyliczyli, że w rezerwacie zmieściłoby się nawet 120 tygrysów. To czysta teoria, podkreśla Kabanow. Celem programu jest doprowadzenie populacji do pół setki do 2035 roku. Sukcesem będzie nawet 20 sztuk, to najmniejsza stabilna populacja, która może przetrwać bez człowieka.

Na razie program idzie tak sobie. Na drodze stanęła polityka. Rosja napadła na Ukrainę, zmieniając losy nie tylko ludzi, ale i zwierząt.

Kuma, samiec, miał jechać do Rosji, transport już czekał. Po 24 lutego 2022 roku holenderski ośrodek zawiesił jednak współpracę z Rosją. Zamiast tego zajął się ratowaniem kotów z Ukrainy. „Dobro zwierząt jest dla nas najważniejsze, ale od polityki uciec się nie da” – mówi Kruijff, dyrektor ośrodka.

Kazachstan z kolei miał obiecać tygrysy z Rosji, znad Amuru. Nie dostał. – Przez sankcje – przyznaje Kodżabekow, dyrektor rezerwatu Ili-Bałchasz. Nie zachodnie sankcje przeciw Rosji, ale te którym Rosja poddała WWF.

W marcu 2023 roku Rosja wpisała WWF na listę zagranicznych agentów.

W czerwcu Kreml poszedł o krok dalej i uznał WWF za organizację niepożądaną.

Rosyjskie ministerstwo sprawiedliwości oznajmiło, że WWF utrudniał realizację projektów przemysłowych i infrastrukturalnych w Arktyce. Prokuratura oskarżyła go o wspieranie rosyjskich organizacji z czarnej listy: Przyjaciół Bałtyku i Sachalin Environmental Watch. Tak skończyła się działalność WWF w Rosji, która zaczęła się jeszcze w 1989 roku, zanim padł ZSRR.

Ochrona tygrysa, flagowy projekt WWF, cieszyła się poparciem Kremla. Global Tiger Initiative obejmujący 13 państw ogłoszono w Petersburgu.

Kabanow pracował w programie hołubionym przez Kreml, dziś nie wypowiada się pod nazwiskiem. Nie pracuje już w WWF, zatrudnia go Stowarzyszenie Ochrony Dzikich Kotowatych „Dżolbarys” (po kazachsku Tygrys) zarejestrowane w Kazachstanie w styczniu 2024 roku. Pytam, czy finansuje je WWF.

– Proszę nie pytać o politykę – przypomina Kabanow.

I WWF, i Kazachstan były w kropce. Program ma opóźnienie. Każdy rok kosztuje pół miliona euro, to tylko wydatki WWF. Dokłada się Program Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju. Kazachstan też zainwestował w budowę rezerwatu. Z pomocą przyszli Holendrzy, dali Kazachom pierwszą parę kotów. Bohdana i Kuma we wrze-

śniu 2024 roku dotarły nad Bałchasz samolotem, helikopterem, potem samochodem. Botabekow był z nimi na pokładzie, słyszał ich złowrogi ryk.

Kuma wysiadł, obsikał teren, objął panowanie nad wolierą. Obok wprowadziła się Bohdana.

– Przyjazd tygrysów to kropka nad i – mówi Ajdżan Skakowa, biolożka i deputowana partii zielonych Baytaq, występuje też w Turan TV. – Odtworzenie całego ekosystemu, populacji gazeli, jeleni bucharskich i kulanów to sukces bez precedensu. Olbrzymi koszt, wieloletni wysiłek, skomplikowana logistyka.

W dzikiej przyrodzie holenderskie tygrysy nie dałyby sobie rady. Wprawdzie ćwiczyły na symulatorze polowań, ale raczej dla sportu. Karmił je człowiek. W naturze to matka uczy kocięta polować, w tej roli Bohdanę zastąpi Kabanow. Ma doświadczenie z Rosji: wpuszcza się na wybieg mysz, potem królika, w końcu coś większego. „Ważne, by zdobyć nie była za duża. Młody tygrys nie może poczuć, że jest w tej grze przegranym”.

Tygrys to tygrys

Do 1991 roku Kazachstan był największą republiką ZSRR. Dziś we Wspólnocie Niepodległych Państw próbuje prowadzić politykę możliwie niezależną od Rosji. Prezydent Kassym-Dżomart Tokajew zapowiedział, że nie uzna Doniecka i Ługańska jako republik ludowych.

Po 2022 roku w kraju nasiliły się obawy, że Kreml może sięgnąć i po część Kazachstanu. Putin lubi podkreślać, że to kraj rosyjskojęzyczny. Jest dwujęzyczny: kazachski to język państwowy, planowane jest przejście z cyrylicy na alfabet łaciński.

Również na temat tygrysa Putin zdaje się wiedzieć lepiej. W Kazachstanie rozmowa z forum o współpracy bilateralnej w 2021 roku stała się wiralem. „Tygrys to tygrys” – mówi Tokajew, bez różnicy: z Indii, Rosji czy Bangladeszu.

Dziś istotnie uznaje się, że są dwa podgatunki: kontynentalny i wyspowy, na Sumatrze. Reszta – turański, amurski czy bengalski – to populacje wewnątrz podgatunków. Tygrys amurski i turański były sobie szczególnie bliskie. Różnice genetyczne minimalne, zbliżone warunki życia: w Kraju Nadmorskim w Rosji jest wprawdzie wilgotniej, ale w Chabarowskim jest jak w Kazachstanie, zima do -40 i upalne lato. Mimo że Tokajew jest na bieżąco z nauką, Putin wbija mu się w słowo: „Moment! To Rosja ma największe tygrysy na świecie!”.

Władze Kazachstanu i Rosji umówione są na przekazanie jeszcze w 2025 roku czterech tygrysów amurskich. Dzikich, prosto z tajgi. Sprawa nie jest pewna, w końcu to program zainicjowany przez WWF. Dlatego w rezerwacie logo z pandą zdjęto, lepiej nie drażnić sąsiada.

– Jesteśmy dziewiątym co do wielkości państwem świata. Chronimy środowisko, odbudowaliśmy populację suhaków stepowych, pracujemy nad tygrysem – deputowana Skakowa się denerwuje. – A jednak nie było biura WWF Kazachstan, podlegaliśmy WWF Rosja. I jak Kreml wpisał WWF na czarną listę, zrobił się problem. Przecież to sytuacja niemal kolonialna!

Od 2024 roku WWF pracuje nad otwarciem biura w Almaty, bez oficjalnych związków z tygrysem.

Riwiera

Jeziro Bałchasz to popularne miejsce wypoczynku, kazachska riwiera. Ale do Kara-oj turyści nie przyjeżdżają, bo warunki są kiepskie. Ostatnia wieś przed rezerwatem ma ledwie 2,5 tysiąca mieszkańców. Składa się z porozrzucanych na sporym obszarze domów. 384 dokładnie.

Jest koniec kwietnia, 30 stopni. Szyby w oknach są pozaklejane folią, drzwi pozamykane. Przez każdą szparę wiatr i tak wbił pył. Ludzie mają twarze spalone słońcem, jakby wrócili z wakacji. A to koniecień, prawdziwe upały dopiero nadejdą.

Trochę ochłody daje rzeczka Naryn, która wije się przez wieś. To dopływ Ili, która wpada do jeziora Bałchasz. Naryn daje przede wszystkim zarobek. Taki jak ten, z którego żyją Adilet Abiszew i jego rodzina.

Adilet – jego imię to po kazachsku Sprawiedliwość – patroszy ryby na podeście przed domem. Z podwórka ma wyjście prosto nad rzekę. Ręce ma umazane krwią, w rękach ślizgają się tłuste sandacze i karpie. Wrony lażą po brzegu, czekając na rybnie flaki.

Abiszew nie owija w bawelnę, mimo że miałby powody. Wszystkie pięć ryb, które leżą przed nim w misce, złowił nielegalnie. Od końca kwietnia do początku czerwca obowiązuje zakaz połowu ze względu na tarło. Abiszew codziennie wychodzi łódką na połów. „A jaki mam wybór?” – pyta.

Ryby to tylko jedna ze zdobyczy mieszkańców Kara-oj. A jest tych ryb wiele: sandacze, karasie, płocie, leszcze, okonie, amury. Abiszew poluje, nie tylko na bażanty i ptactwo wodne. Mimo że Kazachstan to kraj przeważająco muzułmański, Kazachowie z Kara-oj polują i na dziki, poza tym również na inne kopytne, też z rezerwatu.

Broń ma nie tylko Abiszew, ale i jego sąsiedzi. Nierejestrowaną, bo to kosztuje. Pozwolenie trzeba rokrocznie odnawiać, z na-

„Takiego mięsa jak tygrysy nie je tu nikt. Myjemy tanie kurczaki”

bojów się rozliczać, prowadzić książeczkę polowań. Od upadku ZSRR w Kara-oj nie ma lepszego źródła zarobku niż kłusownictwo.

„Kiedy był tu kolchoz, uprawialiśmy lucernę i inne rośliny pastewne i nieźle się żyło” – mówi mi wójt Adigali Bolatow. Kolchoz hodował też piżmaki dla przemysłu futrzarskiego. Dziś na sprzedaż poza rybami idzie głównie trzcina, materiał izolacyjny dla budownictwa. Hodowla krów dla rezerwatu nie wchodzi w grę. Tygrys je wołowinę, ale nie każdą, tłumaczy Bolatow. Mięso sprowadzane jest spoza regionu. „Takiego mięsa jak tygrysy nie je tu nikt. Myjemy tanie kurczaki”.

Bezrobocie to niejedyny zmartwienie wójta. Wieś leży daleko od miasta. Internet jest tylko w biurze rezerwatu, telefon też nie zawsze łowi. Bakanas, siedziba powiatu, jest dwie godziny stąd, do Almaty jedzie się pięć. Droga też jest marna. Na dziurawym asfalcie wylegają się żółwie. Bliżej miasta policja sprawdza bagażniki pod kątem nielegalnego mięsa i ryb.

„Mam nadzieję, że tygrys przyciągnie turystów” – mówi Bolatow. Obiecano mu, że znajdą się pieniądze na remont drogi. Przydałby się hotel. Na razie wszystko to wydaje się bajką. Tak jak bajkowa jest opowieść o ostatnim tygrysie.

Był rok 1925, zniwa. Kobiety podniosły alarm, że w stogu siana śpi tygrys. Sadylbaj Beudżanow wziął strzelbę z kolka i poszedł ratować wieś, opowiada jego wnuk Arstan – po kazachsku Lew.

– Taki był w ZSRR stosunek do tygrysa: to szkodnik, a szkodniki się tępi.

Skóra była lśniąca i piękna jak dywan, ale władza radziecka skórę zabrała. Arstan kierował domem kultury, dziś chce organizować festiwal tygrysa w rocznicę przyjazdu Bohdana i Kумы, pierwszych tygrysów w rezerwacie. A raczej Bohdagul i Kumanbek, bo koty dostały kazachskie imiona.

„A rezerwat: czy to nie dobre miejsce pracy?” – pytam Abiszewą, który skończył patroszyć ryby.

„Nie – odpowiada zdecydowanie. – Pensje są śmieszne”.

90 tysięcy tenge miesięcznie, jakieś 650 złotych, to poniżej średniej krajowej. Ciągłe jesteś poza domem, w czasie wolnym musisz być dyspozycyjny. Ani nie dorobisz na boku, ani nie jesteś z rodziną.

Abiszew żyje skromnie, ale wiąże koniec z końcem. Taki sazan, dziki karp, Abiszew obraca w rękach wielką rybę, waży z siedem kilo. Za kilogram skup płaci 2000-3000 tenge (14-21 złotych). W okresie zakazu połowów skup jest zamknięty, ale rybę i tak kupi.

Potwierdza to Kodżabekow, dyrektor rezerwatu, kiedy umawiam się z nim po służbie, już bez munduru: – Pracę za taką pensję można uznać za akt patriotyzmu.

Zmiana trwa dziesięć dni, potem trzy dni przerwy i znów do pracy. Do takiej orki trudno znaleźć pracowników. Obecnie jest ich około setki. – Na razie mamy dwa tygrysy, i to w wolierze. Jak dojadą tygrysy dzikie, znad Amuru, ktoś będzie musiał tych kotów pilnować.

Rachunek ryzyka

Aleksander Orłow nie rozmawia z mediami. Dawny kierownik środkowoazjatyckiego programu WWF Russia pilnuje, by nie zarejestrowała go żadna kamera. Nie pełni żadnej oficjalnej funkcji. Mieszka w Kazachstanie, jeździ jednak do rodziny do Rosji.

– Jeśli moja ojczyzna uzna, że pracuję z WWF, grozi mi sześć lat więzienia – mówi. Zgadza się jednak na rozmowę pod zmienionym nazwiskiem. – Była pani wyjątkowo uparta.

Nie ma gwarancji sukcesu, przyznaje Orłow. Pierwsze ryzyko to pożary. Sprzedaż trzciny to źródło zarobku, ludzie podpalają zarośla, by trzcina lepiej rosła. Dlatego rezerwat obstawiony jest wozami strażackimi.

Na drugim miejscu jest woda. Jeśli Bałchasz będzie wysychać, zginie cały ekosystem i projekt straci rację bytu. Jezioro jest płytkie, średnia głębokość to sześć metrów, woda szybko paruje. W środkowym miejscu – gdzie na północnym brzegu jest 74-tysięczne miasto Bałchasz, a na południu tygrysy – ma szerokość zaledwie 30 kilometrów.

Zimą trzeba będzie pilnować, by tygrysy nie przeszły po lodzie do miasta.

Gdyby jezioro podzieliło się na dwa, drogę migracyjną miałyby otwartą cały rok.

Jest jednak szansa, że tygrys pomoże Bałchaszowi. – Chiny obserwują projekt, bo tygrys jest dla nich niemal święty, jeden z 12 znaków zodiaku – mówi Orłow. Te dwa, w wolierze, jeszcze się dla Chin nie liczą. Ale kiedy pojawi się większa populacja, może Pekin zacznie lepiej dzielić się wodą z Ili. To jedna z motywacji Kazachstanu.

A jeśli tygrys wejdzie do wsi? Rybak Abiszew z Kara-oj mówi jasno: – Zastrzelimy. Za zabicie tygrysa grozi sprawa karna. Za takiego, co napada na ludzi, nie wiadomo.

–To się nie wydarzy, bo każdy tygrys będzie miał nadajnik – uspokaja Orłow. Rezerwat podzielony jest na strefy: zieloną, żółtą i czerwoną. Tygrys, który przekroczy granicę, będzie odławiany, poddany reedukacji, nawet karnie odesłany w inne miejsce. „A jak zje chłopu krowę?” – pytam. – Właściciel dostanie nową krowę. Ale nie gotówkę, to sprzyjałoby nadużyciom.

Jest jeszcze inne ryzyko – że koty nie będą się rozmnażać. Bohdagul i Kumanbek nie są najmłodsze, choć wciąż w sile wieku. Ale żadne nie miało dotąd potomstwa. W ramach innego projektu WWF, na Kaukazie, wypuszczono do dzikiej przyrody perskie lamparty. Od 2016 roku nie uległo się ani jedno kocię. Może trwać lata, zanim populacja tygrysów urośnie.

Dyrektor rezerwatu Kanat Kodżabekow jest jednak optymistyczny. Tygrysy dobrze się czują. Przeszły kwarantannę, przetrwały zimę, przed nimi pierwsze upalne lato. Na aplikacji w telefonie dyrektor ogląda nagrania z woliery. Ma folder: „Tygrys: the best of”.

Z dumą pokazuje wideo z kopulacją tygrysów. W tle słychać z offu: „Hura! Pieprzą się!”.

Artykuł powstał w ramach grantu dziennikarskiego ProWOZ. Krótsza wersja tekstu ukazała się w „Die Wochenzeitung”.

Korsyka nie dla oczu turystów

WYSPA PIĘKNA.
ALE TAKŻE MAFII

Korsyka jest podzielona na strefy wpływów około 20 klanów, które wykorzystują jej zasoby naturalne i gospodarcze poprzez zastraszanie i przemoc. Ale teraz ludzie zaczynają mówić mafii: „dość”.

Daniel Verdu

Korespondencja z Bastii

EL PAÍS

5 grudnia 2017 r. kamery na lotnisku w Bastii zarejestrowały mężczyznę w masce, który podążał za dwoma innymi. Jeden z nich właśnie wylądował lotem Air France 4462 z Paryża. Drugi czekał, by zabrać go do domu. Byli to Tony „The Butcher” Quilichini, który właśnie skończył odsiadkę, i jego przyjaciel Jean-Luc Codaccioni, który był na przepustce z więzienia w stolicy.

Idący za nimi mężczyzna wyciągnął z torby karabin automatyczny i otworzył ogień. Quilichini został trafiony 21 kulami w plecy, ale napastnik dla pewności dobił go strzałem z pistoletu 9 mm w głowę. Codaccioni, który został postrzelony pięć razy, zmarł kilka dni później w szpitalu.

W rzeczywistości obaj dostali wyrok śmierci już dziesięć lat wcześniej.

Krew na rękach ojców plami ich dzieci, mówi stare korsykańskie przysłowie, które ma wyjaśniać niekończący się cykl przemocy, jakim naznaczona jest Île de Beauté, czyli Wyspa Piękna, jak nazywana jest Korsyka. Kiedy ktoś decyduje się zabijać na tej imponującej skale na środku morza – miejscu o najwyższym wskaźniku zabójstw we Francji (współczynnik 3,7 na 100 tys. mieszkańców) i jednym z najbardziej uzbrojonych zakątków Europy (350 sztuk broni na 1000 mieszkańców), może być pewien, że prędzej czy później dzieci jego ofiar będą chciały się zemścić. Ta nieublagana logika wendety od czasów starożytnych obowiązuje na zamieszkaną dziś przez ok. 350 tys. ludzi Korsycę.

Zabójcą na lotnisku w Bastii był 32-letni Christophe Guazzelli. Wysoki, o jasnoniebieskich oczach, dorastający w burżuazyjnym komforcie – jego rodzina wysłała go na lata na kontynent, aby utrzymać go z dala od trucizny korsykańskiej przemocy. Ale ci dwaj mężczyźni na lotnisku w 2009 r. zamordowali Francisca Guazzellego, jego ojca i jednego z założycieli Brise de Mer (od nazwy baru w starym porcie Bastii), pierwszej funkcjonującej jak nowoczesna korporacja mafii na Korsyce. Christophe uważał, że nie miał wielkiego wyboru: czekał dziesięć lat, aby dokonać zemsty zrujnować także swoje życie.



• Ajaccio 8 marca 2025: 2 tys. osób wzięło udział w demonstracji przeciwko przestępczości zorganizowanej. Sprzeciw wobec mafii jest coraz szerszy i wykracza już poza działania obywatelskich kolektywów
FOT. ONLYFRANCE / ALAMYSTOCK PHOTO

Poza pragnieniem odwetu kierował nim jednak jeszcze jeden cel: przywrócenie reputacji organizacji ojca poprzez wyeliminowanie szefów konkurencyjnego klanu.

To podwójne zabójstwo było, jak się okazało, punktem zwrotnym w historii korsykańskiej mafii, która obecnie znajduje się w stanie niespotykanego bezkrólewia. Według niepokojącego raportu służb kontrwywiadowczych opublikowanego w czerwcu przez „Le Monde”, około 20 klanów intensywnie próbuje podzielić swoje terytorium horyzontalnie, to znaczy bez szefa wszystkich szefów. Być może właśnie dlatego akurat teraz korsykańskie społeczeństwo obywatelskie, politycy i francuski wymiar sprawiedliwości zaczynają nazywać sytuację na wyspie po imieniu.

Maffia No, a vitta iè!

„Istniały kulturowe powody, dla których państwo nie chciało uznać skali wpływów mafii na Korsyce. Francja jest krajem republikańskich praw – jak mogła przyznać, że toleruje ich brutalne zaprzeczenie na Korsyce? Przez dekady byli tu liczni bierni i aktywni wspólnicy tego stanu rzeczy, wielu urzędników państwowych, którzy nie chcieli nazywać choroby po imieniu. Ale teraz już wygraliśmy przynajmniej bitwę semantyczną. Istnieje rozbudowany mafijny system, którego nie wymyśliliśmy, my go tylko opisaliśmy” – mówi Léo Battesti, były działacz na rzecz niepodległości Korsyki, a obecnie założyciel stowarzyszenia Maffia No, a vitta iè (Nie dla mafii, tak dla życia).

Klany – Mattei, Pantalacci, Mocchi i inne – mają realny i przemożny wpływ na życie na wyspie. „Większość z nich spenetrowała wszystkie sektory – politycz-

ne, społeczne i gospodarcze – wyspy i teraz starają się zdominować legalne przedsięwzięcia, które wydają się im najbardziej opłacalne”, pisze w swoim raporcie Sirasco (Służba Wywiadu Kryminalnego Policji Sądowej). Interesują się budownictwem, gastronomią, hotelarstwem, żeglugą, rynkiem nieruchomości. Równowaga między tymi grupami jest wciąż krucha i w każdej chwili może zostać zachwiana przez otwarte i gwałtowne konflikty, bo w tym środowisku wzajemna nienawiść fermentuje od dziesięcioleci.

„Jeśli mój syn powie mi kiedyś, że zamierza założyć tu bar, odradzę mu to. Jeśli zapyta mnie o sens wejścia w biznes turystyczny, także powiem mu: nie. Jeśli pomyśli o otwarciu dyskoteki czy firmy budowlanej, powiem mu to samo. Nawet gdyby chciał się zająć robotami publicznymi, co mu pozostaje? Dołączyć do nich, grać według ich zasad – albo szybko opuścić Korsykę” – mówi nam miejscowy sędzia.

Dwie przestępcze potęgi – Brise de Mer za północy i klan Jeana-Jérôme’a Colonna, pseudonim Jean-Jé, na południu wyspy – dominują w strukturach przestępczości zorganizowanej na Korsyce od ok. 20 lat i narzuciły jej społeczeństwu kontrolę, która wciąż obowiązuje, mimo turbulencji, jakie przechodzą klany.

Śmierć Jeana-Jé w wypadku samochodowym 2006 r. i bratobójcza wojna w Brise de Mer w latach 2008-09 otworzyły pierwszy etap transformacji, której kulminacją było morderstwo na lotnisku w Bastii w 2017 r. Na południu gang Petit Bar przejął schemat po grupie Jeana-Jé. Według

**To mała wyspa.
Każdy zna każdego.
W jednej rodzinie
może być polityk,
biznesmen, mafioso
– i trudno powiedzieć,
czy to tylko
więzy rodzinne,
czy już infiltracja**

służb, sytuacja jest nadal „niestabilna”. W raporcie Sirasco zauważono, że „w ciągu ostatnich kilku miesięcy doszło do licznych przetasowań, które wstrząsają lokalną równowagą i budzą obawy o niekontrolowaną eskalację napięć”.

Walizka albo trumna

Prokurator Jean-Philippe Navarre – ogolona głowa, postura pięściarza i niezachwiana determinacja w oczach – wita nas w swoim biurze w gmachu sądu w Bastii. Ma na koncie pracę w wydziałach do walki z przestępczością zorganizowaną w takich miejscach jak Marsylia, Lille i Antyle. Na biurku w gabinecie stoi zdjęcie graffiti z jednej z ulic Bastii, obok jego nazwiska znajdują się tam dwa rysunki: walizka i trumna. Albo zmykasz, albo giniesz, głosi przekaz dla Navarre’a. „Jestem przyzwyczajony do takich czułych wiadomości”, żartuje prokurator.

Ale poważnie dodaje: „Każdy przestępca z kontynentu, handlarz, który dorobił się fortuny na biznesie narkotykowym, marzy o zabraniu swoich pieniędzy do

Dubaju, posiadaniu hoteli, willi, niezliczonych kobiet.

Ale marzenie korsykańskiego przestępcy jest trochę inne: wracać ze swoich luksusowych azylów każdego lata i sprawiać, by ludzie z pokorą spuszczały wzrok, gdy on siedzi na tarasie korsykańskiego baru”.

Navarre wyjaśnia swój cel: „Kiedy ci ludzie wreszcie przestaną tu być szanowani, kiedy zostaną odrzuceni za swoją przemoc, wtedy z nimi wygramy. To praca dla wymiaru sprawiedliwości, instytucji państwa, edukacji narodowej i społecznych kolektywów. Wszyscy muszą się zmobilizować, aby coś się zmieniło na lepsze” – mówi, wskazując na działania w szkołach jako pierwsze ogniwo w łańcuchu zmian.

Terror separatystów,
wolnościowy etos mafii

Korsyka z jej silnymi impulsami niepodległościowymi, wynikającymi z genueńskich korzeni wyspy, zawsze była osobnym, obcym ciałem w jednym z najbardziej centralistycznych krajów Europy. Ruchy separatystyczne, takie jak Narodowy Front Wyzwolenia Korsyki (FLNC), przez lata terrorizowały ludność bombami i zamachami, domagając się od Paryża suwerenności dla Korsyki. Lata 60. i 70. były „dekadami ołowiu i krwi”. Prefekt, czyli lokalny przedstawiciel rządu, był tu postrzegany jako kolonizator i ciemiężca.

W hallu prefektury wisi plakat zapowiadający koncert orkiestry z Awinionu w Ajaccio 6 lutego 1998 r. Tego dnia Claude Éri-gnac, ówczesny prefekt, wysadził żonę przed drzwiami teatru i odjechał poszukać miejsca na parkingu. Gdy szedł od samochodu, Yvann Colonna, nacjonalistyczny terrorysta, strzelił mu z bliska trzy razy w plecy. Colonna stał się dla wielu wyspiarzy rodzajem bohatera narodowego, jego portrety można do dziś znaleźć na ulicach Bastii czy Ajaccio.

Jerôme Filippini jest prefektem Korsyki południowej od 2024 r. Jest bardzo bezpośredni jak na urzędnika państwowego. Nie używa eufemizmów. Tak, istnieje mafia. Jest obecna w polityce, na ulicy, w społeczeństwie. Kilka miesięcy temu, kiedy przed prefekturą odbyła się pierwsza demonstracja przeciwko temu zjawisku, Filippini wspinał się na pakę ciężarówki z megafonem, aby zachęcić ludność do walki z patologią, do złamania omerty. „Nie jestem fatalistą, nie wierzę, że społeczeństwa są skazane na swój los przez historię. Ani w to, że jednostki są osaczone i ubezwłasnowolnione przez społeczeństwo, do którego należą. Jeśli tylko wszyscy tego zechcą,

możemy pozbyć się tych ludzi” – przekonuje.

Omerta obowiązuje w „teatrze cieni”

Jest to jednak trudne. Na wyspie nikt nie rozmawia o ukrytych strukturach władzy. W tak niewielkiej wyspiarskiej społeczności, kiedy dochodzi do przestępstwa, prawie niemożliwe jest nie znać, bezpośrednio lub pośrednio, ofiar bądź sprawców, zazwyczaj jednych i drugich. Świadkowie milczą, gdy przyjeżdża policja, a w dniu procesu nie stawiają się ławnicy.

„Pierwszą rzeczą jest zbudowanie zaufania do państwa i policji. Z powodów historycznych między Korsyką a Republiką panuje nieufność. I dopóki tak jest, dopóty górą będzie przestępczość. Należy jasno potępiać zło, mówić głośno o sprawcach. I robić to z pewnością siebie. Ale to wymaga czasu. A także instrumentów prawnych, które pozwolą na konfiskatę aktywów mafii” – mówi prefekt.

Francja przyjęła niedawno nowe, surowe przepisy antynarkotykowe: więzienia o zaostrozonym rygorze, usprawnienie procedur ścigania i szersze uprawnienia prokuratorów zajmujących się przestępczością zorganizowaną.

Korsyka pozostaje jednak osobnym przestępczym ekosystemem, który trudno rozszyfrować.

„To teatr cieni. Służbom wręcz trudno dostrzec pewne rzeczy. Mafia istniała tu zawsze, już w XIX w. obowiązywał kult dominacji poprzez siłę, przemoc, morderstwa, ale między bandytami a władzą polityczną i ekonomiczną długo istniała wyraźna przepaść. Obecnie, gdy wzajemne przenikanie światów jest na porządku dziennym, ważną nowością jest sprzeciw społeczny, kolektywne antymafijne, które nazywają mafię, jak należy: przestępcami” – analizuje Léo Battesti.

Battesti sam długo uciekał się w ramach swojego nacjonalistycznego aktywizmu do przemocy, ale ostatecznie – jak mówi – zrozumiał absurdalność „zbrojnej walki”, która w wielu przypadkach kończyła się zasiadaniem przy stole z organizacjami takimi, jak Brise de Mer, których celem nie jest niepodległość, tylko podzielenie wyspy na swoje strefy wpływów.

„To był błąd. Nadałiśmy mafii niemal polityczny charakter, ludzie identyfikowali ją z separatyzmem. W efekcie klany rozpanoszyły się i wywierają brutalną presję na wszystkie sektory gospodarki. Cała wyspa jest pod presją. Nawet ci, którzy twierdzą, że tak nie jest: można w ciemno założyć, że to właśnie oni są pod presją największą”.

Jeden atak dziennie przez rok

Fala ataków na przedsiębiorstwa była w ostatnich miesiącach szczególnie dotkliwa. Korsykańska Izba Handlowa wezwała kilka tygodni temu w oficjalnym apelu do zaprzestania przemocy. I to już drugi raz. A chodzi o gospodarkę wyspy, na której stopa bezrobocia (6,4 proc.) jest niższa niż średnia francuska (7,4 proc.) i który ma ogromny, nadal niewykorzystany w pełni potencjał turystyczny. „Faktem jest, że fala przestępczości nie słabnie, tylko wciąż rośnie i rozprzestrzenia się. Tymczasem żadna gospodarka nie będzie prosperować, żadna zdrowa ludzka społeczność nie zosta-

nie zbudowana na popiołach i nie-szczęściach” – czytamy w apelu.

W 2024 r. doszło do 364 aktów przemocy (podpalenia lub wybuchy) wymierzonych w korsykańskie firmy, które odmówiły zapłaty haraczu lub przyjęcia członków klanów jako partnerów biznesowych. Jeden atak dziennie przez cały rok. W tym aż 18 morderstw w przeciągu 12 miesięcy. Sześć statków splonęło wraz z ładunkami w portach Calvi, Ajaccio i Saint-Florent.

Trudno jednak określić prawdziwą skalę tej przemocy. „Zakładamy, że na oficjalne skargi wciąż decydują się nieliczni. Dziś nie chodzi już o opłacanie się w kopertach na koniec miesiąca, ale o przymusowe wchodzenie przestępców do firm w charakterze partnerów, przede wszystkim w zyskach, czasem realizowane tylko przez samą natarczywą obecność, nawet bez konieczności werbalizowania gróźb. To sprawa, że jeszcze trudniej wykryć, wskazać, nazwać tę przemoc”, mówi pułkownik Charles-Guillaume Lacoste z żandarmerii w Ajaccio.

Wysilki żandarmerii i policji na Korsyce to wypisz-wymaluj mit o Syzyfie. Nikt nie ma odwagi powiedzieć, że tę walkę da się szybko wygrać. Wszystkie aspekty życia na wyspie są zbyt uwikłane w działania przestępczego podziemia. Trudno jest jasno wyznaczyć strefę wpływów mafii.

„Jest ściśle zintegrowana ze społeczeństwem, na tym polega problem. To nie jest grupa handlarzy narkotyków, którzy nie mają nic wspólnego z lokalnym krajobrazem. Mafia nie tylko oddziałuje tutaj na władzę polityczną, na elity gospodarcze, ale jest ich integralną częścią.

Korsyka jest małą wyspą. Każdy zna każdego. W jednej rodzinie może być polityk, biznesmen, mafioso – i trudno powiedzieć, czy to tylko więzy rodzinne, czy już infiltracja” – tłumaczy Lacoste.

Walka z mafią potrzebuje również bohaterów, męczenników. W najtrudniejszych latach Sycylii przeciwko Cosa Nostrze występowali aktywiści Peppino Impastato, sędziowie Giovanni Falcone i Paolo Borsellino – wszyscy w końcu zamordowani na rozkaz mafii. Korsyka ma teraz Massimo Susiniego. 36-letni Massimo przeciwstawił się klanom, które zaczęły zagrażać Cargese, jego rodzinnemu miastu, a także lokalnemu ruchowi nacjonalistycznemu, do którego należał i który był poddawany presji, by wejść w interesy z przestępczością zorganizowaną.

Rankiem 12 września 2019, gdy otwierał swój bar na plaży, zabójca z karabinem snajperskim strzelił do niego cztery razy pociskami rozrywającymi. „Sprawca uciekł i, jak to często bywa, nigdy go nie znaleziono”, mówi gorzko Jean-Toussaint Plasenzotti, wujek Susiniego i założyciel stowarzyszenia noszącego jego imię. „Myśleli, że zabijając Massimo uciszą naszą wioskę i będą mogli kontynuować swój narkotykowy biznes. Ale stało się odwrotnie” – mówi, stojąc obok tablicy upamiętniającej jego siostrzeńca, kilka metrów od miejsca, w którym został zabity.

Od tamtego dnia wiele się zmieniło: ludzie coraz częściej nie chcą już milczeć. Ale droga do zrzucenia przez Korsykę jarzma mafii jest nadal daleka. ●

tłum. Łukasz Grzymiśławski

Radykalny wzór dla Europy?

Duński przepis na migrację

Socjaldemokratyczna premier Danii wie, że to jest moment, na który czekała: w całej UE rośnie skrajna prawica, napędzana lekkiem przed nielegalną imigracją.

Florentin Collomp

Korespondencja z Aarhus



Konfiskata mienia uchodźców, dotacje dla Syryjczyków decydujących się na powrót do kraju, ośrodki detencji w Kosowie – to niektóre ze środków stosowanych przez rząd w Kopenhadze. Dania, która właśnie przejęła rotacyjną prezydencję w UE, chce przekonać Europę do swojego podejście do migracji.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat Dania wprowadziła w życie wiele radykalnych rozwiązań antyimigracyjnych, których większość krajów europejskich do tej pory unikała. Np. już w 2016 r. uchwalono prawo pozwalające na konfiskatę części majątku migrantów, którzy przybyli do kraju, w celu sfinansowania ich pobytu.

Ponieważ surowa polityka imigracyjna jest prowadzona przez rząd socjaldemokratyczny, w Danii niewiele do powiedzenia mają partie skrajnie prawicowe, którym premier Mette Frederiksen skutecznie wytrąciła z ręki podstawowy argument: że partie umiarkowane nie są w stanie odpowiedzieć na obawy Europejczyków co do nielegalnej imigracji.

Dlatego to Dania coraz wyraźniej wyznacza tempo europejskiego podejścia do tej kwestii. Podczas rotacyjnej prezydencji w Radzie UE, która rozpoczęła się 1 lipca, Kopenhaga uczyniła z tego wręcz jeden ze swoich priorytetów.

Duńska prezydencja ma trzy cele: wzmocnienie zewnętrznych granic Unii Europejskiej, poczynienie postępów w sprawie unijnej dyrektywy dotyczącej „powrotu” nielegalnych migrantów, w tym do ośrodków detencyjnych w krajach trzecich, oraz negocjowanie umów z krajami trzecimi w celu outsourcingu obsługi wniosków osób ubiegających się o azyl.

Rząd socjaldemokratki Mette Frederiksen ze skutecznej kontroli migracji uczynił jeden z kluczowych elementów swojej strategii politycznej. Dzięki temu udało mu się utrzymać władzę, ograniczyć wpływy partii skrajnych. A teraz stopniowo do rozwiązań Kopenhagi przekonują się inne stolicy.

Londyn chciał wysyłać do Rwandy, Dania to robi

„Od lat jesteśmy liderem w zakresie rygorystycznej polityki imigracyjnej. Aby jednak była ona skuteczna, musimy ściśle współpracować z naszymi europejskimi partnerami i przekonywać ich do naszego podejścia.

Teraz klimat polityczny w Europie ulega zmianie, a kilka krajów już wyraziło zainteresowanie wprowadzeniem naszych rozwiązań” – mówi Marie Bjerre, duńska minister ds. europejskich.

Doszło do tego, że premier Frederiksen zawarła – wydawałoby się nieprawdopodobny – sojusz z Giorgią Meloni, włoską premier z postfaszystowskiej partii Fratelli d’Italia, aby wspólnie wywierać wpływ na europejską agendę dotyczącą migracji. Od pewnego czasu to już tradycja: Dania, Włochy i Holandia organizują nieformalne spotkania na ten temat podczas każdej Rady Europejskiej, zapraszając przywódców innych krajów do wywieśnienia presji na Komisję. To stopniowo przynosi skutki, dowodem może być fakt, że szefowa KE Ursula von der Leyen już regularnie bierze w nich udział. A niedawno Mette Frederiksen z satysfakcją powitała na takim spotkaniu nowego kanclerza Niemiec, Friedricha Merza.

Miesiąc przed wyborami europejskimi w 2024 r. Dunka wysłała do von der Leyen list

podpisany przez czternastu szefów rządów państw członkowskich, prosząc ją o zbadanie „innowacyjnych rozwiązań” w zakresie zarządzania migracją i zwiększenie deportacji nielegalnych imigrantów, z których jak dotąd średnio tylko 20 proc. jest odsyłanych z UE.

Od tego czasu presja na Komisję oraz wzrost znaczenia skrajnej prawicy w kolejnych krajach przynosi skutek: „kreatywne rozwiązania”, zewnętrzne ośrodki detencyjne i partnerstwa z krajami trzecimi należą obecnie do arsenału środków badanych prawnie przez Komisję.

W marcu Komisja przedstawiła nową dyrektywę, która ma na celu przyspieszenie, uproszczenie, skoordynowanie i zwiększenie skuteczności procedur „przymusowych powrotów”.

Jeszcze niedawno porozumienie Wielkiej Brytanii z Rwandą w sprawie odsyłania tam nielegalnych imigrantów z Wysp spotykało się z ostrą krytyką wielu krajów europejskich. Teraz jednak metoda ta po prostu znalazła się w programie Komisji. I to niezależnie od tego, że Londyn z powodu braku rezultatów wstrzymał egzekwowanie swojej umowy. Za to Dania podpisała umowę i z Rwandą, i z Kosowem – na mocy tej drugiej dzierżawi tam kompleks więzienny i do niego wysyła nielegalnych imigrantów, którzy dopuścili się na terytorium Danii przestępstwa kryminalnego.

Migranci, którzy popełnili przestępstwo: do więzienia w Kosowie

Pomimo szeregu niepowodzeń w kwestionujących je sądach, podobne w założeniach partnerstwo Włoch z Albanią jest uważane w KE za modelowe. Chociaż Carmine Conte, badacz z brukselskiego think-tanku Migration Policy Group, ostrzega: „Skuteczność tych krótkoterminowych środków musi zostać udowodniona w dłuższej perspektywie, nie wspominając o uzasadnieniu ich kosztów: na razie bowiem Włochy wydają miliony euro, aby móc odesłać dosłownie kilku migrantów do Albanii”.

Pod koniec maja Frederiksen rozpoczęła nową ofensywę – wraz z Meloni i szefami rządów siedmiu innych krajów chce zakwestionować część z pryncypialnego podejścia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (ETPC).

„Jeśli nie zmienimy zasad, nie będziemy mieć kontroli nad nielegalną migracją”, przekonuje Dunka. „Musimy być w stanie jasno i wiarygodnie ogłosić, że będziemy deportować ludzi, którzy nie przestrzegają naszego prawa lub stanowią zagrożenie dla naszej demokracji czy codziennego trybu życia naszych obywateli”.

„Migranci z globalnego Południa mają duże trudności z integracją w Danii. Wyroki skazujące w tej populacji są cztery do pięciu razy wyższe niż średnia dla osób pochodzących z Bliskiego Wschodu”, mówi socjaldemokratyczny minister ds. cudzoziemców i integracji Kaare Dybvad Bek.

Duński rząd od dawna stara się unikać powstawania etnicznych gett i w efekcie tzw. „społeczeństw równoległych” w miastach kraju.

W ubiegłym roku Dania wydała zaledwie 860 zezwoleń na pobyt w ramach procedur azylowych, a obecnie na jej terytorium przebywa – według niezależnych szacunków – tylko do kilkuset nieudokumentowanych migrantów. „Jesteśmy zadowoleni z tych liczb” – przyznaje minister Kaare Dybvad Bek.

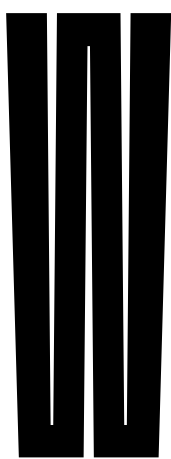
Jego resort ostatnio zachęca syryjskich uchodźców do powrotu do kraju, w którym upadł reżim Baszara Asada, oferując do 80 tys. euro dotacji dla chętniej do powrotu rodziny. Ponad 800 z około 4 tys. Syryjczyków przebywających w kraju zdecydowało się od początku roku skorzystać z tego programu. ●

ZAWSZE BYŁ GWIA



70 lat temu – 22 lipca 1955 roku – otwarto Pałac Kultury i Nauki, gmach pod każdym względem wyjątkowy, który zagarnął dla siebie centrum Warszawy. Żaden inny powojenny budynek w Polsce nie budził tylu emocji. Żaden nie był świadkiem tylu ważnych wydarzeń. Żaden nie doczekał się tylu wierszy, książek, artykułów i nie zagrał w tylu filmach.

Tomasz Urzykowski



Wprawdzie w 2021 r. Pałac Kultury i Nauki przestał być najwyższym budynkiem w Polsce, oddając palmę pierwszeństwa pobliskiemu wieżowcowi Varso Tower, ale pozostaje najbardziej wyróżniającym się gmachem w pejzażu Warszawy. A zarazem budzącym największe kontrowersje.

Jedni nazywają go „darem Stalina”, „koszmarnym snem pijanego cukiernika” i „symbolem sowieckiej dominacji nad Polską”. Inni doceniają jako wybitne dzieło architektury socrealizmu i żywe muzeum sztuki użytkowej lat 50 XX w.

„Zawsze był gwiazdą, w swojej karierze obsadzaną w skrajnie różnych rolach i ani przez moment nie został usunięty w cień, choć miał w dziejach dwa okresy, w których cieszył się szczególnie dużym zainteresowaniem: w procesie narodzin i z okazji 50-lecia powstania. Z książek i artykułów, które wte-

dy o pałacu wydano, można by układać stosy” – napisał warszawianista Jarosław Zieliński we wstępie do swojej książki „Pałac Kultury i Nauki”.

Ten olbrzymi wielofunkcyjny gmach jest siedzibą wielu instytucji i firm. Mieści teatry, kina, muzea, sale wykładowe i wystawowe, Pałac Młodzieży z pływalnią i modernizowaną od dekady Salę Kongresową. Łącznie ma prawie 3,3 tys. pomieszczeń, w tym kilkadziesiąt reprezentacyjnych wnętrz o unikatowym wystroju wykonanym z najlepszych materiałów. Wnętrza, które projektowała plejada wybitnych polskich architektów i artystów. W wielu z nich przetrwało do dziś oryginalne umeblowanie.

Zapraszamy na sentymentalne spotkanie z Jubilatą. Od narodzin do dziś. Wyjątkowość Pałacu doskonale oddają zdjęcia Dawida Żuchowicza (s.21-22). Fotoreporter „Gazety Wyborczej” uwiecznił na nich miejsca znane byłym com budynku, ale też takie, do których publiczność nie ma wstępu. Odbył po nim spacer od piwnic aż po słynny taras na dachu, z którego podziwiał się panoramę miasta. ●

Zapraszamy też do serwisu Wyborcza.pl na dłuższy rocznicowy spacer multimedialny



ZDA



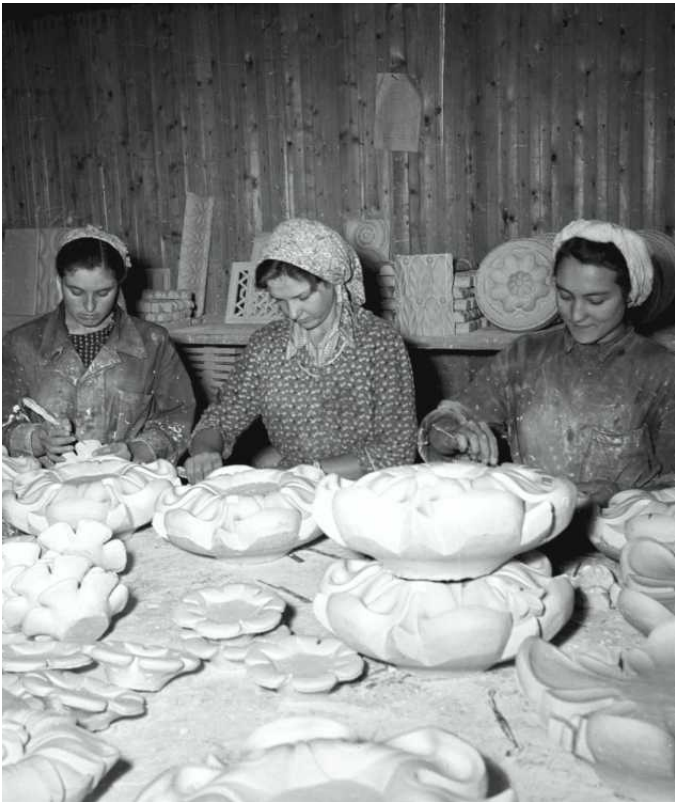
▲ Rok 1954. Rosjanki wykonują rzeźby dla PKiN w pracowni na Jelonkach. Osiedle domków fińskich, dla Rosjan budujących Pałac stoi tam do dzisiaj
FOT. PAP/CAF/ZYG-MUNT WDOWIŃSKI

◀ 22.07. 1955. Otwarcie PKiN poprzedziła defilada czołgów i pochód młodzieży. N/z uroczystości oglądane z ruin na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich
FOT. PAP/ZDZISŁAW WDOWIŃSKI



◀ 2.05.1952 Koparki rozpoczynają pracę na budowie. Potrzebny sprzęt zaczęto zwozić z ZSRR od kwietnia. Pierwszy wykop pod fundament był gotowy w połowie czerwca
FOT. REPRODUKACJA Z KRONIKI PKiN/ WAL-DEMAR GORLEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

► 22.07. 1955 Goście zwiedzają Pałac Młodzieży i jego Ogród Zimowy z antrą, pnąciami, fontanną i łamany kamieniem na ścianach
FOT. PAP/JERZY BARANOWSKI



▲ 13.04. 1967 Słynny koncert Rolling Stonesów w Sali Kongresowej. Oficjalnie mieściła 2,5 tys. ludzi, ale wtedy wciśnięto ich tam 5 tys.
FOT. WOJTEK DRUSZCZ/EAST NEWS

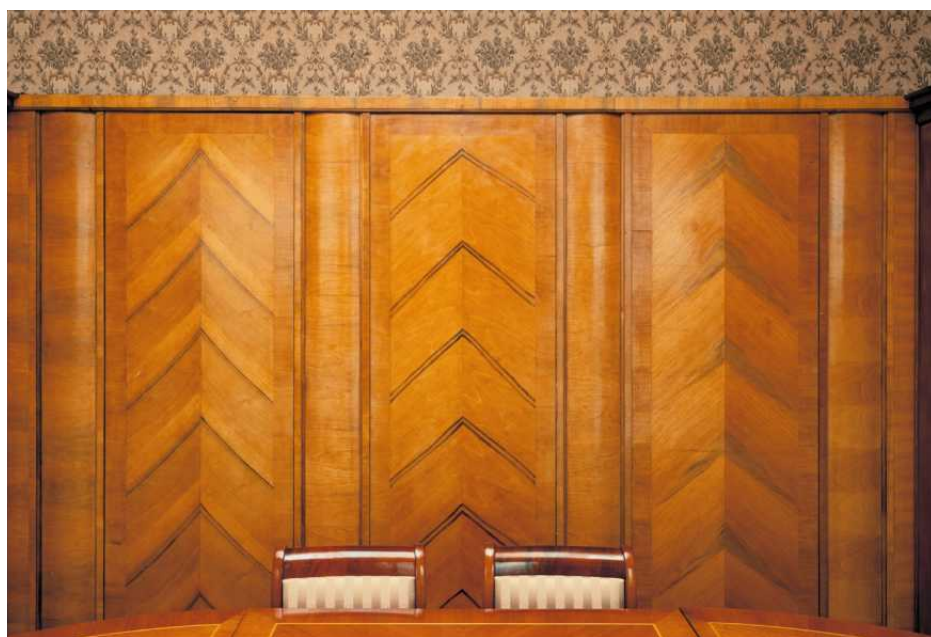
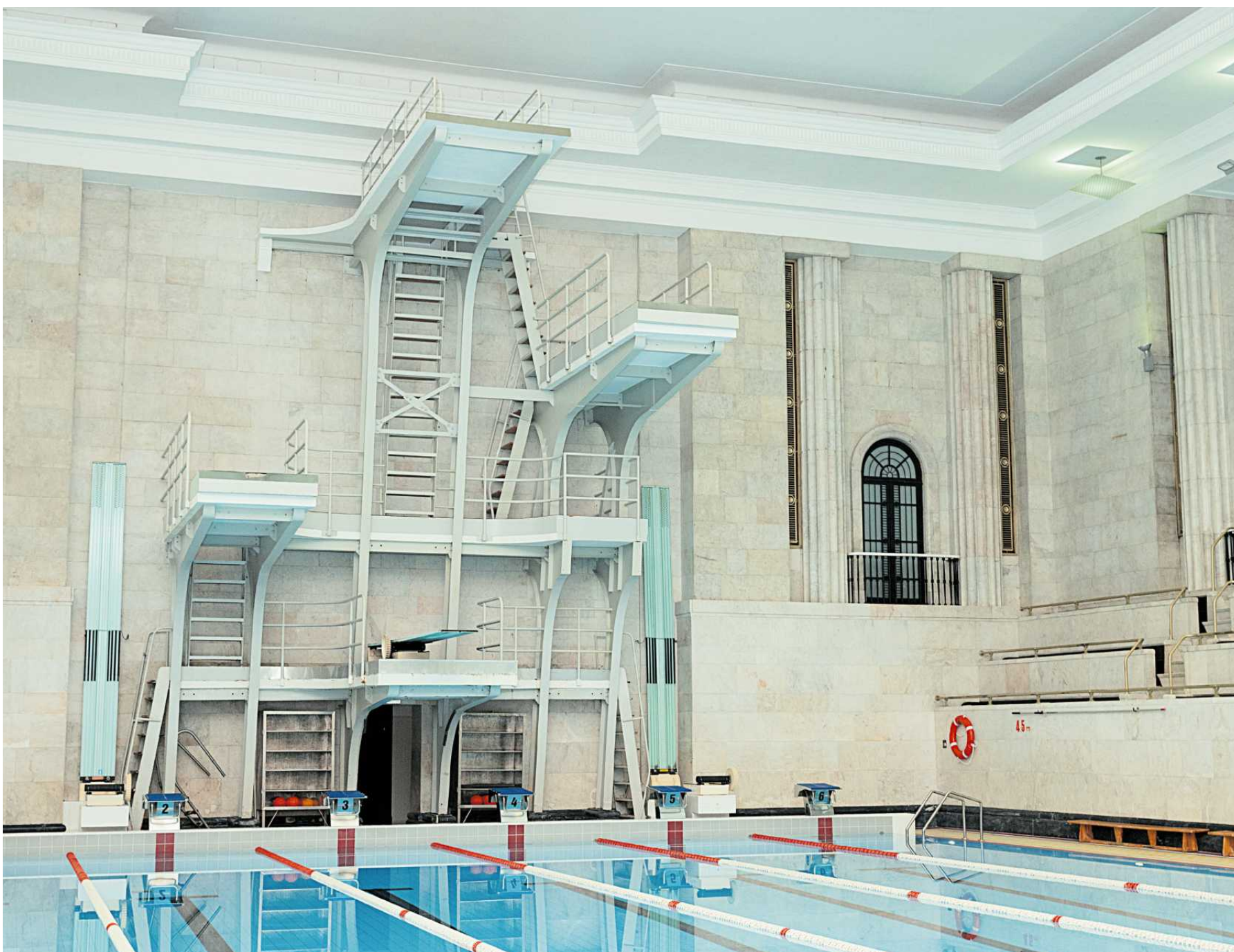


◀ 22.07.1955. Otwarcie PKiN. Wstęgę przecinają premier Józef Cyrankiewicz i ambasador ZSRR Panteleimon Ponomarenko. Z lewej prezydent Bolesław Bierut
FOT. PAP



► Pływalnia w Pałacu Młodzieży. Nie ma drugiego takiego basenu w Warszawie. Potężne kolumny, klepka na trybunach i 10-metrowa wieża do skoków. Od mechanizmów pod niecką basenu aż po wieżę, zajmuje kilka pięter. Niemal wszystko wykonano tu z białego marmuru

▼ Od początku Pałac jest siedzibą władz Polskiej Akademii Nauk. W gabinecie prezesa PAN zachowały się meble z lat 50. specjalnie projektowane i wykonane do tego wnętrza. U dołu ściany wyłożone są boazerią, a wyżej obite dekoracyjną tkaniną



► Reprezentacyjna sala im. Lwa Rudniewa ma najlepiej zachowany pierwotny wystrój. Unikać są kabiny dla tłumaczy. Drewniane, z szybą od frontu, ozdobione kwadratowymi płytkami

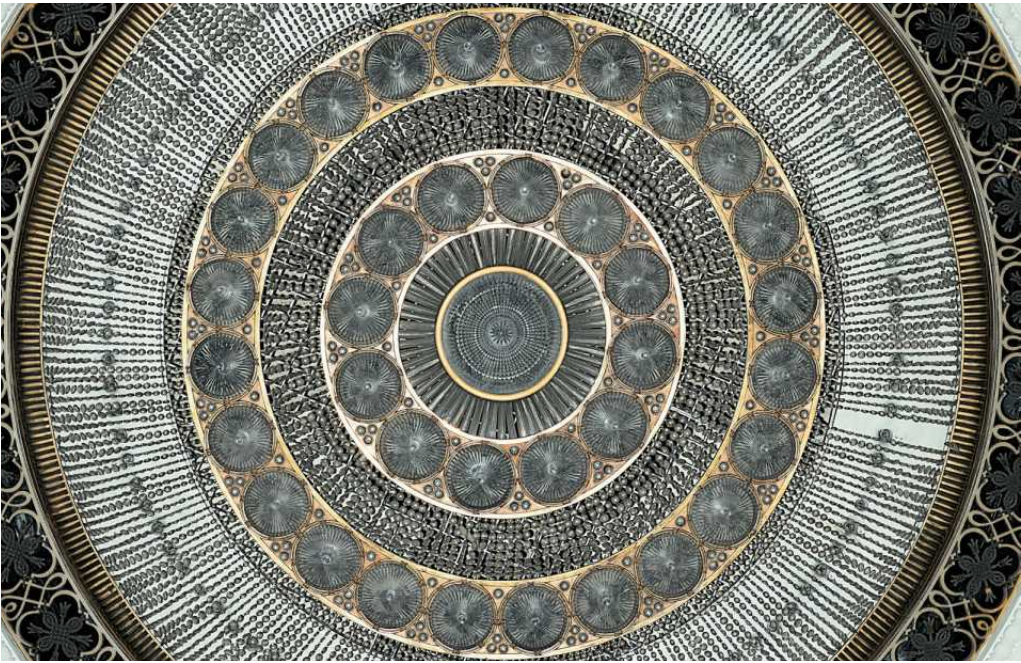


◄ Podziemia. Fragment dyspozytorni z urządzeniami do sterowania m.in. ogrzewaniem i wentylacją

► Palarnia dla pracowników teatru Studio. Najpierw był to Państwowy Teatr Dzieci Warszawy, potem Klasyczny. Na Studio został przemianowany w 1971 r.



1 RP



◀ **Wjazd na XXX piętro to dla turystów największa atrakcja. Nie przewidział tego projektant gmachu, Lew Rudniew. Uważał, że wystarczy tylko dwie windy oraz kawiarnia dla 30 osób. Nie wystarczyło – od momentu otwarcia PKiN-u, XXX piętro przeżywało oblężenie**

▲ **Taras widokowy obiega wieżę Pałacu na poziomie 114 m, a więc nie na szczycie budowli. Pałac ma 237 metrów wysokości. W 1955 roku jedynym wyższym w Europie budynkiem (o 10 m) był tylko jego pierwowzór: gmach Uniwersytetu Łomonosowa w Moskwie**



◀ **Teatr Dramatyczny ma dwie sceny. Główna ma 588 miejsc siedzących i oświetla ją gigantyczna plafoniera. Jest jak wielka kryształowa misa przytwierdzona do stropu. Żeby wymienić żarówki, obsługa techniczna wchodzi z góry do środka plafonier**

▼ **Muzeum Ewolucji. W kilku salach znajduje się największy w Polsce zbiór szkieletów i rekonstrukcji dinozaurów. Pochodzą głównie z Mongolii, gdzie w latach 1963-1971 zostały odnalezione na pustyni Gobi przez polsko-mongolskie wyprawy naukowe**

▲ **Fotele w sali im. Lwa Rudniewa. Jasne drewno, pasująca do niego skórzana tapicerka. Eleganckie i z dopracowanymi detalami, jak rzeźbione, ale małe dzieła sztuki są też np. misternie zaprojektowane kratki wentylacyjne**

ZDJĘCIA: DAWID ŻUCHOWICZ /AGENCJA WYBORCZA.PL



▲ **Płaskorzeźba pastuszek i gęsi w Ogrodzie Zimowym w Pałacu Młodzieży niestety lata świetności ma za sobą: pastuszek ma doklejoną rękę, w której trzyma fajkę, a gęsiom odpadły głowy**

Pałac w skrócie

- Wysokość od ziemi do wierzchołka iglicy – 237 m
- Pomieszczeń – 3288
- Powierzchnia użytkowa – 123 tys. m kw. ponad 12 ha
- Wymiary na poziomie gruntu – 254 x 212 m
- Do budowy użyto m.in.: 32 tys. m sześć. betonu 50 tys. ton stali 34 mln cegieł 28 tys. m kw. marmuru

• Na temat niedostępnych dla publiczności kondygnacji Pałacu krążyły legendy. Mówiono, że są tam tajne salony władzy PRL. Na niektórych piętrach windy się nie zatrzymują, ale powód jest prozaiczny. Kondygnacje: III, część V, XIV, XXVIII, XXIX i wszystkie powyżej XXX, to piętra techniczne i magazynowe.

• Do Pałacu pisano też listy. Oto jeden z nich: „Dyrekcjo Pałacu Kultury! Mieszkam na Ścianie Wschodniej naprzeciwko Pałacu. Codziennie w nocy mam silne doznania erotyczne na skutek promieniowania anteny telewizyjnej na iglicy. Nie mogę zamienić mieszkania, a sami przyznacie, że orgazmy, których doznaję bez własnej woli, nie są tak dobre” - pisała Krystyna J., mieszkanka jednego z bloków vis-a-vis Pałacu, i żądała zastąpienia iglicy.

• W 2000 roku na wieży Pałacu pojawił się Zegar Milenijny. Wskazówki uruchomił w sylwestra ówczesny prezydent Warszawy Paweł Piskorski. Cztery tarcze o średnicy 6 m umieszczono na wysokości 160 m, ponad niedostępnym dla zwiedzających tarasem XLII piętra. Był to najwyższy zainstalowany zegar wieżowy świata. Dwa lata później ten rekord pobił zegar na drapaczu chmur NTT DoCoMo Yoyogi Building w Tokio.

• W pobliżu zegara uwiły gniazdo sokoły wędrowne. Mieszkają tu od 1998 r, gdy ornitodzy z Instytutu Zoologii PAN wypuścili na wolność sześć odchowanych osobników. Jedna z samic upatrzyła sobie wtedy najwyższy budynek Warszawy. Skrzydlatym drapieżnikiem nie przeszkadzało silne promieniowanie z anten na szczycie.

• Iglicę budynku na projektach architektonicznych wieńczy gwiazda, której nigdy nie zawieszono. Podstawą iglicy jest kula pokryta ozdobnym szkłem i blachą miedzianą, w jej otworach umieszczono światła sygnalizatorów oraz wsporniki do zaczepiania lin ruchomego pomostu konserwatorskiego.

Teksty na podst. archiwum „Wyborczej” i „Spacerownika po Pałacu Kultury i Nauki”

Coś nas jeszcze łączy

Najważniejsze jest móc razem wyjść, coś zjeść, gadać,
śmiać się, coś razem przeżyć i o tym porozmawiać.

Z **DAWIDEM PODSIADŁO**
PIOSENKARZEM I KOMPOZYTOREM
ROZMAWIA **JAREK SZUBRYCHT**

Nie trzeba kupować krowy, żeby napić się mleka. Ty też nie musiałeś robić festiwalu, żeby na festiwalach występować.

– To kolejny etap projektu, który na potrzeby naszej rozmowy możemy nazwać Projektem Dawid Podsiadło. Kończąc trasę stadionową, zadaliśmy – Dawid i ekipa – sobie pytanie: „Co będziemy robić w przyszłym roku?”.

Wyjeżdżałem do Pragi do szkoły filmowej i wiedziałem, że nie będę miał czasu na nową płytę, a więc i nowy program koncertowy. Bez sensu wydawało mi się granie tego samego materiału rok po stadionach, na których pół miliona ludzi widziało i słyszało nasze greatest hits. Festiwal ZORZA był odpowiedzią na potrzebę czegoś nowego, ekscytującego dla ludzi i dla nas.

Uznaliśmy przy tym, że pozwoli nam ominąć przeszkody, takie jak dostosowywanie się do zasad obowiązujących na festiwalach organizowanych przez kogoś innego. Mogliśmy wymyślić własną formułę. Zaprosiliśmy artystów, którzy mieli czas i ochotę, by razem z nami pobawić się konwencją, sprawdzić, co mogą od siebie dać nowego. Idea polega na tym, żeby zagrać coś przygotowane specjalnie na te sześć koncertów.

Nie było w tym pychy? Zrobiliśmy największe koncerty na stadionach, to teraz wam wszystkim pokażemy, jak się robi festiwal.

– Nie było chęci konkurowania z kimkolwiek. Podeszliśmy do nowego zadania z pokorą i świadomością, że nigdy wcześniej tego nie robiliśmy. Oczywiście współpracujemy z ludźmi, którzy mają doświadczenie, dlatego ZORZA została zbudowana na czas, jest bezpieczna i dobrze wygląda. Jest prawdziwym festiwalem, chociaż technicznie rzecz biorąc ogromną festiwalową trasą koncertową. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi, w sześciu miastach, co dwa, trzy tygodnie. Ogromne wyzwanie.

Nawet jeśli porównać ZORZĘ z koncertami na stadionach, mieliśmy do czynienia ze zwielokrotnieniem wyzwania, ludzi i sprzętu. Musieliśmy się rozszczępić, podwoić, potroić.

Festiwal tworzony przez artystów mają długą tradycję, by wymienić np. Ozzfest z Ozzym Osbourne’em, Petera Gabriela i Womad, Artura Rojka i jego OFF Festival. Czasem artysta patronujący przedsięwzięciu dominuje na scenie, w innych miejscach trzyma się w cieniu. Pomysł na ZORZĘ od razu zakładał, że będziesz nie tylko twarzą, ale i gwiazdą imprezy?

– Stosunkowo szybko poinformowaliśmy ludzi, czego mogą się spodziewać. Choć oczywiście były osoby, które kupowały bilety w ciemno, w przedsprzedaży. Wierzę, że to ludzie, którzy są z nami od wielu lat i myślę: „Jestem w stanie zainwestować pieniądze, żeby być na tym wydarzeniu, bo niezależnie od tego, co mi zaproponują, nie spodziewam się rozczarowania.

Przecież oni nigdy mnie nie zawiedli. Dawid wie, kim jestem jako jego odbiorca i czego potrzebuję, więc na pewno da mi coś, z czego będę zadowolony”.

Rzeczywiście wszyscy są zadowoleni?

– Chciałbym, ale przy tej skali przedsięwzięcia zakładam, że to niemożliwe. Mam wrażenie, że przez te wszystkie lata wykreowaliśmy wokół mojej osoby oczekiwania tak duże, że nie zawsze jestem w stanie im sprostać. Dostajemy ogrom pozytywnych emocji, komentarzy, zarówno od artystów, jak i od widzów.

Ale sądzę, że znalazły się w publiczności osoby, które były tak podekscytowane nowym festiwalem, że chciały, żeby od nadmiaru wrażeń powybuchały im głowy. Mam nadzieję, że nawet oni nie uznali obecności na ZORZY za czas zmarnowany.

Dla jednych ZORZA to któryś festiwal w sezonie, dla innych pierwszy w życiu.

– Przed Warszawą opublikowaliśmy komunikat informujący, że warto pamiętać o odpowiednim ubiorze i kaloszach. Pojawiły się komentarze: „Szkoda, że nie powiedzieliście tego przed Poznaniem” albo „Sko-ro będzie padać, to co zamierzacie z tym zrobić?”

To nam uświadomiło, że dla wielu ludzi, przyzwyczajonych do naszych koncertów, festiwal jest nowym wyzwaniem. To nie dwie godziny w wyznaczonym miejscu, ale impreza, która trwa dłużej, trzeba się przemieszczać po większym terenie i warto być na to odpowiednio przygotowanym.

Publiczność np. Open’era jest zaskoczona, jeśli podczas czterech dni ani razu nie pada, więc jadąc do Gdyni, biorąc peleryny, ciepłe ciuchy. Ktoś, kto był na wyprzedanym festiwalu wie, że do foodtrucka albo WC czasami trzeba poczekać w kolejce.

Wielu uczestników ZORZY mogło to zaskoczyć, ale ja to kumam, nawet z tym empatyzuję, bo sam nie jestem gościem, który pół życia spędził na festiwalach. Dla mnie duże skupiska ludzi to też wyzwanie.

Łącząc doświadczenie odbiorcy i jednej z osób odpowiedzialnych za organizację festiwalu, chcę wsluchiwać się w głosy ludzi. Chcę, żeby za dwa lata wrócili na ZORZĘ.

Cofnijmy się do 6 czerwca, pierwszego dnia pierwszej edycji ZORZY, która odbyła się w Poznaniu. Zbliża się południe, pewnie jesteś w hotelu i jesz późne śniadanie...

– W piątek już nie było późnych śniadań i relaksu w hotelu. O ósmej rano byliśmy w drodze na scenę, żeby zagrać ostatnią próbę, w imię zasady, która mówi: kto gra ostatni, ten próbuje pierwszy. Próba wyszła super, wszyscy byliśmy zadowoleni i przygotowani, w świetnych nastrojach. Bo co może pójść nie tak?

Zaczęło kropić. Potem oberwanie chmury przemoczyło wam publiczność, opóźniło koncerty,

płatności bezdotykowe przestały działać. Wiedziałeś o tym, wchodząc na scenę?

– Czulem, że coś jest nie do końca w porządku. Nie miałem jednak pojęcia o skali problemów. Dowiedziałem się dopiero, kiedy wróciłem do hotelu i szukowałem się na kolejny dzień. Mocny cios. A więc takie to uczucie, kiedy rzeczy nie działają? Taki jest duży ten kraken i straszny?

Dziś mówię o tym z uśmiechem, ale to były dla nas traumatyczne chwile. Trudno sobie wyobrazić gorszy start.

Choć przygotowywaliśmy się do naszego wydarzenia przez parę miesięcy, w ciągu kilku godzin spadło tak dużo deszczu, że po części terenu nie można się było poruszać. Ciasnotę potęgowały kolejki związane z awarią systemu płatności.

Nieprzespaną noc spędziliśmy na staraniach, żeby drugi dzień się mógł wydarzyć. Pojawił się pomysł zamiany biletów na vouchery na inne nasze wydarzenia. Rano naprawiliśmy system do rozliczania płatności, przygotowaliśmy kolejnych kilka tysięcy peleryn, ustanowiliśmy dodatkowe punkty z darmową wodą pitną.

Mimo to drugiego dnia musieliśmy opóźnić wszystko o prawie cztery godziny. Szła burza z wiatrem o prędkości w porywach powyżej 120 kilometrów na godzinę, musieliśmy ewakuować obsługę. Szczęśliwie jakimś cudem nawałnica ominęła teren festiwalu, ale nie mogliśmy ryzykować bezpieczeństwa publiczności.

Dajesz ZORZY twarz i nazwisko, a przecież nie ciągnąłeś kabli z siecią i nie ustawiałeś kranów z wodą.

– Przykro mi było czytać te wszystkie komentarze, ale nawet przez chwilę nie przyszło mi do głowy rzucić odpowiedzialności na kogokolwiek innego. Ludzie do mnie kierowali swoje niezadowolenie, co uważam za uzasadnione, bo przecież za moją namową kupili bilet.

Wcześniej ci sami ludzie byli zadowoleni, bo Dawid nagrał i wydał fajną piosenkę, bo zrobił świetny stadionowy koncert, choć za tymi wydarzeniami zawsze stała praca całej ekipy. Konsekwentnie: Dawid nie zrobił fajnego pierwszego dnia swojego nowego festiwalu.

To jedyne uczciwe podejście do tej sytuacji. Skoro przez lata mogłem cieszyć się nieprzerwanym pasmem sukcesów i zbierać pochwały za pracę całej ekipy, nie mogłem się jej teraz wyprzeć, kiedy po raz pierwszy coś zazgrzytało.

Oczywiście, nie cieszę się z tego, jak wyglądał pierwszy dzień ZORZY w Poznaniu, ale z dzisiejszej perspektywy dostrzegam też pozytywne strony tej ciężkiej próby. Wiele się nauczyliśmy, dowiedzieliśmy się, że w trudnej sytuacji możemy liczyć na siebie nawzajem. Dostawaliśmy wyrazy wsparcia od organizatorów innych festiwali i od partnerów naszego.

Skoro przez lata mogłem cieszyć się
nieprzerwanym pasmem sukcesów
i zbierać pochwały za pracę całej ekipy,
**nie mogłem się jej teraz wyprzeć, kiedy
po raz pierwszy coś zazgrzytało**



Nie chciałeś powtarzać na ZORZY znanego ze stadionów programu „Dawido Podsiadło: największe przeboje”, więc przygotowałeś dwa inne. Jeden, w jakimś sensie, spodziewany. Znowu spotykasz się na scenie z Arturem Rojkiem, tym razem na dłużej.

Chciałem zrobić coś ważnego dla mnie i fajnego dla ludzi. Ci, co byli na stadionach wiedzieli, że od „Długości dźwięku samotności” zaczęła się moja historia. To był pierwszy utwór, który wykonałem publicznie, a Myslovitz to pierwszy zespół, który polubiłem, którego płyt słuchałem z pełną świadomością. Możliwość powrotu do tych emocji i zaśpiewania tych numerów z Arturem to za każdym razem wielkie przeżycie, doświadczenie magiczne.

Ale jest też coś rozwojowego, nowa rzecz, czyli projekt z Kasią Sochacką. Cieszę się, że udało nam się zrobić aż siedem kawałków, kiedy dzieliłem czas między studiowanie w Czechach i pracę nad festiwalem. Może trochę szkoda, że mini-album „tylko haj.” ukazał się dopiero w dniu, kiedy startowała pierwsza Zorza, trochę za późno, by ludzie dobrze się z nim czuli na koncercie, ale cieszę się, że zdążyliśmy.

Współpraca z Kasią była na maksa stymulująca. Czuję, że mnie to rozwinęło.

Dlaczego nagrałeś ten materiał właśnie z Kaśką? Nie żebym narzekał, ale na stadionach miałeś różnych gości, więc mogą padać – i padają – pytania,

Zrobiliśmy razem singel „Pięknie płyniesz” i parę innych numerów. Praca z zagranicznym producentem nad polskojęzycznym materiałem zawsze wydawała mi się egzotycznym pomysłem, ale chciałem sprawdzić, czy magia Zachodu działa.

Wierzę, że z każdego spotkania może wyjść coś kreatywnego, fajnego i mam ten komfort, że mogę trochę czasu i środków poświęcać na takie eksploracje. Okazało się, że każda sesja z Tobiasem – albo on przyjeżdżał do Warszawy, albo ja jeździłem do Wiednia – owocowała czymś, co bardzo mi się podobało. Zawsze był niesamowicie zaangażowany i jego emocje przenosiły się na produkcje.

Po polsku Tobias faktycznie nie mówi, ale tego się nie baliśmy. Coraz pewniej czuję się w tekstach, Kaśka pisze obłędnie, więc byliśmy spokojni. Do tego Rafał Smoleń wiedział, jak zmiksować materiał, żeby słowa odpowiednio wybrzmiały i żeby „sz” w końcówkach nie poznikało, bo Tobias pewnie miałby ochotę to powycinać.

Nie pytam nawet o teksty, raczej chodzi mi o to, że Tobias nie wie, co w polskiej duszy gra, jakie piosenki u nas się przyjmują, a jakie niekoniecznie.

– Tutaj też czułem się bezpiecznie, bo mam doświadczenie w robieniu piosenek, które rezonują w Polsce z dużą grupą ludzi. Kaśka też to potrafi. Czułem, że jeśli razem zrobimy coś, co nam się bę-

wania kultury. Kiedyś kontakt z muzyką, filmem, teatrem czy sztukami wizualnymi wiązał się wyjściem z domu, co oznaczało spotkanie z drugim człowiekiem, rozmowę, wymianę energii. Dziś kulturę konsumujemy samotnie, poprzez urządzenia. Możemy się komunikować i wymieniać uwagi na ten temat, ale to jednak coś innego niż przeżywane wspólnie emocje.

Festiwale służą rozrywce, zapewniają wrażenia natury estetycznej, ale są też nośnikami wartości. Jakiego rodzaju wartości niesie Zorza? Co, poza strzępami ulubionych melodii, mają z niej wynieść ludzie w głowach i sercach?

– Chciałbym, żeby mogli oderwać się od codzienności, żeby mogli u nas nabrać energii, tworzyć wspomnienia, do których będą wracać z przyjemnością. Chciałbym, żeby zbliżali się tu do siebie nawzajem.

Przez ten ostatni rok zrozumiałem, że czas spędzony z rodziną i przyjaciółmi, wspólne doświadczanie tego, co piękne, to najcenniejsze, co mam. Oczywiście, mówię to z uprzywilejowanej pozycji gościa, który ma dużo czasu i możliwości, by sztukę konsumować. Ale i tak nastąpiła u mnie duża zmiana. Lubilem siedzieć w domu i znikać w grach albo piosenkach, a teraz nie ma tygodnia, bym nie szukał kontaktu z innymi. Najważniejsze jest móc razem wyjść, coś zjeść, gadać, śmiać się, coś razem przeżyć i o tym porozmawiać.

Podziwiam Kaśkę, odkąd usłyszałem jej pierwszy album, cenię jej tajemniczość, pokorę i skromność. Ma w sobie coś mocno elektryzującego. Często chodziliśmy na swoje koncerty

czemu to nie była Daria Zawiałow albo Edyta Bartosiewicz? Czemu nie Vito Bambino lub Artur?

– Kiedy dyskutowaliśmy o tym, z kim mógłbym zrobić koncert czy przygotować nowy materiał, Kaśka pojawiła się od razu na naszej liście. Chwilę później wiedziałem już, że idealnie pasuje jej kalendarz, bo kończy album i będzie miała czas.

Podziwiam ją, odkąd usłyszałem jej pierwszy album, cenię jej tajemniczość, pokorę i skromność. Ma w sobie coś mocno elektryzującego. Często chodziliśmy na swoje koncerty, później pojawiłem się w utworze Kasi, ona gościła na moim koncercie na stadionie. Kolejny etap współpracy wydawał nam się naturalnym krokiem i zarazem czymś, czego mogą chcieć fani.

Tego rodzaju spotkania są moją ulubioną częścią muzycznej pracy. Spędzanie czasu z innymi artystami w studiu i wymyślanie razem nowych piosenek, ekscytowanie się kolejnymi wersami – to wspaniała przygoda. Nagranie wspólnych materiałów ze wszystkimi wspomnianymi przez ciebie osobami wydaje mi się realne, to bardziej kwestia czasu, niż braku chęci.

Szarą eminencją „tylko haj.” jest producent materiału Tobias Kuhn, znany ze współpracy z Milky Chance. Nie wychował się na piosenkach z Opola, nie słucha w samochodzie RMF-u, pewnie nie wie, co to Męskie Granie. Co on może wiedzieć o polskiej duszy i polskim guście?

– Poznaliśmy się przez wspólnych znajomych, jeszcze przed współpracą z Kasią.

dzie podobało, to jest duża szansa, że ludziom też się spodoba.

Ale w tym projekcie nie skupialiśmy na poszukiwaniu przebojowych singli albo mainstreamowych hitów. Robiliśmy rzeczy totalnie swoje, bez kalkulacji i kompromisów – tylko wtedy taki projekt ma sens. Właściwie każdy tylko wtedy ma sens.

Póki co skupiamy się na tobie, ale ZORZA to również inni artyści, też w nietypowych rolach. Paulina Przybysz śpiewa Bajm, Korteż przypomina swój debiut z towarzyszeniem filmu, za chwilę pojawi się książka z opowiadaniem inspirowanymi płytą, którą nagrałeś z Kaśką Sochacką. Czym właściwie jest ZORZA, skoro nie seria koncertów z popularnymi piosenkami?

– Wierzę, że tworzymy platformę, która pozwoli wyrazić się artystom na wiele różnych sposobów. Artyści mainstreamowi będą mogli eksperymentować z przedstawicielami innych nurtów muzyki i dziedzin sztuki. Fajne warunki i produkcyjny rozmach będą tu mieli również ci, którzy nie mają piosenek na liście Top 10. Chcemy pokazywać, jak różnorodny jest świat kultury.

Widzę, jakim świetnym pomysłem okazał się chór jednodniowy – jak wiele to znaczy dla ludzi, którzy mogą się zapisać, dzień wcześniej spotkać z Pauliną, by następnie wystąpić na dużej scenie i zaśpiewać z nią Bajm.

Przygotowując ZORZĘ, trafiliśmy na badania, z których wynika, że nastąpiła drastyczna zmiana sposobu konsumo-

Chciałbym, żeby ZORZA była dla ludzi pretekstem do takich wspólnych wyjść. Biorąc pod uwagę ten brutalny podział Polski na pół, który możemy obserwować przy wyborach, dobrze jest myśleć, że jest przestrzeń, w której coś nas jeszcze łączy. Może to naiwne, nawet tandetne, ale chcę wierzyć, że możemy tak żyć, że możemy być dobrymi ludźmi, miłymi dla siebie nawzajem.

Po warszawskiej Zorzy ludzie wracali, śpiewając w tramwajach i na ulicach „Długość dźwięku samotności”. Nawet jeśli zakłócali w ten sposób ciszę nocną, wzrusza mnie myśl, że na chwilę przemieściliśmy ich do miejsca, w którym za sprawą piosenki było im dobrze i byli tam razem. ●

ZORZA wspierana przez T-Mobile – festiwal firmowany przez Dawida Podsiadło, który jest główną gwiazdą, choć w innych niż do tej pory konfiguracjach, duetach z Arturem Rojkiem i Kaśką Sochacką. Oprócz gwiazd (m.in. Sokoła z Fisz Emade, Korteza, Pauliny Przybysz wykonującej repertuar Bajmu), na ZORZY występują nowe twarze (Projekt Fenomen), jest też miejsce dla innych dziedzin sztuki. W 2025 r. festiwal odwiedzi sześć polskich miast, kolejny jest planowany na lato 2027.

„tylko haj.” – wspólny mini-album Kaśki Sochackiej i Dawida Podsiadło, wyprodukowany przez Tobiasa Kuhna, współpracownika m.in. Milky Chance i Die Toten Hosen. Ukazał się 6 czerwca, w dniu debiutu ZORZY.



Anioł z Polski

Ciepło pode mną, krew się rozlewa, moja i jej, leżymy we wspólnej kałuży.

Janusz Rudnicki

Tak właśnie zwą mnie na Morawach: „Anioł z Polski”. Wcześniej nazywali mnie „Elektryczny Jeździec”. Bo przywiozłem sobie rower elektryczny, sprzedawca poinstruował mnie, jak obejść kod limitu prędkości, to proste.

Pięć biegów, manetka gazu, kiedy pierwszy raz usiadłem, to już na drugim ulga dla nóg, na trzecim dałem się ponieść, na czwartym poniosło mnie, na piątym byłem w przestworzach, koła mej dwukółowej lotni bujały się z prędkością czterdziestu ośmiu kaemha.

Okolice miejscowości Usov, byłem tu kiedyś, dawno, kiedy byłem starszy. Teren stromych często gór, zjazdów, podjazdów, weźmy ten największy, o kącie nachylenia 12 proc. Wjechałem na niego otóż z taką prędkością, że goście w ogródku restauracji przy drodze podnieśli się z miejsc i bili brawo, nie musiałem mieć żółtej koszulki, absolutnego lidera rozpoznali we mnie natychmiast, czekali na peleton, ale nie gonili mnie żaden, jak?

Wsie rozpinalem przecinałem na pół z szybkością zamka błyskawicznego, do stało się po drodze paru kotom i jeżom, w lusterku wstecznym żaden się po mnie nie podniósł.

Mijałem traktory i obładowane ciężarówki, kierowcy robili wielkie oczy, stałem się... Przez skromność napiszę: znany. W całym regionie, jako „Elektryczny Jeździec”.

„Aniołem z Polski” zostałem z powodu wiatru. Nie zapiąłem kurtki, białej, jej poły uniosły się już na trzecim biegu, pędziłem rozpostarty tak, że dzieci zaczęły wołać za mną „anděl, anděl!”, a dorośli dodali: „z Polska”. Wiedzieli już, kto ja zacz, zatrzymywałem się często na kufel w przydrożnych gospodach i wchodząc, mówiłem „dzień dobry”, dla nich w odwrotnej kolejności.

Aż nadszedł Dzień Sarny. Niebo czerwone od słońca, bo zachodzi, pola żółte, bo rzepak, ja rozpostarty na biał, bo kurtka. Nonszalancko mijam traktor, jego kierowca wiadomo jakie robi oczy, pędzę dalej i nagle ona. Z zarośli, w powietrzu, skok z jednej strony drogi na drugą. Fatalny mój błąd, zarośla wysokie, pole widzenia żadne, a ja na pełnej kurwie. Czołowe zderzenie dwóch talerzy orkiestrowych, dźwięk tylko inny, eksplozyjny, tak, ale nie metaliczny, tylko taki, jakby ktoś złamał deskę o kolano.

Leżymy naprzeciwko siebie, nie rusza się, ja też. Ból do szpiku kości.

Cisza, cykanie tylko słychać. Świerszcze? Koniki polne? Trzmiele? Dziadek tyle mnie uczył odróżniać i nic, na darmo. Ale pamiętam, jak mówił, że orkiestra łąki gra bez dyrygenta.

Jej oczy, tak duże, że widzę jedną z ofiar wypadku, siebie samego. Miałem plany, chciałem do Hamburga, do Lubeki to nie, skończyłem na asfalcie w żrenicy sarny.

Ciepło pode mną, krew się rozlewa, moja i jej, leżymy we wspólnej kałuży.

Powoli zachodzę mgłą, coraz mniej mnie widać, aż w końcu zamykają się jej powieki jak wieko trumny. Śmierć pięknej sarny w asyście anioła.

Czarno mi się robi, tracę chyba przytomność, słyszę jeszcze warkot traktora i budzę się w...

...w szpitalu, w Ołomuńcu. Ten biały kolor mnie przesładowuje, noga i ręka w gipsie, szczęście, że lewa, mogłem napisać co wyżej. ●



Jak poznać szejka? Czy wszyscy są bogaci? I dlaczego kraje Bliskiego Wschodu fascynują Polaków? Opowiada Marcin Margielewski, autor książek, które sprzedały się w ponad dwóch milionach egzemplarzy.

Nie piszę

„ARABSKICH PORNOLI”

Z **MARCINEM MARGIELEWSKIM**,
AUTOREM POPULARNYCH KSIĄŻEK
O BLISKIM WSCHODZIE
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Czy w Polsce można poznać syna szejka?

– Tak. Polska stała się bardzo atrakcyjnym krajem dla tych najbogatszych Arabów. Przez lata przyjeżdżali do Janowa Podlaskiego [odbywały się tam słynne aukcje koni]. Teraz wysyłają tu dzieci na studia, ale też całymi rodzinami przyjeżdżają na wakacje.

Ostatnio hitem turystycznym stało się Zakopane, które było silnie promowane na Expo 2020 w Dubaju. W polskim pawilonie postawiliśmy na góralski folklor, który zrobił furorę – dla nich to właśnie jest „egzotyka”. Efekty są spektakularne.

Z samej tylko Szardży w Emiratach do Polski jest ponad dwadzieścia samolotów tygodniowo, a to tylko jedna z kilku emirackich linii, jakie latają do naszego kraju.

A w Dubaju? Łatwo jest poznać szejka?

– Jeśli ktoś myśli, że szejkwie chodzą w białą dzień po centrach handlowych, to jest w błędzie. Wbrew powszechnemu przekonaniu nie każdy Arab ubrany w tradycyjną dishdashę, kandurę czy thobę to szejk.

To gdzie na zakupy chodzą szejkwie?

– Zakupy przychodzą do nich. Dosłownie.

Mam znajomego, który organizuje prywatne pokazy mody dla najbogatszych. To potężne produkcje. Właśnie on skontaktował mnie z sekretarzem szejka, który stał się bohaterem mojej pierwszej książki „Jak podrywają szejkwie”.

A ty akurat byłeś w Dubaju.

– Nie, ja już wtedy z niego wyjechałem. Przez wszystkie lata mojego pobytu w Dubaju nie poznałem żadnego szejka, nadrobiłem to dopiero wtedy, gdy wróciłem do Polski. Gdy dostałem informację o tym, że jakiś szejk chce opowiedzieć swoją historię polskiemu dziennikarzowi, pomyślałem, że to jakaś PR-owa przygrywka do biznesów w Polsce. No ale jak by nie było – miałem poznać szejka, a takiej okazji nie odpuści żaden dziennikarz. Tak mnie to zaciekało, że przestałem myśleć o własnym bezpieczeństwie i wsiałem do samochodu, który przyjechał po mnie w umówione miejsce w Dubaju. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że być może robię jakąś straszną głupotę.

Wsiałem do auta, które wkrótce potem wywiozło mnie na pustynię. Co może pójść nie tak...? Na szczęście skończyło się dobrze. Pustynia została w tyle.

Gdzie cię zawieziono?

– Do pałacu w jednym z Emiratów.

Jak wygląda pałac?

– Ten, w którym byłem, wygląda tak, jakby ktoś zwymiotował Disneyland. To coś, co całym sobą pokazuje, że było bardzo, bardzo drogie, ale duży budżet i brak gustu przy urządzaniu wewnątrz to kiepska kombinacja. W życiu bym nie wydał w ten sposób pieniędzy.

Jesteś w pałacu, jest szejk. Jak się wtedy zachować?

– Byłem nieźle wystraszony. Arabowie dobrze wiedzą, jak zrobić na Europejczykach wrażenie. Cała ta enigmatyczna podróż, pałac, oczekiwanie na spóźniającego się szejka... To było bardzo onieśmiałające.

Ilu jest szejków?

– Całkiem sporo, ale wszystko zależy od kraju. W Emiratach Arabskich są policzalni. W Arabii Saudyjskiej policzenie ich graniczy z cudem.

Każdy szejk ma gigantyczne pieniądze?

– Nie każdy, ale też nie ma wśród nich biedoty. Gdy myślimy o szejkach, spodziewamy się ludzi bajecznie zamożnych.

Jednak szejkwie i księżniczki z pokolenia wnuków króla Abdulaziza, założyciela Arabii Saudyjskiej, już aż tak bogaci nie są. Co prawda na standardy przeciętnego Polaka wciąż są multimilionerami, ale prywatnych samolotów raczej nie mają, mają za to preferencje w robieniu interesów i wielu z nich zbija własne fortuny niezależnie od pieniędzy otrzymywanych z dworu.

Jak zatem wygląda podział społeczny w Arabii Saudyjskiej? Szejkwie tworzą coś w rodzaju kasty?

– Mamy tam do czynienia z czterema grupami społecznymi.

Najwyżej w hierarchii są członkowie rodziny królewskiej. Poprzez swoją liczebność tworzą osobną grupę. Są też duchowni, którzy trzymają za gardło rodzinę królewską. Jednocześnie – zależnie od przypadku – to rodzina królewska trzyma za gardło duchownych. Obie grupy bardzo się wspierają, a jednocześnie bardzo się nie lubią, często zwalczają.

W historii kraju zdarzały się buntury radykalnego skrzydła przeciwko monarchom. Duchowni dbają o to, by Arabia Saudyjska nie zapomniała o islamie.

Jakbym czytał „Faraona” Prusa.

– W Arabii nie ma obaw, że duchowni obalą rządzących, bo obie grupy żyją lokalnymi traumami. Pierwsza to zamach wojskowy z 1952 roku, który przyczynił się do końca rządów króla Faruka I w Egipcie, a druga to oczywiście obalenie szacha w Iranie w 1979 roku. Podobny los spotkał też – w latach pięćdziesiątych XX wieku – irackiego króla Fajsała II.

Saudowie zdają sobie sprawę z czyhającego na nich zagrożenia, zwłaszcza że duchowni mają bardzo duży wpływ na – wcale nie aż tak zamożne – społeczeństwo.

Kolejną klasą są zwykli, często biedni Saudyjczycy, którzy częściej słuchają duchownych niż króla, a czwartą stanowią intelektualiści i bogaci ludzie pochodzący z innych wpływowych rodów. To ludzie świetnie wykształceni na zachodnich uniwersytetach, znający świat, nowoczesni. Oni często stoją po stronie rodziny królewskiej, choć domagają się od niej liberalnych reform.

Arabia Saudyjską de facto rządzi Mohammed bin Salman, syn króla Salmana, który choruje na parkinsona. To zwolennik reform, choć oczywiście wprowadza je ostrożnie, tak żeby nie narazić się duchownym. Te reformy – choć wciąż bardzo zachowawcze – bardzo podobają się Zachodowi.

Stosunek Zachodu do państw Bliskiego Wschodu w ogóle jest pełen hipokryzji.

– Niewyobrażalnej. Zachód próbuje nie dostrzegać tego, co się tam dzieje, bo to się po prostu nie opłaca. Prawa człowieka są świetnym sztandarem, ale wybory wygrywa się pieniędzmi, a nie wzniosłymi ideami i zachodni politycy doskonale to wiedzą. Obecnie najbardziej wyrazistym przykładem jest Izrael, który jest najeżdżcą, okupantem i dopuszcza się ludobójstwa, a jednocześnie wciąż jest przyjmowany na – nie tylko politycznych – salonach.

Działania krajów arabskich w kwestii ludobójstwa w Gazie też raczej są tylko symboliczne.

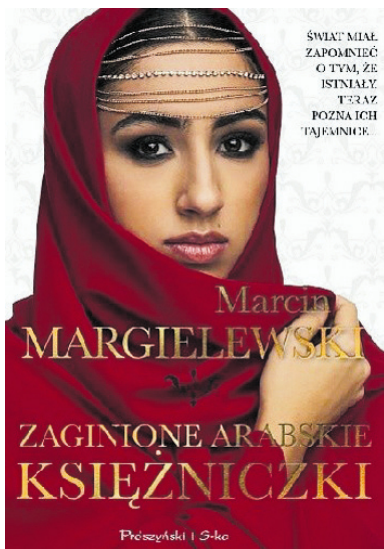
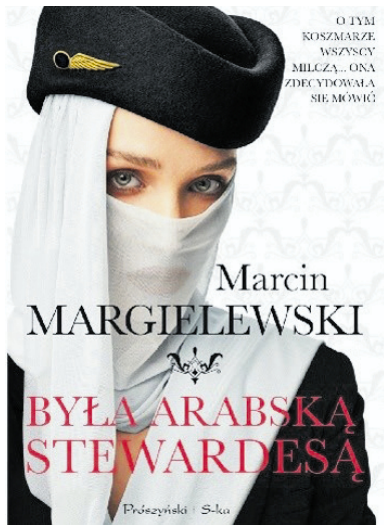
– To zależy od kraju. Bardzo dużo kontrowersji budzi jawne wsparcie Palestyny przez Katar. Kraje arabskie tworzą organizację Gulf Cooperation Council (GCC), która w jakiś sposób przypomina Unię Europejską. I jeśli kierować się tą analogią, można powiedzieć, że Katar to takie nasze Węgry. Przez lata, w katarskiej Dosze, swoją siedzibę miał Hamas. Pod koniec 2024 roku ogłoszono jej zamknięcie, ale media co jakiś czas piszą o kolejnych powiązaniach katarskiego rządu z terrorystami. Nawet jeśli takowe ma, to z działaniami Izraela nie ma to nic wspólnego.

Dodajmy do tego, że Arabia Saudyjska co do zasady jest bliskim partnerem Stanów Zjednoczonych.

– To przedziwny partner. Na czele tego kraju stoi człowiek, o którym wiemy, że mordował swoich przeciwników politycznych. Ale ma pieniądze. I amerykańskie bazy wojskowe. A do tego wspólnego wroga: Iran. Cała ta mozaika jest bardzo skomplikowana. Świat arabski nie jest monolitem. Nie da się powiedzieć, że „Arabowie są tacy czy inni”. Próbuję w książkach opowiadać czytelnikom o tym, jak ten arabski świat jest zbudowany.

To wracamy do książek. Z szejkiem porozmawiałeś, napisałeś książkę i co? Poczuleś, że jest na historii z tego regionu zapotrzebowanie?

– Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że to może „trafić”. Nie miałem pojęcia, że istnieje w Polsce półka z taką literaturą. Sam jej nie czytałem, ale materiał, który przyniosłem wydawcy, bardzo go zainteresował. Tydzień po premierze usłyszałem, że mogę już pisać kolejną książkę. Sprzedaż była rewelacyjna i niemal w tym samym momencie trafiłem na kolejne historie – Anny, stewardesy pracującej dla arabskich linii lotniczych, i Moniki, modelki z Dubaju.



Książki Margielewskiego mają charakterystyczne okładki, które kojarzą się z tanią sensacją a nie z opowieściami z pogranicza reportażu. – Dzięki tym okładkom mogą też trafić pod islamofobiczne i ksenofobiczne strzechy, wprowadzić tam konia trojańskiego – mówi ich autor



Do dzisiaj moim największym bestsellerem jest „Była arabską stewardesą”.

Napisałeś ponad dwadzieścia „arabskich” historii. Dlaczego akurat ta chwyciła?

– Wszystkie chwyciły. Ogółem sprzedałem ponad dwa miliony książek, ale faktycznie „stewardesa” odpowiada za ćwierć miliona. Ma bardzo dobrą prasę, jest często polecana i chyba bardzo uniwersalna, bo dla jednych to książka o „arabskiej stewardesie”, dla innych o problemie gaslightingu, który nie jest arabskim wynalazkiem.

Twoje książki nie są reportażami.

– Nie. Nie spełniają wszystkich wymogów tego gatunku. Nie wierzę w reportaże z Bliskiego Wschodu, bo trudno w nich o obiektywizm. Swoje książki nazywam fabularyzowanymi wywiadami. Piszę je na podstawie rozmów z uczestnikami lub świadkami wydarzeń.

Wywiad to jedyna chyba forma dziennikarstwa, która pozwala na pewien subiektywizm. Dlatego moi bohaterowie opowiadają swoje historie subiektywnie, a ja w miarę możliwości je weryfikuję i fabularyzuję, tworzę szerszą opowieść o tym świecie. Znam go bardzo dobrze, więc bez trudu przychodzi mi opisywanie tła. Gdy mam już spisaną historię, przychodzi moment, w którym zaczynam bawić się w Orzeszkową. Wtedy opisuję, jak wyglądały pomieszczenia, jakie były lampy czy kolory ścian. Nie chcę, by czytelnik dostawał wyłącznie dialog, ale też nie mogę męczyć go obszernym opisem. Wszystko musi mieć swoją dynamikę.

Doceniam formułę wywiadu rzeki, ale lektura takich książek mnie nudzi. Piszę

książki w formie, którą sam lubię jako czytelnik.

Czego dowiedziałeś się o ludziach po napisaniu dwudziestu książek o „arabskim” świecie?

– Że wszyscy jesteśmy tacy sami. Choć wciąż przyglądamy się różnicom, bardzo się od siebie nie różnimy. Lubię wskazywać podobieństwa, choć czasami bywa to powód do zdenerwowania, dyskomfortu u ludzi żyjących wyłącznie stereotypami.

Jakiś czas temu prezydent Andrzej Duda przekonywał w telewizji Al Arabiya, że Polskę i kraje arabskie łączy choćby to, że posiadamy paliwa kopalne. Co prawda oni mają ropę, a my węgiel...

– Pierwsza osoba w państwie powinna wiedzieć, że naszych gospodarek nie da się porównywać. To nie ma sensu. To, co jest podobne, to nasze przywiązanie do tradycji, konserwyzmu i to, że religia w Polsce i w krajach arabskich ma bardzo duży wpływ na życie społeczne. Tego nie da się zlekceważyć.

Nie przesadzasz?

– Obawiam się, że nie. Niedawno byliśmy bliscy wprowadzenia w Polsce rozwiązań prawnych, które czerpały z katolickiego fundamentalizmu. Bardzo podobnych do tych, które obowiązują w Arabii Saudyjskiej. Chaos prawny w kwestii aborcji, jaki wywołał PiS, jest podobny do tego, jaki funkcjonuje w Królestwie w kwestii swobody wizyt lekarskich kobiet.

W 2021 roku król Abdullah zniósł obowiązek stawiania się w gabinecie lekarskim z opiekunem męskim, a w 2024 ro-

ku duchowni wydali fatwę, która odwołała dekret króla. Obie regulacje funkcjonują w systemie prawnym, a kobiety grają w ruletkę, której stawką jest ich życie i zdrowie. Tak samo wyglądała sprawa w Polsce, gdy niektórzy lekarze bawili się prokuratora.

Większość muzułmanów podchodzi do religii dokładnie tak samo jak większość katolików. Nie zaprzeczają oczywiście swojej wierze, ale gdy zacznie się z nimi rozmawiać, szybko okazuje się, że w codziennych wyborach wcale nie kierują się zasadami religii.

Muzułmanie są wręcz mistrzami obchodzenia islamu. Gdy nadchodzi miesięczny okres ramadanu, którego najważniejszą częścią jest całodzienna głódówka, to bogatsi biorą urlop i jadą w podróż. Podróżujących post nie dotyczy. Podobnie jest z piciem pod dachem.

To znaczy?

– Jeśli pijesz pod dachem, Allah nie widzi. Tak sobie to tłumaczą. Muzułmanie wkładają rzeczywiście bardzo dużo pracy w połączenie nakazów religijnych z codzienną praktyką. Ale katolicy też – przecież gdyby stosowali się do zasad z Biblii, nie byłoby w stanie funkcjonować we współczesnym świecie.

Różni nas jednak praktyka. Twoja ostatnia książka – „Zakazana arabska miłość” – poświęcona jest życiu osób nieheteronormatywnych w krajach arabskich.

– Podejście do homoseksualności różni się w zależności od kraju. Przez lata najbardziej liberalnym państwem w tej kwestii był Oman. Tajemnicą poliszyneła był to, że rządzący krajem przez pięć dekad sultan Kabus był gejem. Nigdy oczywiście o tym nie mówił, ale też nieszczególnie się ukrywał. I choć teoretycznie w Omanie homoseksualność była karana, to nikogo nie skazano, a sultan otaczał się pięknymi mężczyznami i lubował w bardzo kwiecistych chustach. Kabus zmarł w 2020 roku i dzisiaj w Omanie sytuacja osób LGBT zaczyna się pogarszać.

W innych krajach jest jeszcze gorzej. W oficjalnych statystykach nie znajdziemy wielu skazanych za homoseksualność, ale tylko dlatego, że rodziny starają się same „rozwiązać problem”. W końcu skazany to hańba dla całej rodziny. W efekcie dochodzi do wielu zabójstw honorowych, których nikt nie ściga albo ściga niechętnie i z ogromną wyrozumiałością. Oczywiście jest też wiele rodzin, które homoseksualne dzieci po prostu wysyła za granicę, ale o nich raczej się w Europie nie mówi.

Rami, bohater twojej książki, jest Egipcjaninem. Tam za homoseksualność nikt nie karze.

– Przynajmniej bezpośrednio. 25 procent dochodu państwa pochodzi z turystyki. Władze Egiptu doskonale zdają sobie sprawę z tego, że oficjalna penalizacja homoseksualności mogłaby doprowadzić do odpływu turystów. Jednak bycie gejem czy lesbijką w Egipcie wcale nie jest bezpieczne. Bardzo wiele osób LGBT siedzi w więzieniu. Wystarczy, że zostaniesz oskarżony o „szerzenie rozpusty”. A czym jest rozpusta? To może być tęczowa naszywka na plecaku. Możliwością jest wiele.

Egipt jest rządzony przez juntę wojskową przebraną w garnitury. Do tego jest to junta mocno nacjonalistyczna. Mówi się wręcz o „neofaraonizmie”.

Jednak Ramiego trudno nazwać „obnoszącym” się gejem. Jak „podpadł”?

– Rzeczywiście to bardzo cichy, wystraszony, „grzeczny” facet. Jego „błąd” polegał na tym, że poszedł na koncert libańskiego zespołu Mashrou' Leila. Lider grupy jest gejem, który wprost mówi o swojej orientacji.

Już przed koncertem pojawiały się oskarżenia wobec organizatorów, zapowiedziano wręcz zamachy terrorystyczne. Jednak za terroryzm uznano po prostu tęczowe flagi powiewające podczas koncertu. Dwie. Oficjalnie władze poinformowały

o 60 aresztowanych. Nieoficjalnie mówi się jednak o kilkuset osobach. Oczywiście była to pokazowa akcja. Władze chciały pokazać konserwatywnemu społeczeństwu, że rozwiązały „problem”.

Rami trafił do aresztu, który okazał się po prostu więzieniem. Bez procesu. Siedział w zatłoczonej celi, warunki były koszmarnie. Ta sytuacja wpłynęła na całe jego życie. Wyrzekła się go rodzina, matka wyrzuciła z domu. Stracił grunt pod nogami i wpadł w ręce gangu.

Wydawało mi się, że niewiele rzeczy mnie zaskoczy. Otóż w Egipcie państwo w zasadzie nie musi represjonować gejów, ponieważ wystarczy, że wypycha ich w ręce mafii. Działają one tak, że wyszukują mężczyzn w aplikacjach randkowych, umawiają się z nimi, zbierają kompromitujące w oczach społeczeństwa materiały, by – jeśli odmówią współpracy – szantażować ich przed rodziną albo przed policją. Rekrutują też ludzi, którzy – jak Rami – są w kryzysie bezdomności. Zmuszają ich między innymi do prostytucji. Rami półtora roku był kimś w rodzaju niewolnika mafii. Myślał, że nigdy się już z tej sytuacji nie wydostanie.

Jak trafiłeś na Ramiego?

– Przez wydarzenia w Polsce. W sierpniu 2020 roku policja zatrzymała kilkadziesiąt osób protestujących przeciwko zatrzymaniu Margot, co szybko nazwano „polskim Stonewall”, nawiązując do słynnych protestów w latach sześćdziesiątych XX wieku w Stanach Zjednoczonych. Odezwał się wtedy do mnie Osama, Egipcjanin, którego znam jeszcze z Dubaju, a teraz mieszka we Francji. Spytał, czy robi się u nas drugi Egipt. Początkowo źle się zrozumieliśmy. Było upalne lato i sądziłem, że chodzi mu o pogodę. Jednak nie – dotarły do niego wiadomości z Polski i wydały mu się podobne do tego, co się działo w Egipcie wokół koncertu Mashrou’ Leila. Opowiedział mi historię Ramiego. Jakiś czas później poznał nas ze sobą.

Od wielu lat przyglądam się okładkom twoich książek. Nie ukrywam – nie spodziewałem się, że znajdę w nich coś innego niż „klikalne” historie. – Tak zwane „clickbaity” nie mają niczego poza atrakcyjnym tytułem. Ja staram się wypełniać je treścią. Tytuły moich książek są proste, narracyjne, ale bywają zwodnicze. Kiedy czytasz na okładce „Porzuciłam islam, muszę umrzeć”, myślisz, że wiesz, o czym jest ta książka. A nie wiesz nic. „Zakazana arabska miłość” też nie jest o miłości.

Plebiscyt „Dobre Książki Na Lato”

- Dobre książki na lato? Chcemy razem z Wami stworzyć listę książek, które warto zabrać ze sobą na wakacje. Szukamy tytułów, które wciągają i przypominają o tym, jaką przyjemność można czerpać z lektury. Mądre, zaskakujące, przyjemne. Takie, które polecimy znajomym.



- Dziennikarze i dziennikarki działu Kultura „Wyborczej” wybrali 25 tytułów, które kochamy i którymi chcemy się dzielić.

- Brakuje Ci jakiegoś tytułu na naszej liście? I dobrze! Zgłoś nam tę książkę!

- Podaj tytuł, uzasadnij swój wybór i weź udział w konkursie. Mamy dla Was zestawy książek od Wydawnictwa Agora. Na Wasze głosy czekamy do 20 lipca.

Mam świadomość tego, że moje wydawnictwo wpakowało mnie właśnie w taką „klikalną” sytuację. Nie mam im tego za złe. Są potentatami na rynku i wiedzą, jak sprzedawać książki, choć wiem, że bardzo wiele osób z tego powodu nigdy ich do ręki nie wzięło... To jest coś w rodzaju układu – oni robią okładki i tytuły, a ja mam wolność pisania. Pilnuję, żeby na okładkach nie było kobiet z zasłoniętymi twarzami.

Dlaczego?

– Nie chcę wpadać w stereotypy. To dlatego na okładkach są również mężczyźni. To nietypowe dla tej „półki”.

I tak w nie wpadasz – piękne kobiety, przystojni faceci, żadnych normalsów. – Ale właśnie to sprawia, że książki się naprawdę dobrze sprzedają.

Większość moich czytelników to ludzie mądrzy, empatyczni i otwarci, ale dzięki tym okładkom mogą też trafić pod często islamofobiczne i ksenofobiczne strzechy, wprowadzić tam konia trojańskiego. W formie zwykłej opowieści o ludziach tłumaczyć, że ci „straszni Arabowie” są ta-

cy jak my. Lubię myśleć, że to jest taka moja misja.

Świat literacki zbyt często ocenia książki po okładce. Może jednak trzeba zaczynać od zawartości? Czasem ludzie piszą, że jestem autorem „od arabskich pornoli” czy „romansidel”. Tylko że w moich książkach nie ma ani seksu, ani taniego roman-su. Ja chyba nawet nie umiem o tym pisać.

Od jakiegoś czasu zastanawiam się nad tym, czy przypadkiem my – także dziennikarze czy krytycy literaccy – uzurpujemy sobie prawo decydowania o tym, co jest dobrą, warto uwagi literaturą – nie mamy właśnie więcej uprzedzeń wobec literatury niż „zwykły” czytelnik.

– Macie. Wszyscy mamy. Ja też. W Polsce wciąż nie rozumiemy, że warto komunikować się z tym zwykłym człowiekiem. Powinniśmy mówić do każdego. Jeśli ktoś nas nie rozumie, to nie jest jego wina. Wina jest nasza. Powinniśmy wkładać więcej wysiłku właśnie w dialog z człowiekiem, który nie jest z elitarnej, intelektualnej bańki.

Mam sporo spotkań w bibliotekach i niemal na każde przychodzi tak zwany pan z kozą. Nazywam tak ludzi, których wyobraźnia jest pełna stereotypów na temat Arabów. Gdy zaczynamy rozmawiać, muszę rozbrajać te stereotypy, pokazywać, że ten świat wygląda inaczej, jest dużo bliżej naszego. Takie książki jak moje mogą zrobić wiele dobrego, dlatego ocenianie ich po okładce nie świadczy dobrze o oceniających.

Twój wydawca znany jest z „arabskich” książek. Piszą je arabistka Tanya Val-ko i Leila Shukri, która ukrywa swoją tożsamość, choć wydaje mi się to jedynie marketingowym zabiegiem.

– Gdy przyszedłem do Prószyńskiego z wywiadem z szejkiem, była to moja czwarta książka. Trzy poprzednie wciąż leżą w przysłowiowej szufladzie. Pisanie zawsze było moim marzeniem, ale gdy podpisałem kontrakt z Prószyńskim, to się rozplakałem. Z rozpacz, nie ze szczęścia. Dotarło do mnie, że nie będę pisał tej literatury, jaką chciałem. Romantyzowałem pisanie. Później dojrzałem. Zrozumiałem, że te moje pierwsze książki nadal leżą „w szufladzie” dlatego, że napisałem je dla siebie, nie dla innych.

Zawsze byłem pasjonatem historii, dlatego czytelnicy znajdują u mnie sporo wiadomości o historii Bliskiego Wschodu. Ale wiem też, że nie wszystkich to pasjonuje, dlatego wyróżniam te fragmenty tak,

by można było je pominąć. Muszę myśleć o bardzo różnych czytelnikach.

„Była arabską stewardesą”, „Tajemnice hoteli Dubaju”, „Zaginione arabskie księżniczki”, „Jak podrywają szejkwie”, „Tajemnice arabskich szpitali”, „Szofer arabskich...”. Ile tak można jeszcze ciągnąć?

– Obiecałem sobie, że gdy napiszę książkę, która mnie nie zaskoczy, to będzie ostatnia z tej serii. Jednak cały czas pojawiają się nowe historie, także dzięki Polakom, którzy coraz częściej odwiedzają kraje arabskie. Przywożą stamtąd fascynujące opowieści, trafiają do więzień.

Czy dla twoich rozmówców istotne jest to, kim jesteś?

– Nie wiem, ale ja staram się nie istnieć. Nie czuję się artystą. Jestem słuchaczem, rzemieślnikiem słowa, facetem, który ma do wykonania konkretne zadanie. Trzy razy usuwałem mój biogram z Wikipedii. Nie istnieję jako osoba publiczna, nie interesuje mnie celebrycki świat. W książkach nie piszę o sobie. Może gdybym zadebiutował, mając 19 lat...

Miałeś taki plan?

– Tak. Napisałem książkę w bardzo – przy zachowaniu proporcji – orwellowskim stylu i moim marzeniem było, żeby książkę promował teledysk w MTV. Skoro płyty promuje się teledyskiem, to czemu nie książki? Byłem na tyle bezczelnym gówniarzem, że sam chciałem to wszystko ogarnąć. Wymyśliłem sobie artystkę, która miałaby zaśpiewać piosenkę promocyjną. Dałem jej maszynopis, zgodziła się i napisaliśmy razem piosenkę. Ona muzykę, ja słowa. Z książki nic nie wyszło, ale piosenka stała się hitem.

Jaka to piosenka?

– Jej tytuł okazał się dość proroczy dla mojej dalszej kariery... „Nic o mnie nie wiecie” Reni Jusis. ●

Marcin Margielewski

- dziennikarz, reportażysta, podróżnik oraz autor około 20. książek o tematyce arabskiej, m.in. „Była arabską stewardesą”, „Tajemnice hoteli Dubaju”, „Zaginione arabskie księżniczki”, „Jak podrywają szejkwie”. Przez wiele lat mieszkał za granicą, w Wielkiej Brytanii, Dubaju, Kuwejcie i Arabii Saudyjskiej.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34386107

DO 24 LIPCA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej”
— na sierpień u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



CENA
179,90 zł**
OSZCZĘDZISZ
CO NAJMNIEJ
40 zł



Dostęp także do
Wyborcza.pl*

* Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej”. Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej”. Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. Zapraszamy. ** Różnica ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.

Dominika Tworek

W kulturze terapeutycznej mówienie o sobie stało się niemal obowiązkiem. Dziś areną emocjonalnej ekspozycji są nie tylko gabinety psychoterapeutów, lecz także serwisy społecznościowe i nasze codzienne rozmowy. To zjawisko coraz częściej przybiera formę psychicznego ekshibicjonizmu.

Codziennie zauważam jego przejawy u osób, którymi się otaczam. U chłopaka, który na drugiej randce z Tindera przez trzy godziny opowiada o krzywdzie doznanej od apodyktycznych rodziców. U prawie czterdziestoletniego mężczyzny, w którym się zakochuję, choć nasze rozmowy nieustannie krążą wokół jego słabości – do tego stopnia, że po miesiącu randek znam już na wylot charakter jego matki. U koleżanki, dla której rozpamiętywanie rozlicznych traum (w tym najcięższych, gwałtów) stało się nieodzownym elementem wspólnych posiłków. U przypadkowo spotkanego dawnego znajomego, który w kolejce do sauny wylewa na mnie brudy o ojcu alkoholiku i źle prowadzonej (w jego mniemaniu) terapii.

Dzieląc się najbardziej intymnymi kawałkami, jesteśmy przeświadczeni o tym, że zbliżamy się do drugiego człowieka. Że odsłonięcie się od razu i bez reszty umocni relację, a intensywność wyznań zagwarantuje jej głębię.

Oczywiście otwarte mówienie o swoich uczuciach i trudnych doświadczeniach bywa zbliżające. Nie sposób tego zupełnie unieważnić. Problem pojawia się wtedy, gdy ta otwartość oraz zaufanie przeradzają się w ekshibicjonizm i stają nadrzędną formą budowania intymności.

Można odnieść wrażenie, że relacje oparte na mniej lub bardziej ekshibicjonistycznym wzorcu przestają być bezpiecznym miejscem wspólnego bycia, a zaczynają przypominać jednostronne akty spowiedzi. Dlaczego dziś tak łatwo przyjmujemy, że druga osoba powinna być przede wszystkim powiernikiem – kimś, kto będzie bez końca wysłuchiwać naszych problemów?

Możliwe, że w przyjaźniach odtwarzamy po prostu emocjonalne wzory z dzieciństwa. Że – jak niegdyś wobec rodziców – znów walczymy o uwagę, przykuwamy wzrok słowami, wymuszamy obecność bólem.

Z drugiej strony nasz emocjonalny negliż może być nieświadomą próbą regulowania się przez innych. Zamiast szukać oparcia w sobie, stabilizujemy się właśnie poprzez obecność przyjaciela. A wtedy to, co nazywamy szczerością, okazuje się jedynie mechanizmem przetrwania. W dodatku egocentrycznym, bo skupionym głównie na pytaniu: „Czy zdołasz mnie udźwignąć?”.

Nasz ekshibicjonizm służy dziś również budowaniu więzi w trybie instant. Być może tak się spieszymy, bo przemawia przez nas głód natychmiastowego połączenia. Tęsknimy za bliskością i chcielibyśmy dostać ją od razu, omijając żmudny proces negocjowania jej granic.

Albo działamy z lęku. Odsłaniamy się jako pierwsi, by przejąć kontrolę nad sytuacją. Zanim mnie odrzucisz, zobacz mój ból. Poznaj moją historię – może wtedy nie odejdziesz tak łatwo.

Lub podskórnie boimy się „zawieszania w ciszy”. Wyrzucanie z siebie kolejnych wyznań często bywa prostsze niż wytrzymanie chwili niezręcznego milczenia.

Tak czy inaczej, te strategie są przede wszystkim próbą ukojenia własnych bólów. I mówią więcej o naszym stosun-

Przybywa
naturystów.
Emocjonalnych,
dla których druga osoba
ma być przede wszystkim
powiernikiem – kimś,
kto będzie bez końca
wysłuchiwać naszych
problemów

Przemocowe obnażanie

*Bliskość nie musi polegać
na ciągłym obnażaniu dusz.*

*Jej piękno zawiera się
również w tym, co ukryte:
w tkliwości spojrzeń,
dyskretnej łagodności
gestów, bezinteresownej
trosce, komforcie wspólnego
milczenia, przyzwoleniu na
niedoskonałości.*

*W powściągliwości własnego
ego i gotowości do przyjęcia
drugiego takim, jaki jest*

ku do samotności niż do drugiego człowieka. Ale spójrzmy szerzej. Może to wcale nie w naszych psychologicznych mechanizmach, ale w logice współczesnej kultury ukryty jest klucz do zrozumienia, dlaczego dziś tak wielu z nas szuka bliskości przez emocjonalną ekspozycję.

Takie podejście było bliskie profesorowi Philipowi Cushmanowi – amerykańskiemu psychoterapeucie i historykowi idei. Badacz uważał, że ludzie nie należy „czytać” jak książki. Raczej stać za nimi i czytać – przez ich ramię – teksty kultury, po które sięgają. Chodzi o to, że to właśnie kultura mówi nam, na co patrzeć, czego pragnąć, co należy myśleć i robić, a czego unikać. Jaką opowieść możemy więc odczytać z tego masowego gestu obnażania dusz?

Szczególnie wyraźnie rysuje się tu kultura konsumpcjonizmu. Prof. Cushman w prze-

lomowym eseju „Why the Self Is Empty” zdiagnozował współczesne „ja” jako puste. Według niego dzisiejszy człowiek doświadcza fundamentalnego braku, ponieważ kultura odebrała mu punkty odniesienia: tradycję i wspólnotę, a co za tym idzie – zbiorową narrację, z której mógłby czerpać poczucie sensu. Tę „kulturową pustkę” przeżywamy dziś wewnętrznie jako niskie poczucie własnej wartości, niepewność co do swoich przekonań i chroniczny, trudny do uchwycenia emocjonalny głód. A w odpowiedzi na ten stan nieświadomie próbujemy się napępiać – nabywać i konsumować.

Ów brak przejawia się w nieustannym kupowaniu, eksperymentowaniu z terapiami i duchowością, wchodzeniu w powierzchowne relacje czy uzależnieniu od substancji psychoaktywnych.

Cushman podkreślał – w sumie pocieszająco – że w jego diagnozie wcale nie chodzi o nasz indywidualny defekt. Prze-



FOU GETTY IMAGES

ciwnie, to kapitalistyczna gospodarka oparta na rotacji zbędnych i szybko starzejących się produktach potrzebuje ludzi w stanie ciągłego niedosytu – gotowych szukać nasycenia na rynku. Emocjonalny negliż pasuje do tego modelu i do listy tych kompensacji – odsłaniamy się przeciw z nadzieją, że ktoś napelni nas swoją uwagą, akceptacją czy empatią. Cushman twierdził, że współczesny człowiek zostaje odłączony od zbiorowych źródeł sensu, by desperacko szukać go w sobie albo u innych. W takim ujęciu emocjonalna ekspozycja, która powinna być spontanicznym gestem szczerości, staje się nieodzownym elementem konsumpcyjno-kapitalistycznej rzeczywistości. Głód bliskości zamienia się w towar, a relacje w chwilowe ukojenie chronicznej pustki. Aż dochodzimy do tego, że bliskość coraz rzadziej jest czymś, co się po prostu wydarza. Staje się produktem, który trze-

ba wytworzyć – najlepiej szybko i intensywnie, niczym fast food. Pustkę zachodnich społeczeństw, o której pisał Cushman, idealnie metaforyzuje przejmujący film „Love” Gaspara Noé. Jego bohaterowie – Murphy i Electra – zachują się, próbując dopełnić uczucie wedle recepty podsuwanej im przez współczesną kulturę: jeszcze intensywniejszą namiętnością, eksperymentalnym seksem, emocjonalnymi wybuchami, szczerymi do bólu wyznaniem. Noé pokazuje, że im usilniej starają się wzajemnie zespolić, tym bardziej dojmująca staje się ich egzystencjalna samotność. Tak pojmowana – jako nieustanne maksymalne spełnienie i zaspokojenie – bliskość okazuje się iluzją, która nie wytrzymuje ciężaru niespełnionych pragnień. „Miłość” stopniowo ich wyniszcza. Utożsamienie intymności z emocjonalną transparentnością bywa nie tylko ułud-

ne, ale także niebezpieczne. W relacji opartej głównie na wzajemnych zwierzeniach – ja opowiem o swoich problemach, ty podzielisz się swoimi i w ten sposób „wymienimy się bliskością” – szybko dochodzi do nasycenia. Gdy dwoje ludzi nie ma już nic do ukrycia, związek może się wyczerpać, ponieważ każde z partnerów będzie przyjmować drugiego jako „coś oczywistego”. W tym sensie psychiczny ekshibicjonizm zabija w nas naturalną skłonność do odkrywania tajemnic wzajemnego istnienia.

W sidła psychicznego ekshibicjonizmu równie skutecznie może nas wpędzać społeczny kult autentyczności. Z każdej strony słyszymy przecież wezwania do życia „w zgodzie ze sobą”, „odkrycia prawdy o sobie” czy „zaufania własnej intuicji”. W rezultacie słowo „autentyczność” stało się jednym z ulubionych wytrychów kultury terapeutycznej.

Dziś mówimy o „autentycznych emocjach”, „autentycznych relacjach”, „autentycznych reakcjach” – jakby gdzieś głęboko istniała prawdziwsza wersja nas samych, do której wystarczy sięgnąć, by wszystko nabrało sensu. Ale czy to założenie w ogóle się broni, jeśli – jak przekonywał Cushman – człowiek jest istotą bez reszty zanurzoną w kulturze? Przyjmując taki tok myślenia, nie sposób mówić o „czystej”, niezapośredniczonej autentyczności. Jeżeli nasza tożsamość kształtuje się zawsze w kontekście społecznym, próba „bycia sobą” może się okazać złudzeniem. Nie tyle powrotem do jakiegoś prawdziwego rdzenia osobowości, ile formą lojalności wobec określonej narracji kulturowej, którą uznaliśmy za własną.

Być może to, co czujemy i wypowiadamy jako „prawdę o sobie”, jest po prostu tym fragmentem kultury, który najlepiej do nas przylega. A jeśli tak – psychiczny ekshibicjonizm nie jest żadnym radykalnym aktem szczerości, lecz formą konformizmu. Ponieważ w istocie jedynie powielamy narzucony nam model mówienia o sobie – dyskurs traumy, emocji i autentyczności. Ochoczo ujawniamy własne „wnętrze”, bo właśnie do tego jesteśmy ustawicznie namawiani.

Co więcej, nieautentyczność – rozumiana jako brak szczerości lub spójności – budzi dziś społeczny niepokój, nieufność, a nierzadko także moralny osąd. W kulturze, która fetyszyzuje „bycie sobą”, nieautentyczność staje się nową formą winy – czymś, co należy wypełnić. Być może właśnie dlatego współcześnie tak chętnie obnażamy nasze dusze. Nie z odwagi, lecz z lęku, że jeśli tego nie zrobimy, zostaniemy uznani za nieszczerych.

Oczywiście można powiedzieć, że nie ma nic złego w tym, by żyć według reguł serwowanych nam przez kulturę. Choć tak rozumiana autentyczność może mieć jedną groźną właściwość: służyć egocentryzmowi – stanowić pretekst do scenicznego rozgrywania siebie, niezależnie od kontekstu czy obecności drugiego człowieka.

A wówczas staje się narzędziem emocjonalnej dominacji. Mówienie o „prawdzie o sobie” zyskuje wymiar absolutu, który ma prawo zdominować każdą relację. W imię bycia sobą można ignorować drugiego człowieka, unieważniać jego przeżycia, usprawiedliwiać własną agresję. Z tej perspektywy „autentyczność” przestaje być wartością – staje się formą przemocy.

Arcydziełem, które wnikliwie odsłania ten mechanizm, są „Sceny z życia małżeńskiego” Ingmara Bergmana. Na początku obserwujemy Marianne i Johana, parę z klasy średniej, zgodną i kochającą się, w niemal teatralnie poprawnej konwencji: są uprzejmi, przewidywalni, idealnie dopasowani do społecznego wzorca małżeństwa. Jednak gdy Johan oznajmia, że odchodzi do młodszej kobiety, fasada natychmiast pęka. Rozpoczyna się dramat, w którym jego „autentyczność” staje

się narzędziem walki. Mężczyzna pragnie uwolnić się z relacji, która – jak twierdzi – tłamsi jego tożsamość. W imię „prawdy o sobie” mówi wszystko, co czuje – nawet jeśli rani i upokarza Marianne. Choć pragnie uchodzić za człowieka odważnego, jego szczerość okazuje się wyłącznie wygodną dla niego konstrukcją: zmienną, kapryśną, podporządkowaną bieżącym emocjom i seksualnym impulsom.

Z kolei kobieta początkowo przyjmuje rolę „dobrej żony”. Długo nie potrafi wyrażać własnych uczuć, pozostaje w cieniu potrzeb męża. Dopiero gdy on odejdzie, ona przestaje godzić się na to, by być jedynie odbiorczynią cudzych emocji.

To Marianne – nie Johan – naprawdę uczy się być „bliżej siebie”. Jej droga nie prowadzi przez pozorny bunt, lecz przez przejście odpowiedzialności za swój sposób funkcjonowania w relacjach.

Deformacja definicji bliskości, jaką narzuciła nam kultura terapeutyczna, polega na tym, że utożsamiliśmy ją z całkowitym odślonieniem siebie. A paradoksalnie, emocjonalna otwartość z czasem może osłabiać nasze zaangażowanie w relacje. Bezustanna ekspozycja to przecież wysiłek, po którym łatwo poczuć się wyczerpanym. Dlatego zaczynamy coraz częściej unikać kontaktów z innymi – odkładać spotkania, a nawet zupełnie z nich rezygnować, by po prostu się nie męczyć.

Tymczasem bliskość wcale nie musi polegać na ciągłym obnażaniu dusz. Jej piękno zawiera się również – a może nawet głównie – w tym, co ukryte: w tklivości spojrzeń, dyskretnej łagodności gestów, bezinteresownej trosce, komforcie wspólnego milczenia, przyzwoleniu na niedoskonałości. W powściągliwości własnego ego i gotowości do przyjęcia drugiego takim, jaki jest.

Znakomicie ilustruje to piękny film „Między słowami” Sofii Coppoli – opowieść o spotkaniu dwojga zagubionych Amerykanów w tokijskim hotelu.

Bob – starzejący się aktor – przyjeżdża nakręcić bezsensowną reklamę whisky. Charlotte, młoda kobieta, towarzyszy mę-

W imię bycia sobą można ignorować drugiego człowieka, unieważniać jego przeżycia, usprawiedliwiać własną agresję. Z tej perspektywy „autentyczność” przestaje być wartością – staje się formą przemocy

żowi fotografowi, który niemal nie zwraca na nią uwagi. Bohaterowie są głęboko osamotnieni, oderwani nie tylko od świata, lecz także od własnych uczuć. Stopniowo obserwujemy, jak rodzi się między nimi więź. Bliskość, która nie opiera się ani na zwierzeniach, ani na fizyczności, lecz na współobecności i cichym dzieleniu poczucia wyobcowania.

Jedną z najbardziej intymnych scen to nocna wyprawa poza hotel: przejażdżka taksówką, wspólne oglądanie panoramy Tokio, karaoke. Gdy Bob i Charlotte naprzemiennie śpiewają, wpatrują się w siebie z wyczuwalną czułością. Choć nie padają żadne wielkie słowa, wiemy, że na naszych oczach dzieje się coś wyjątkowego. Kulminacją ich relacji wcale nie jest patetyczne wyznanie, lecz krótki szept, którego treści nigdy nie poznamy. Jak w tytule: najgłębsza bliskość może wydarzyć się właśnie między słowami. ●

W szatach, które zaprojektował Filippo Sorcinelli, chodziło już trzech papieży. Jeden święty został w nich pochowany. Mitry jego projektu były wystawiane w Luwrze. Jego perfumy łączą sacrum z profanum i nie są tanie. To wszystko zaczęło się, kiedy Sorcinelli miał pięć lat i zakochał się w zapachu kościoła.

FRANCISZEK BADZIAK: Czy ten trzynastoletni chłopiec, który grał na organach, wciąż w tobie żyje?

FILIPPO SORCINELLI: Zdecydowanie. Wciąż gram koncerty, także w katedrach. W sierpniu mam kolejny występ. I za każdym razem, kiedy siadam przy organach, czuję się, jakbym znów był dzieckiem w Mondolfo.

Cała jedna linia moich perfum została zainspirowana organami – ich piszczałkami, strukturą, brzmieniem. Nie używam klasycznej piramidy nut, tylko układ jak w partyturze. To mój sposób, by połączyć świat zapachów z muzyką.

Jak to się zaczęło?

– Miałem pięć lat, chodziłem z mamą do lokalnego kościoła, w którym sprzątała. Byłem bardzo ciekawski, byłem jak gąbka. Chłonałem to otoczenie – obrazy, muzykę, zapach. Dla dziecka wszystko, co zobaczy, może stać się inspiracją.

I wtedy zacząłeś grać na organach?

– Najpierw było pianino, potem organy. Później było konserwatorium, szkoła muzyczna i jednocześnie liceum plastyczne. Te dwa światy – sztuki wizualne i muzyka – zawsze szły u mnie równolegle.

Twoje projektowanie zaczęło się od prośby przyjaciela, prawda?

– Tak, to był moment przełomowy. Mój przyjaciel powiedział mi, że wkrótce zostanie wyświęcony. Poprosił, żebym zaprojektował mu ornat. I tak się zaczęło. Moja mama i ciotka szyły, miały małą pracownię. Widziałem, jak pracują, trochę sam próbowałem. To wszystko wróciło, kiedy usiadłem do tego ornatu. Przyjacielowi powiedziałem: „Zrobię ci coś specjalnego”.

To było dwadzieścia lat temu

– Pod względem stylistycznym niewiele się zmieniło, bo od zawsze inspirowałem się epoką średniowiecza. Ale nawet jeśli forma pozostaje podobna, każda realizacja wymaga innego podejścia – dostosowania do osoby, okazji, duchowości. Każdy kapłan jest inny, niezależnie od tego, czy to ksiądz z małej parafii, czy sam papież.

W prasie czasem pojawia się określenie: „stylista papieża”. Jak się z tym czujesz?

– Czasem tak mówię o sobie, ale z dystansem. Prawda jest taka, że choć papież ma wielu styli-

ZAPACH ŚWIĘTOŚCI

Nie wchodzę do kościoła, mówiąc: „Cześć, jestem Filippo i jestem gejem”. Mówię: „Cześć, Jezu, jestem tutaj dla Ciebie”.

**Z FILIPPO SORCINELLIM*,
STYLISTĄ PAPIEŻY, ROZMAWIA
FRANCISZEK BADZIAK**



• **Filippo Sorcinelli w swojej pracowni szat liturgicznych. Otworzył ją w 2002 r. w Santarcangelo di Romagna w prowincji Rimini**
FOT. ARCHIWUM FILIPPO SORCINELLIEGO (3)

Co kilkadziesiąt lat otwiera się urny z relikwiami świętych – wtedy trzeba zmienić ich szaty.

stów i wielu artystów projektuje dla niego szaty, ja jestem prawdopodobnie jedynym, który ubierał aż trzech. Ale to nie o tytuły chodzi. Po prostu wykonuję swoją pracę z pełnym zaangażowaniem – niezależnie od tego, czy pracuję dla biskupa z prowincji, czy dla papieża. Mój cel jest zawsze ten sam: przekazać sacrum poprzez piękno.

Projektujesz tylko odzież liturgiczną?

– Do tej pory głównie zajmowałem się szatami sakralnymi, ale to się zmienia. Na przykład zaprojektowałem suknię dla Madonny z Fiumarola – to figura Matki Boskiej, która co roku bierze udział w procesji rzecznej w dzielnicy Trastevere w Rzymie. Za każdym

razem inny artysta tworzy jej nową szatę – rok temu to mnie o to poproszono. Po raz pierwszy pracowałem nad strojem dla kobiecej figury.

A jak wygląda proces projektowania takiej szaty? Od czego zaczynasz?

– Wszystko zaczyna się od zlecenia – konkretnego zamówienia, które zwykle dotyczy jakiejś okazji liturgicznej. Projektuję strój z myślą o tym miejscu i czasie. Staram się też odnieść do architektury danego kościoła, jego atmosfery, symboliki liturgicznej.

Wiem, że projektując perfumy, korzystasz z ciągu Fibonacciego. Czy podobnie jest z szatami?

– Tak, na początku tak właśnie robiłem. Wszystkie modele były oparte o złotą proporcję – spiralę Fibonacciego, proporcje kwadratu. Robiłem to nie tylko ze względów estetycznych, ale też duchowych. Chodzi o harmonię. Dziś nie stosuję tego tak dosłownie, ale wiele z tamtych modeli nadal jest wykorzystywanych – są ponadczasowe.

Czy projektując dla papieża, musisz się jakoś szczególnie dostosowywać?

– Papież jest dla mnie takim samym kapłanem jak każdy inny. Oczywiście, są pewne reguły liturgiczne, których trzeba przestrzegać. Nie projektuję zgodnie z osobistym gustem, tylko z duchem liturgii. Prasa bardzo często mó-

wiła, że papież Franciszek wolał skromność w ubiorze – ale to nie do końca prawda. Zasady ubioru liturgicznego są dla każdego papieża takie same – Franciszek po prostu mocniej akcentował ideę „szlachetnej prostoty”, o której mówiono już na Soborze Watykańskim II. Prostota nie oznacza braku piękna. To nadal coś szlachetnego.

Czy przy tych ograniczeniach znajdujesz jeszcze miejsce na pokazanie siebie?

– Cała moja twórczość jest o mnie. Każdy projekt, każda kompozycja, każda nuta zapachowa – one mówią o mojej wrażliwości. Nie ukrywam się za nimi. To mój sposób zostawiania śladu po sobie.

Czy pośród wszystkich szat, które zaprojektowałeś, jest jedna, którą szczególnie zapamiętałeś?

– To reprodukcja szaty, w której pochowany został Celestyn V. To było niezwykle zlecenie. Co kilkadziesiąt lat otwiera się urny z relikwiami świętych – wtedy trzeba zmienić ich szaty. I mnie poproszono, bym zaprojektował nową. Musiałem odtworzyć, jak wyglądała szata papieża z XIII wieku. To było głębokie doświadczenie duchowe. I historyczne. Ta szata będzie go odziewać przez najbliższe dziesięciolecia.

Czy ubrałeś ją w swój pierwszy zapach „Lavs”?

– Nie, nie (Sorcinelli się uśmiecha). Przez „Lavs” opowiedziałem moją historię jako krawca liturgicznego. Naturalnym punktem wyjścia był zapach kadzidła – najbardziej charakterystyczny dla wnętrza kościoła. Ale nie chciałem, by moje perfumy pachniały jak krypta. Chciałem czegoś bardziej otwartego, przestrzennego, dialogującego. Dla mnie kadzidło to nie tylko katolicyzm – to coś uniwersalnego, obecnego w wielu religiach. „Lavs” to zapach, który ma łączyć.

Ale rzeczywiście, przed wysłaniem szat do klientów, przyska-



• **Mitra (infuła).**
Uroczyste nakrycie głowy biskupa, kardynała, opata.
z Atelier Lavs Filippo Sorcinelliego

my je właśnie tymi perfumami.

Powiedziałeś kiedyś, że twoje perfumy nie mogłyby istnieć bez muzyki. Co przez to rozumiesz?

– Muzyka i perfumy mówią tym samym językiem. Operują emocją, mają strukturę, są ulotne, ale potrafią głęboko poruszyć. Są kompozycją. Zresztą w perfumiarstwie mówi się o „nutach” zapachowych, używa się pojęć z muzyki barokowej: fuga, kontrapunkt, kodowanie. Na-

• **Perfumy Chiesa D'Oro, z linii Memento, zapach zainspirowany szufladami w zakrystii bazyliki Św. Marka w Wenecji**



wet miejsce, gdzie perfumiarz pracuje, nazywa się „organem” – jak instrument.

„Lavs” i inne moje zapachy powstawały dokładnie jak kompozycje muzyczne. Perfumy to moja symfonia zapachowa – tworzę je tak, jakbym grał na organach.

Twoja sztuka często balansuje między sacrum a codziennością, między estetyką a prowokacją. Jest w tym jakiś bunt?

– Nie lubię tego słowa. Wolę mówić o wolności. Dla mnie wolność to nie robienie tego, na co mam ochotę, ale tego, co czuję, że powinienem zrobić. Moje prace opowiadają o człowieku, z jego blaskami i cieniami. To nie bunt, to prawda.

Pytam o to, bo pracujesz dla Kościoła katolickiego, jesteś osobą religijną, a jednocześnie otwarcie mówisz, że jesteś gejem. Jak to funkcjonuje?

– Kiedy wchodzę do kościoła – w jakimkolwiek mieście – jestem po prostu wiernym. Nawet w miejscach, gdzie wiedzą, kim jestem i jaka jest moja orientacja, nigdy nie spotkałem się z odrzuceniem. Kościół ma mieć zawsze otwarte drzwi. Nie wchodzę tam, mówiąc: „Cześć, jestem Filippo i jestem gejem”. Wchodzę, mówiąc: „Cześć, Jezu, jestem tutaj dla Ciebie”.

To prawda, że trzeba być dyplomatycznym, pracując z Ko-

ściołem. Ale ja nie mam tajemnic. Po prostu nie zawsze trzeba mówić wszystko wprost. Kościół jest starszy od nas wszystkich. Zmiany w nim zachodzą powoli. Rewolucja nie może być natychmiastowa. I nie oczekuję, że Kościół się zmieni. Oczekuję tylko jednego – żeby zaakceptował każdego człowieka. To wystarczy. Nikt nie pyta heteroseksualnych osób, z kim śpią. Dlaczego więc pytamy o to innych?

Jak widzisz współczesną rolę Kościoła w kulturze?

– Problem zaczyna się wtedy, gdy religia miesza się z polityką. Wtedy traci sens duchowy i staje się ideologią. Religia powinna mówić o Bogu, polityka o człowieku. Gdy się zlewają – rodzi się fundamentalizm. Dlatego wracam do idei: otwarte drzwi, duchowość, piękno. To jest prawdziwe sacrum.

Religia nie jest dla ciebie tylko źródłem inspiracji, prawda?

– Jest fundamentem. Wiara to silnik wszystkiego, co robię. Nie chodzi o instytucję – chodzi o zaufanie, o duchową relację, o obecność sacrum. Bez tego nie mógłbym tworzyć. Nawet jeśli ktoś nie wierzy, musi przyznać, że religia – szczególnie katolicka – to podstawa kultury europejskiej. Nasze wspólne dziedzictwo.

Czy któryś z tych światów: moda, perfumy, muzyka, sztuka – jest Ci najbliższy?

– One wszystkie się uzupełniają. Nie umiałbym wybrać tylko jednego. ●

Filippo Sorcinelli

• (ur. 1975 w Mondolfo) – włoski krawiec i projektant, organista oraz twórca perfum. Jest założycielem Atelier LAVS (Laboratorio Atelier Vesti Sacre), pracowni tworzącej szaty liturgiczne m.in. dla Watykanu. Stworzył także markę UNUM, której perfumy inspirowane są mistyką, religią i osobistymi doświadczeniami.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34376849



Znajdziesz w każdym sklepie



Szukaj na regale z prasą



Bartosz Wrześniewski

I Sebastianem Kawą – najbardziej utytułowanym pilotem szybowców na świecie, zdobywcą 18 złotych medali mistrzostw świata – spotkaliśmy się na położonym wśród gór lotnisku w Bielsku-Białej. Wylądował, przywitał się, a potem na holu odwieźliśmy jego samolot pod hangary, tocząc dyskusję w trakcie oporządzania sprzętu. Z bliska szybowiec wygląda na niewielki, niemal ażurowy, aż dziw, że dało się czymś takim przelecieć nad legendarnym K2 w Himalajach. A jego pilot – formalnie lekarz ze specjalizacją ginekolog-poleżnik – sprawia wrażenie faceta konkretnego, skupionego na zadaniu, jednocześnie sympatycznego i wygadanego.

Rozmawialiśmy o życiu, Iranie, kondycji polskiego szybownictwa, zawodach nazywanych szybowcową Formułą 1 i lataniu nad najbardziej niebezpiecznymi górami Ziemi, a ja cały czas miałem w tyle głowy, że rozmawiam z kimś pokroju Adama Małysz, Roberta Kubicy czy Roberta Lewandowskiego. Tyle że zajmującego się mniej medialną dyscypliną.

BARTOSZ WRZĘSNIEWSKI: Co najbardziej pociąga cię w szybownictwie?

SEBASTIAN KAWA: Jego skomplikowanie i nieprzewidywalność. To jest po prostu trudne! W samochodzie wsiadasz do zatankowanego i przygotowanego pojazdu, masz wyznaczony tor i po prostu się ścigasz. Ja bym się zanudził! A tutaj gramy z niezależnymi od nas czynnikami, musimy obstawiać i przewidywać.

Trochę jak szachy, gdzie jest dużo zmiennych?

– Bardzo dużo, a do tego jeszcze szachownica nam się rusza! Z minuty na minutę wszystko się zmienia, wiatry, noszenie. Po tym samym terenie można latać tysiąc razy i za każdym razem jest inaczej. To nie tor, którego można się nauczyć na pamięć. Trzeba zgadywać, przewidywać prądy po-

wietrzne i podejmować ryzyko. Teoria gier z rachunkiem prawdopodobieństwa się tu dobrze sprawdza.

Szybownictwo zmieniło coś w twoim życiu?

– Całe moje życie to szybownictwo, a więc wszystko w nim zmieniło. Wychowywałem się na lotnisku, bo mój tata latał na szybowcach, uprawiał akrobacje samolotowe, a także zrzucał skoczków spadochronowych. Pamiętam wielkie hangary w Gliwicach, w którym układano szybowce niczym puzzle. Można się było pod nimi przeciskać i chować. Ten klimat od zawsze mi się podobał. Potem jako przedszkolak już w Międzybrodziu [Żywieckim] spędzałem popołudnia, słuchając opowieści lotników czekających na swoją kolejkę lotów, i czekałem na powroty taty z przelotów szybowcem. Chciałem robić to samo co on.

To ma swoją wartość. Inne sprawy nie są tak ważne. Niektóre rzeczy trzeba było poświęcić, ale ja nadal latam.

Co trzeba było poświęcić?

– Nie dorobiłem się własnej kliniki! (śmiech). A tak poważnie... Jest okres w życiu lekarza, kiedy trzeba robić specjalizację i budować pozycję w zespole. Dla mnie praca w szpitalu w ogóle nie była możliwa, bo nie mogłem uzyskać urlopu w terminie mistrzostw.

Uf. Bo w pierwszej chwili pomyślałem o życiu rodzinnym.

– Moja żona nie lubiła lotniska... Dla osób niezwiązanych z lataniem przebywanie na zawodach to nie jest nic przyjemnego, szczególnie na pustynnych czy stepowych terenach. A akurat tam najlepiej się lata. Duża część zawodów odbywa się na odludziach, chociaż są też przyjemniejsze miejsca, na przykład na Słowacji. Na mistrzostwach jest nerwowo, dużo się dzieje, to nie jest najlepsze miejsce dla rodziny, wobec tego już ze mną nie jeżdżą.

Latanie odbywa się kosztem rodziny, podobnie jak każdy sport. A że mi nie udało się przekazać pałeczki bliskim, staram się zarażać swoją pasją innych – uczyć la-

tać młodych ludzi, czasem lecę z turystami. Przy okazji uczę motywacji.

Latamy nawet w złą pogodę, w trudne dni, i to czasem kilka razy dziennie. Pokazuję im, że nie po to się przychodzi na lotnisko, aby pić herbatę.

Trzeba cały czas się doskonalić i podejmować wyzwania, a nie latać tylko tam, gdzie jest łatwo.

Ja nigdy nie szukałem łatwych rozwiązań, a trudności tylko nakręcają mnie do działania.

Oplaciło się?

– Jeśli pytasz, czy było warto, to tak. W sensie finansowym na pewno nie. Być może gdybym zajmował się akrobacjami samolotowymi, byłoby lepiej pod tym kątem. Chodzi o widzialność. Tam masz pokazy, lasery, widowisko, łatwo można sprzedać reklamę. My latamy w górach. Jak akurat nie przelatujemy obok Świnicy albo Rysów, to nikt nas nie widzi. Jesteśmy takimi samotnymi wilkami.

Szybownictwo jest chyba mało medialne? Trudno je transmitować na żywo?

– W 2006 i 2007 roku w Nowej Zelandii udowodniono, że to nieprawda. Były zawody, na których mieliśmy milion obserwujących z Polski, na żywo przez internet, a to był przecież środek nocy!

Na krótszych dystansach można zorganizować transmisję z helikopterem i komentatorem czy wręcz zaplanować zawody tak, by były możliwe do obserwowania ze szczytu jakiejś góry. I to by się sprzedało. Nie mamy jednak w kraju komentatorów, którzy znają się na szybownictwie, i brak nam takiej medialnej smykałki.

Zaczynałeś od żeglarsstwa.

Czy to pomogło w karierze pilota?

– Technicznie niewiele, ale jeśli chodzi o kwestie psychologiczne, to oczywiście, że tak. Nieważne, jaki sport się uprawia, zasady wszędzie są podobne: walka ze stresem, wyznaczanie sobie celów i ich realizacja. Trzeba regularnie trenować i jeszcze mieć z tego satysfakcję. Zawodnika zrobili ze mnie właśnie w klubie żeglarskim Nep-



Cały czas obowiązują nas podobne certyfikacje jak samoloty wożące setki pasażerów. A to tylko sport, i do tego indywidualny, pilot sam sprawdza sprzęt i nim lata. Nie ma potrzeby, by urzędnik poświadczal, że sprzęt jest w stu procentach bezpieczny, tym bardziej że nawet nie jest w stanie tego sprawdzić, bo się po prostu nie zna

tun FSM Bielsko-Biala. To zasługa naszego trenera Zygmunta Leśniaka.

Jak się trenuje pod mistrzostwa świata w szybownictwie? Bo przecież nie jest to sport kondycyjny...

– Trochę jednak jest. Trzeba być w odpowiedniej formie, aby sobie poradzić z długotrwałymi lotami, wysiłkiem w wysokich temperaturach w egzotycznych miejscach i ze stresem.

Szachorowica MI SIĘ RUSZA

Trochę ta dyscyplina traci sens.
Zamiast odczytywania chmury, latamy
za innymi, gapiąc się w monitory





Na treningu przede wszystkim trzeba dobrze poznać rejon i zjawiska meteorologiczne na arenie mistrzostw. Im więcej jesteśmy w stanie tej wiedzy przyswoić syntetycznie, śledząc wcześniejsze zapisy lotów, tym lepiej, ale nic nie zastąpi latania na miejscu. Trzeba też trenować współpracę, mieć zgrany zespół, bo sport jest indywidualny, ale latanie we dwójkę i pomaganie sobie jest dużo skuteczniejsze.

Ważne jest znalezienie własnej techniki latania, sterowania, wyszukiwania środka prądu wznoszącego – to są automatyzmy. Często musimy szybować na granicy przeciągnięcia i doskonale zgranie z szybowcem, czucie tego, co się z nim dzieje, oraz automatyczne reakcje są ważne. Przeciągnięcie można porównać do poślizgu w zakręcie, jeszcze trochę i się już wyleci.

I zaczniemy spadać?

– Tak. Zwiększy się opadanie i zaczniemy lecieć w sposób niekontrolowany w pionie, przepływy powietrza są niestabilne, niesymetryczne i szybowiec może się zacząć obracać, inaczej mówiąc – wpadnie w korkociąg.

Jakie prędkości rozwija szybowiec?

– Wszystko zależy od wysokości: im wyżej, tym szybciej, bo powietrze jest rzadsze i da-

je mniejszy opór. Moja największa prędkość to 400 kilometrów na godzinę, ale to nie jest żadne osiągnięcie w szybownictwie. Tego się nie rejestruje jako rekord, bo chwilowa prędkość maksymalna nie ma żadnego znaczenia na trasach, które pokonujemy. Liczy się prędkość średnia, a najmniejszy odcinek, który się rejestruje w tabeli rekordów, to 100 kilometrów. Na takim odcinku rekord wynosi nieco ponad 300 kilometrów na godzinę.

Co sprawia, że jest się dobrym pilotem? Chodzi o jakieś cechy osobowości, doświadczenie, a może główne role grają intuicja i przewidywanie warunków?

– Myślę, że potrzeba wszystkiego po trochu: woli walki, umiejętności kalkulowania, doświadczenia, odporności psychicznej. Jesteśmy w powietrzu przez wiele godzin, a na zawodach spędzamy 2-3 tygodnie. W locie trzeba podejmować bardzo wiele kluczowych decyzji, na które nie ma wiele czasu. Dużo czynności musi być automatycznych i bazować na doświadczeniu. Jeśli zaczniemy się nad tym zastanawiać, to nie będzie można się skupić nad taktyką, walką z rywalami i obserwacją.

To złożone decyzje, szybciej – wolniej, wyżej – niżej, ta czy tamta chmura i jaki jest

plan B. To jest dość skomplikowane do wytłumaczenia, a efektem jest jedynie to, że ktoś poleciał trochę szybciej, a ktoś inny trochę wolniej. Ale na minutowych różnicach w perspektywie wielogodzinnego lotu robi się wynik.

Są zawodnicy, którzy latają za innymi, i są tacy, którzy próbują znaleźć własną drogę w powietrzu. Wcale nie jest powiedziane, którzy wygrają. Wykorzystywanie innych w powietrzu jest możliwe szczególnie przy współczesnej technice, która pozwala widzieć wszystkich na ekranie komputera łącznie z informacjami, jakie mają warunki. Przez to trochę ta dyscyplina w mojej opinii traci sens. Zamiast odczytywania chmury, latamy za innymi, gapiąc się w monitory.

Czy każdy lot wiąże się z ryzykiem?

– Dziś ryzykowaliśmy, że nie dolecimy na lotnisko, ale wokoło jest dużo łąk, gdzie można wylądować. Na co dzień to ryzyko jest niewielkie, natomiast na niektórych zwiariowanych mistrzostwach świata typu Grand Prix bywa naprawdę niebezpieczne. Wyznaczanie tras na zawody to bardzo odpowiedzialna sprawa. Może nie być miejsc do lądowania, mogą być góry i zła pogoda, a są zawody, więc ludzie ryzykują.

• **Lot nad Kopą Kondracką w tle widać Giewont. W kabinie szybowca Sebastian Kawa i Stanisław Biela. „Tatry to jedyna nasze góry w stylu alpejskim. Trening w Tatrach jest idealny dla szybowników” – mówi Kawa (zdj. w kółku)**

FOT. ARCHIWUM SEBASTIANA KAWY (3)

Ktoś te trasy potem akceptuje, jest jakaś instancja wyższa?

– Nie. Jak sobie organizator wymyśli, tak będzie, a czasem jest to robione w sposób nieodpowiedzialny, dlatego bywa niebezpieczne. Na zawodach często organizator celowo posyła nas w trudne miejsca, by przetasować kolejność w wyścigu. Z niskiej wysokości prosto pod duże zbocze albo przełęcz w samym sercu gór, do której dolatujesz 30 kilometrów nad terenem bez miejsc do lądowania. Zatrzymasz się przed przełęczą, by się wznieść, to inni wyprzedzą cię dołem, a jeżeli tego nie zrobisz i masz pecha, to po wyścigu.

Podczas mistrzostw świata we francuskich Alpach w Sisteron posyłano nas nad zbocze dające ogromne noszenia w turbulencji, i to przed samą metą. W takiej sytuacji wygrywa ten, kto nie zwolni w turbulencji. Niektórzy nie przestrzegali limitu prędkości w silnych podmuchach i gnali nawet poza czerwoną linią na prędkościomierzu. I nikt im nic nie zrobi. Dzięki temu wygrywali, ale to nie była gra fair play. Mamy pewne parametry, których nie należy przekraczać.

Dużo ryzykowali?

– Szybowiec mógł się rozpaść. Prawdę powiedziawszy, powinni być za to zdyskwalifikowani.

Zdarzają się wypadki?

– Niestety tak. Na zawodach można się zderzyć z górą, bo często trzeba krążyć blisko zbocza i łatwo się przeliczyć. Druga rzecz to kolizja dwóch szybowców. Oczywiście mamy spadochrony, ale może być różnie, gdy na przykład leci się nisko nad ziemią. Są pewne zasady, do których trzeba się stosować, i najczęściej to działa, ale czasem po prostu piloci się nie zauważają. Wystarczy zagapić się na komputer pokładowy. Nawet gdy leci się „tylko” 150 kilometrów na godzinę, do tego dochodzi prędkość tego drugiego, więc szybowce zbliżają się do siebie dwa razy szybciej. A to jest mały obiekt, który trudno zauważyć w trójwymiarowej przestrzeni.

Szybowce łamią się też przy lądowaniu w terenie poza lotniskiem.

• **„My latamy w górach. Jesteśmy takimi samotnymi wilkami” – mówi Kawa. Na zdjęciu Mont Blanc w czasie lotu treningowego przed Grand Prix w Alpach w 2024 roku**

W takich niebezpiecznych momentach myślisz o najbliższych?

– Ja sobie nie chcę krzywdy zrobić, oczywiście, że mam te limity dużo dalej, ale nadal tam, gdzie wiele zależy ode mnie, bez liczenia na loterię. Więc tak, zwalniam. Wtedy w Sisteron przegrałem, bo nie chciałem polamać Diany. Aby zapobiegać ryzyku lądowania poza lotniskiem, warto mieć silnik, ale on nie zawsze jest możliwy, bo na przykład organizator wprowadza limity wagi szybowca. W myśl założenia, że lżejszym szybowcem leci się bezpieczniej. Trochę takie błędne koło.

Mistrzostwa świata są bardziej ryzykowne niż loty eksploracyjne?

– Według mnie tak, bo dochodzi presja ściągania się z zawodnikami i walka z czasem.

A na czym polega trudność pionierskiego lotu nad K2?

– Jedno żebro górskie oddzielające doliny w Karakorum jest wielkości Tatr. Nie ma bezpiecznych miejsc do lądowania, bo teren pokrywają lodowce. Dno doliny pod K2 jest na wysokości 4600 metrów i delikatnie opada przez 100 kilometrów do 2300 metrów, a więc latać trzeba bardzo wysoko. To teren

Jak wam się to udało?

– Było pewne, że z wykorzystaniem samej termiki wlecenie nad te lodowe giganty będzie trudne. Problemem jest śnieg, który nie nagrzewa się tak od słońca jak skały czy las, więc noszenia są słabsze. Z tego powodu chmury cumulus na szczycie prądu wznoszącego są niżej, a nie da się wznieść nad nie na termice. Trzeba było wykorzystać zjawiska związane z silnym wiatrem. Miałem świetną prognozę pogody od Elmera Joandii, kolegi informatyka i meteorologa z Estonii, co dużo nam pomogło.

Czekaliście na taki wiatr?

– Chcieliśmy latać od razu, lecz urzędnicy sprowadzili nas szybko na ziemię. To, że pakistański urząd lotnictwa cywilnego dał nam zgodę na latanie, to jeszcze nic nie znaczyło. Okazało się, że najwięcej do powiedzenia mają wojsko, ale również burmistrz miasta i służba ochrony lotniska, która musiała mieć zgody z dwóch ministerstw, aby nas tam wpuszczać.

Wszyscy wchodzili sobie w kompetencje. Jedni wyrażali zgodę, drudzy ją negowali. Musieliśmy nawet wykupić pozwolenie na trekking w dolinie, mimo że tylko nad nią przelatywaliśmy. To tak, jakby samolot pa-

Dlatego spędziliśmy godzinę, mozolnie zdobywając metry, esując i krążąc nad przełęczą, aby się wznieść nad chmury. Wyżej napotkaliśmy silny wiatr, który tworzył falę za szczytem Maszerbrum, i ta fala wyniosła nas wysoko. Zadanie stało się proste. Oczywiście ten wiatr i fala były prognozowane, więc to nie było tak, że poleciliśmy tam na chybił traf.

Mieliście scenariusz awaryjny?

– Zostawał odwrót na południe z przełęczy Gondogoro do piaszczystego brzegu rzeki Shyok, gdzie można by awaryjnie lądować. Piaszczyste plaże wzdłuż rzek były jedynymi lądowiskami. W zasadzie nie było drugiej opcji. Gdyby nie dało się wznieść za Maszerbrumem, to trudno liczyć, że uda się nad lodowcem Baltoro, skąd bez noszeń w zasadzie nie było powrotu. Moglibyśmy jedynie liczyć na to, że doskonałość szybowca pozwoli jakoś przelecieć 100 kilometrów nisko nad ziemią w stronę Skardu. Ale to byłoby bardzo niebezpieczne. Więc trzeba było wejść na falę i latać wysoko.

Były jakieś inne nieprzewidziane sytuacje?

– Aparatura tlenowa przestawała być wy-

zawartości tlenu w powietrzu. No i działa do wysokości 3000 metrów, potem śmigło daje więcej oporów niż ciągu. A dno lodowca Baltoro ma pod K2 5000 metrów n.p.m.

Trudnością do przewidzenia było to, z powodu dużej wysokości lotniska nie mogliśmy wystartować z pomocą samego silnika. Trzeba było się wspomagać hołem na długiej linii za samochodem. Zyskiwaliśmy w ten sposób kilkaset metrów wysokości i już można było bez dobrego wznoszenia odlecieć z doliny Skardu na wschód. Dopiero tam wychodziliśmy z chłodniejszego powietrza doliny, zaczynały się ruchy powietrza i można było schować śmigło. To była ogromna ulga.

Ile trwał lot?

– Około 4 godzin. Dość krótko, ale mogliśmy latać, dopiero gdy wszystkie samoloty komunikacyjne opuściły dolinę. Było to dość niezrozumiałe, bo lotnisko pracuje w reżimie VFR – Visual Flight Rules, samoloty mają się widzieć i kontroler nie musiał nas separować. Dodatkowo lotnisko dysponowało dwoma nieużywanyimi pasami startowymi, gdzie moglibyśmy działać.

W pierwszym dniu wypuszczono nas po 16 i to był nieudany lot. Za późno, za mało słońca, a więc kiepska termika. Nawet nie udało się wznieść nad okoliczne szczyty. Drugiego dnia wystartowaliśmy o 14 i to wystarczyło, by zdążyć, zanim pogoda się popsuła.

A jak to porównać z wcześniejszymi wyprawami? Były trudniejsze loty? Osiągał pan już takie wysokości?

– Lecąc nad Elbrusem, osiągnąłem 10 000 metrów, a 9600 metrów w Himalajach, ale wysokość nigdy nie była celem samym w sobie. Jej osiągnięcie to kwestia odpowiedniej aparatury tlenowej i cierpliwości.

Lotniczo Kaukaz był najtrudniejszy ze względu na dużą ilość wilgoci i chmur oraz częste burze, które tam występują. Chmury niemal dotykają ziemi na płaskowyżu po północnej stronie Kaukazu i to jest bariera trudna do przebycia. W przeciwieństwie do Himalajów i Karakorum, gdzie nigdy przed nami nie było szybowców, na Kaukazie były, ale nigdy nie doleciały nad Elbrus, bo to po prostu za trudne. Nam się udało – kiepskim szkolnym szybowcem i nawet w sposób czysto sportowy, czyli po krótkim holu 300 metrów nad lotnisko. Ale wcześniej przetrenowaliśmy to wysokiej klasy szybowcem z silnikiem. Ten ostatni lot w Kaukazie musieliśmy polecieć tak wysoko za sprawą pełnego pokrycia chmur i wiatru z północy o prędkości 120 kilometrów na godzinę. Tylko tak można było wrócić. Karakorum jest sto razy lepsze i ciekawsze do latania niż Kaukaz.

W świetle ostatnich wydarzeń trudno nie zapytać o Iran. Kiedy go przemierzaliście, jeszcze nie było mowy o izraelskich i amerykańskich nalotach, ale dużo się mówiło o reżimie i ajatollahach w związku z buntem społecznym po śmierci młodej Mahsy Amini zakatowanej na policji za brak hidżabu.

– Szkoda mi ich. To piękny i potencjalnie bogaty kraj, ale Iran jest odcięty od świata i tę izolację widać na każdym kroku. Jeżdżą bardzo starymi samochodami, po angielsku mało kto mówi. Zachodnie serwisy informacyjne są w internecie poodcinane, więc wielu Iranczyków z prowincji czy bardziej religijnych jest zmanipulowanych.

A jednocześnie widać, że to wykształcone społeczeństwo. Szczególnie po mundurowych. Jest ogromna różnica pomiędzy Pakistanem, gdzie wojskowi to prości ludzie, często miejscowi chłopci, a Iranem. Już sam wygląd tych ludzi jest inny. Biurokracja jest na wyższym poziomie. Mają komputery, a nie zapisują sobie wszystko na kartkach jak w Pakistanie.

Natomiast w Pakistanie ci ludzie byli sympatyczniejsi, bardziej otwarci, wręcz zafascynowani nami. W Iranie przeciwnie: jest bardzo duża rezerwa, nieufność i dystans. Właściwie nie mieliśmy kontaktu z miejscowymi poza tymi sytuacjami z wojskiem



• Górską Szkołę Szybowcową „Żar” powstała w Beskidach jeszcze w 1936 r. Stała się mekką szybowników. Ojciec Sebastiana, Tomasz Kawa, był w niej instruktorem. Sebastian tam się wychował

FOT. ARCHIWUM SEBASTIANA KAWY

kompletnie niedostępny dla ratownictwa. Trekking do bazy pod K2 zajmuje 2 tygodnie. Poza tym im wyżej latamy, tym trudniej znaleźć odpowiednie noszenia. Dostanie się na odpowiednią wysokość jest czasochłonne i potrzebne są odpowiednie warunki.

Na te w Karakorum akurat narzekać nie można, bo wilgotne powietrze znad Zatoki Bengalskiej tu nie dociera, jak to ma miejsce w Himalajach. Jednak wyjście z doliny Skardu było problematyczne przez chłodną bryzę niesioną doliną Indusu.

W 2013 i 2014 roku lataliśmy w Nepalu i okazało się to kiepskim pomysłem. Wilgoci było za dużo, a chmury za nisko. Karakorum jest oddzielone od morza barierą górską, która zatrzymuje monsunowe opady daleko od serca gór. Powietrze jest bardzo suche, dzięki czemu występują tu silne zjawiska termiczne, potrafiące wynieść szybowiec, a pogoda jest stabilna. Gdyby nie wysokość, byłoby to też jedno z najgorętszych miejsc na świecie. Pokazaliśmy z kolegami, że latanie nad Karakorum jest możliwe, i to właściwie codziennie, mimo sezonu monsunowego.

Lataliście tam jako pierwsi?

– Szybowcem w Karakorum nikt nigdy nie próbował latać ani nawet o tym nie pomyślał, ale parę lat wcześniej pojawiły się pierwsze paralotnie. Można znaleźć relację pilotów francuskich. Wyprawę sponzorował Red Bull i powstał z tego film „Flying Between Giants”. Chłopaki dolecieli w okolicę K2. Wzniesli się do końca zasięgu termiki, czyli ciepłych prądów wznoszących, ale nie nad szczyt. Trzeba przyznać, że my mieliśmy lepsze możliwości. Szybowiec może wykorzystywać pogodę przy turbulencji i przy silnym wietrze.

sażerski obciążyć opłatami za wspinaczkę na jakąś górę, bo nad nią przelatuje. Po prostu cyrk.

W końcu udało nam się przekonać generała, dowódcę wojsk w regionie Gilgit-Baltistanu, aby wydał nam pozwolenie. Polataliśmy tydzień i w pewnym momencie wojsko z niewiadomych przyczyn przestało nam dawać zgody na lot, więc musieliśmy wracać do domu. Okazało się, że pretekst dali paralotniarze latający bez zezwolenia, a że wojskowi i tak mieli problem z szybowcem latającym blisko chińskiej granicy, więc uziemili nas wszystkich.

Jak wyglądała logistyka?

– Dostanie się do Pakistanu z szybowcem, to była droga przez mękę. Jechaliśmy samochodem osobowym z przyczepą 14 dni. Nikt w tych krajach nigdy szybowca nie widział, na każdej granicy trzeba było użerać się z celnikami łapownikami. Na granicy turecko-irańskiej byłem już zdecydowany wracać, bo żądano od nas gigantycznych pieniędzy za wjazd, ale jakoś dzięki pomocy znajomych, którzy uruchomili swoje kontakty, jednak się udało.

Była obawa, że nie uda się przebić przez łańcuch górski i wznieść nad K2?

– Były takie przełomowe momenty nad przełęczą pod Gondogoro, szczytem na wschód od Maszerbrumu, nad którą musieliśmy przelecieć, aby dostać się nad lodowiec Baltoro. Gdybyśmy tam wlecieli na małej wysokości, to byłaby bardzo niebezpieczna sytuacja. Jediną szansą było noszenie na ścianie Broad Peak wystawionej do wiatru, ale nie wiadomo, czy to by zadziałało. Z braku termiki trudno byłoby się stamtąd wydostać.

dolna na tych wysokościach. To nie były szczelne maski, ale kaniule donosowe. Najwyżej wznieśliśmy się na 9200 metrów, a więc strasznie wysoko jak na szybowiec z tą aparaturą. Trzeba było monitorować wysycenie tlenem, ponieważ z kaniuli on miesza się z powietrzem.

Jesteś w wyjątkowej sytuacji: zajmujesz się nagrywaniem komentarza na wideo, planowaniem lotu, analizowaniem pogody, a jednocześnie musisz obserwować pulso-ksymter – bo jak nie przypilnujesz tlenu, to stracisz przytomność. A ja do tego byłem po ciężkiej gorączce i źle się czulem.

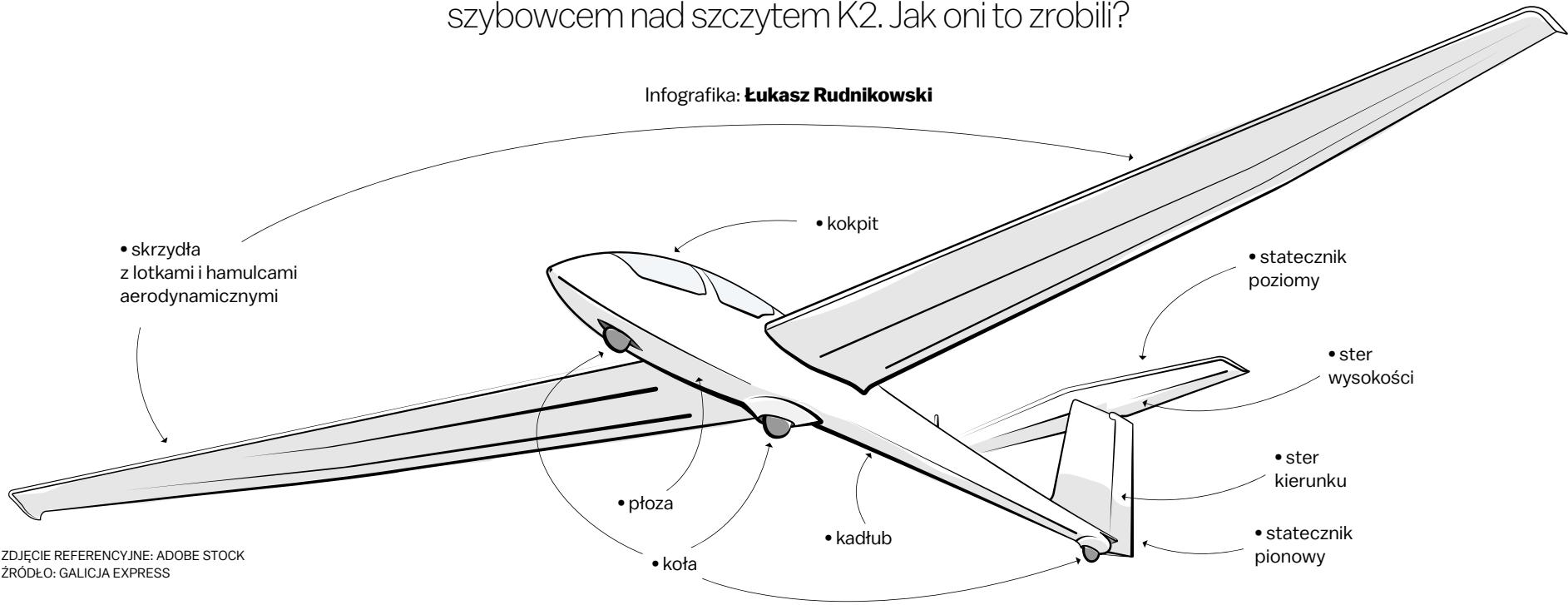
Problemem były też chmury kryjące szczyty. Gdybyśmy w nie wlecieli, łatwo byłoby się zderzyć z jakimś zboczem. Co prawda mieliśmy silnik, ale na takich wysokościach on w ogóle nic nie daje, nie generuje ciągu albo nawet się nie uruchomi z powodu zamrożonych akumulatorów czy małej

Dostałem złoty medal Międzynarodowej Federacji Lotniczej, jako pierwszy Polak. Nikt na świecie nie ma 38 medali mistrzostw świata i Europy w szybownictwie. Bardzo prestiżowa nagroda, otrzymali ją m.in. Gagarin i Charles Lindbergh. Jednak Aeroklub nie uznał, że warto, bym osobiście go odbierał

Prawie jak ptaki

Kawa i Lampart, dwóch Sebastianów z Polski, jako pierwsi na świecie przelecieli szybowcem nad szczytem K2. Jak oni to zrobili?

Infografika: **Łukasz Rudnikowski**

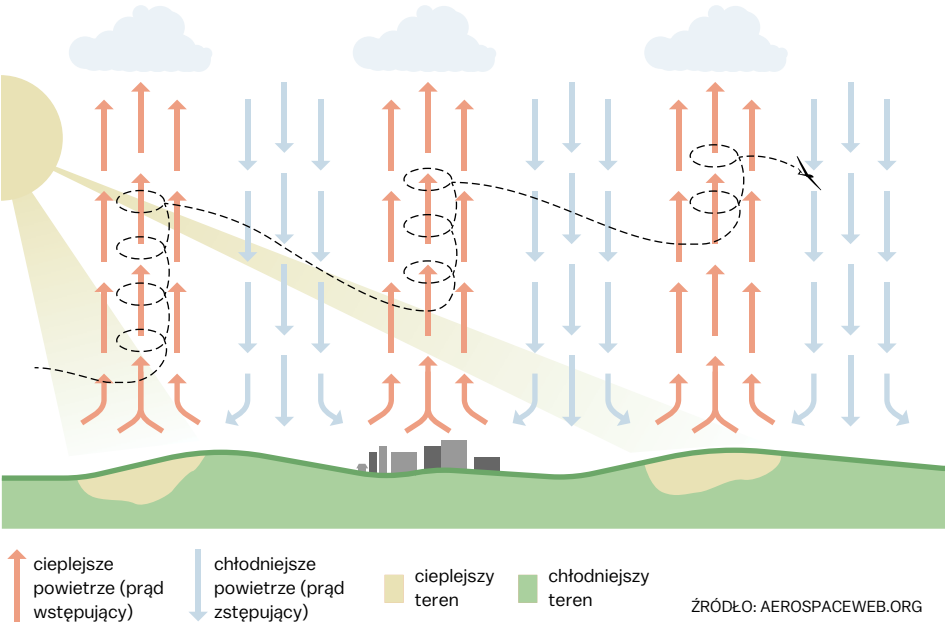


ZDJĘCIE REFERENCYJNE: ADOBE STOCK
ŹRÓDŁO: GALICJA EXPRESS

Jak szybowiec nabiera wysokości. Zjawisko termiki

Samolot bez silnika potrzebuje sił natury do utrzymania się w powietrzu

- Słońce ogrzewa teren nierównomiernie
- Nagrzane od terenu powietrze wznosi się, tworząc komin termiczny. Jego oznakami są m.in. chmury kłębiaste (cumulusy) albo szybko wznoszące się ptaki. Pilot krąży, starając się być jak najbliżej środka, gdzie najszybciej nabiera wysokości
- Wznoszące się powietrze ochładza się i opada z powrotem na ziemię. Pilot szuka kolejnego komina termicznego



Lampart z Kawą nad szczytem K2

20 lipca 2024 r. Sebastian Kawa i Sebastian Lampart jako pierwsi na świecie przelecieli szybowcem nad szczytem K2 w paśmie górskim Karakorum. Wystartowali z lotniska w Skardu



Ważne daty dla polskiego szybownictwa

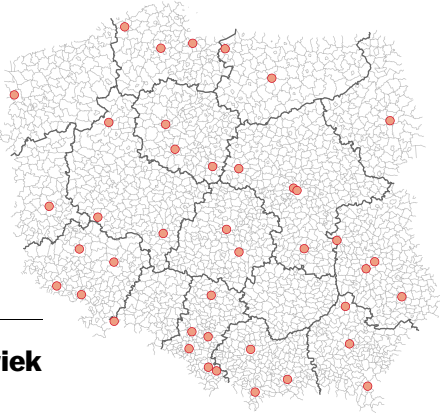
- 1895–1896**
 - Pierwsze polskie próby szybowcowe Czesława Tańskiego na własnoręcznie konstruowanych maszynach latających
- 1923**
 - Pierwszy w Polsce konkurs ślizgowców (ówczesna nazwa szybowców). Wziął w nim udział Adam Karpiński ze swoim Akarem – pierwszym całkowicie polskim szybowcem.
- 1972**
 - Szybowcowy Zakład Doświadczalny zaczął produkcję rodziny pierwszych polskich szybowców z laminatów szklano-epoksydowych – Jantar.
- 2005**
 - Oblatano model Diana 2, do którego skrzydło zaprojektował Krzysztof Kubryński. Nowoczesna konstrukcja (skrzydło jest cieńsze przyłączeniu z kadłubem niż w jego dalszej części) poprawiła aerodynamikę i ogólne możliwości szybowców.
- 2024**
 - Diana 4 – pierwszy polski szybowiec z napędem elektrycznym. Maszyna może startować i wznosić się samodzielnie nawet bez obecności pionowych prądów powietrznych. Trwają testy tego modelu.

Rekordy prędkości



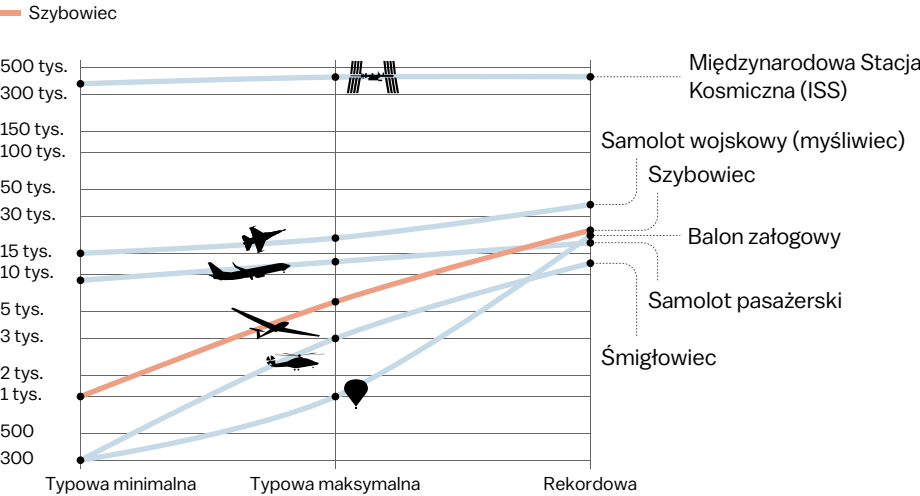
Gdzie polatasz szybowcem

Interaktywną mapę ośrodków w Polsce, z której dowiesz się więcej, znajdziesz na stronie Wyborcza.pl
ŹRÓDŁO: SZYBOWCE.COM



Na jaką wysokość wznosi się człowiek

Typowa minimalna, typowa maksymalna i rekordowa wysokość lotu. Dane w metrach



ZEBRANE DANE: DOMINIK UHLIG / WYBORCZA.PL/BIQDATA

i rozmową z kelnerami w restauracji. Kelnerek nie było. Być może to kwestia nie tyle kulturowa, ile reżimowa, związana z sytuacją polityczną? Pewnie gdybyśmy tam mieszkali, byłoby inaczej. Podejrzewam, że z Irańczykami znalazłbym więcej wspólnych tematów do rozmowy.

No ale my w Iranie nie mieliśmy znajomości i sami nie bardzo szukaliśmy kontaktów z miejscowymi. Nie z braku ciekawości, po prostu to był dla nas kraj tranzytowy, przez który mieliśmy się jak najszybciej przedostać, więc nie bardzo był czas na krążenie po ulicach, chłonięcie atmosfery, nawiązywanie relacji.

Ale z wojskowymi mieliście styczność?

– Nie z własnej woli. Na ulicy dwa razy nas zatrzymali antyterroryści, wyciągając z samochodu pod bronią za ręce. Sprawdzali nasze telefony, wszystko kopiując i szukając kontaktów z Izraelem. Myśleli, że wieziemy drona bojowego. Żeby wszystko się wyjaśniło, musieliśmy czekać na kogoś wyższego stopniem.

Niemniej nie powiem: zwykli ludzie bardzo sympatycznie nas traktowali. Na przykład w pewnym momencie trudno było wymienić dolary na riale i pomógł nam dyrektor banku, sprzedając swoją prywatną gotówkę.

Czy szybownictwo tam funkcjonuje?

– W ogóle nie. Nawet lotnictwo kuleje, co jest dla mnie kompletnie niezrozumiałe, bo przecież każdy kraj potrzebuje pilotów. Jedynie widuje się parolotnie. Chociaż nie wiadomo, jak długo będą się mogli nimi cieszyć, bo może teraz wojsko uzna, że nie chcą, by im ktoś jeszcze bez kontroli nad głową latał?

Można odnieść wrażenie, że Sebastian Kawa osiągnął w szybownictwie wszystko. Jakie masz plany? Marzenia?

– Chciałbym jako pierwszy człowiek na świecie polatać szybowcem po Antarktydzie. W tej chwili powinienem lecieć do Argentyny na rozmowę o pobycie w ich stacji polarnej Marambio. Trzeba być tam na miejscu, aby dogadać kwestię pozwoleń.

Dodatkowo potrzebujemy wsparcia jakiegś uczelni, bo działania na Antarktydzie muszą być uzasadnione naukowo. Wiadomo, że z takimi instytucjami trudno jest się dogadywać na odległość. A do tego potrzebny jest jeszcze szybowiec, bo ten mój jest za stary i za bardzo awaryjny. Strach by było nim tam latać. Niestety sprawa utknęła w martwym punkcie...

Nie macie sponsora?

– Fundacja Polskich Portów Lotniczych zgodziła się pomóc i miała kupić szybowiec. Oczywiście nie tylko na tę wyprawę, ale także w celach szkoleniowych na zawody i co ważne – dla niepełnosprawnych. To był naprawdę świetny projekt, bo obecnie uczyć latać na swoim prywatnym szybowcu i nikt mi za nic nie płaci. Niestety sprawa utknęła na etapie formalnym – przetargi, procedury, prawnicy. W tym kraju to jakaś masakra... [Już po naszej rozmowie sprawa się rozwiązała – fundacja nie kupi szybowca, ale wspomoże poszukiwania sponsora oraz szkolenia i treningi].

Inna sprawa to coś, co nazywam myśleniem postkomunistycznym w kwestii finansowania sportu. Mamy w Polsce jakąś men-

Najwyżej wznieśliśmy się na 9200 metrów. Jesteś w wyjątkowej sytuacji: zajmujesz się nagrywaniem komentarza na video, planowaniem lotu, analizowaniem pogody, a jednocześnie musisz obserwować pulsoksymter – bo jak nie przypilnujesz tlenu, to stracisz przytomność

talną chorobę, pewnie związaną z ostrożnością polityczną, która nie pozwala sponzorować zawodników. Można wydać miliardy na organizację, która je roztrwoni i nie ma żadnego sukcesu, ale już przekazanie pieniędzy personalnie, konkretnemu zawodnikowi odnoszącemu sukcesy, jest postrzegane w kategoriach machlojki. Nie ma sponsoringu, to, co widzimy, to są w istocie usługi reklamowe – zawodnik musi założyć firmę, by się rozliczyć.

Koleczy, którzy przyjeżdżają na zawody z Zachodu, są zaskoczeni. U nich każdy młody pilot ma jakiegos sponsora i spokojnie trenuje, rozwija się, a nie kombinuje, jak zaoferować równoważny pakiet reklamowy. Piloci nie muszą rezygnować z rozwoju z powodu braku pieniędzy.

Oczywiście ja mam już inną pozycję, ale przez lata się z tym zmagalem i widzę, co dotyczy młodszych kolegów, więc mówię o tym głośno. Pomaganie zawodnikowi, wspomaganie go, by został elitą sportu, mistrzem, to nie jest przestępstwo! A my spotykamy się z opiniami, że „nie, bo jak wam kupić szybowiec, to będzie wozil dzieci bogatych rodziców”.

Nawet w przypadku niepełnosprawnych szybowników? O co w ogóle chodzi?

– Mamy bardzo dobrego zawodnika, który kiedyś miał wypadek szybowcowy. Adam Czeladzk był nawet medalistą mistrzostw Europy, lecz od dawna nie lata w zawodach, bo przestarzałe konstrukcje nie są przystosowane dla niepełnosprawnych. A takich ludzi jest więcej. To pełnoprawni zawodnicy, tylko nie mogą obsługiwać steru kierunku za pomocą nóg. To aż dziwne, że taka blachostka inżynierska nie może być rozwiązana. Producenci mogliby przewidywać taką opcję na etapie projektowania.

Mieliśmy się zajmować takimi zawodnikami, umożliwiać im wyczynowe szkolenie i starty na mistrzostwach świata.

Aeroklub Polski wam nie pomaga?

– Oni nie mają szybowców dwuosobowych do latania wyczynowego. Był jeden na cały kraj, kupiony lata temu w prezencie do pierwszych boeingów, taki jak mój. Stał w Lesznie, nie był wykorzystany i został sprzedany.

Zasadniczo młodzi piloci uczą się sami, chyba że polatają prywatnie z Januszem Centką, Tomkiem Rubajem czy ze mną. Ten sport umiera, mimo że byliśmy potęgą i zostało kilka osób, które potrafią latać na poziomie. Na mistrzostwa świata moż-

na wysłać może trzech po medale, a reszta lata odtwórczo. Ja musiałem wszystkiego uczyć się sam i dojść do mistrzostw zajęło mi 10 lat. Po pierwszych lotach z tatą już nigdy nie miałem trenera, który by mnie czegoś uczył.

A można inaczej. Szkolenie na dwuosobowym wyczynowym szybowcu daje błyskawiczne efekty. Ale my możemy tylko obserwować na zawodach starszych zawodników. Obecnie nie ma w Polsce kogoś, kto by trenował kadrę technicznie, latając z szybownikami. Nie wiadomo, jak latają juniorzy, czy dobrze sterują, czemu źle się wznoszą. Jest tylko selekcjoner i osoba od spraw finansowo-organizacyjnych, przeciążona pracą biurokratyczną.

Anegdota. Niedawno dostałem złoty medal FAI, Międzynarodowej Federacji Lotniczej, jako pierwszy Polak. Nikt na świecie nie ma 38 medali mistrzostw świata i Europy w szybownictwie. Bardzo prestiżowa nagroda, otrzymali ją między innymi Gagarin, Charles Lindbergh czy Paul MacCready, twórca słynnych mieśniolotów. Jednak Aeroklub nie uznał, że warto, bym osobiście go odbierał. Pojechałem, bo zaprosił mnie organizator pokazów w Rijadzie.

A jaki jest los polskiego projektu Diana 4? Czy to nie miał być nowy motor napędowy naszego szybownictwa, kiedyś słynącego ze światowej klasy konstrukcji?

– No właśnie na nim startowałem w Nowym Targu na eliminacjach do mistrzostw świata. Swoją drogą potraktowałem te zawody za bardzo treningowo, bo skupilem się na testowaniu Diany 4 i byłem trzeci, więc się nie zakwalifikowałem. Mam jeszcze niewielką szansę, jeśli ktoś zrezygnuje.

Niestety na mistrzostwa świata nie mogę nim lecieć. To prototyp i wymaga pewnych modyfikacji. Konstrukctorem jest polska firma Avionic z okolic Bielska-Białej.

Myśmy mieli bardzo dobrą tradycję w budowaniu szybowców. Sprzedawaliśmy je na cały świat. Diana 4 miała przywrócić Polskę do elity producentów dużych szybowców klasy otwartej i 18-metrowej. [Chodzi o rozpiętość skrzydeł, im większa, tym szybowiec szybszy, trochę jak z pojemnością silnika w motoryzacji]. Aerodynamicznie miało być super, ale niestety nie jest tak idealnie, jak bym sobie tego życzył. Mam nadzieję, że kolejny egzemplarz zostanie poprawiony*.

Bo ja chcę zawodniczego szybowca. Najlepszego na świecie. A ten, mam wrażenie, był robiony bardziej pod pilota oblatywacza, nie pod zawodnika. Zawodnik wybaczy trudności w sterowaniu, bo doceni osiągi konstrukcji. Dla cywila nietatwe sterowanie to niedoskonałość, a dla zawodnika wręcz atut. Gdyby wsadzić zwykłego kierowcę do bolidu Formuły 1, też miałby problem, aby tym kierować.

Myśmy od 1973 roku nie mieli topowego szybowca w tej klasie. Wtedy skonstruowano Jantara, który był w tamtych czasach najlepszym szybowcem na świecie, mimo że naszych budowniczych kępowało embargo na materiały, żywyce i tkaniny szklane. Ale ZSRR po dwóch sukcesach w Australii i w Finlandii nie pozwolił nam pojechać z nim na mistrzostwa świata w Chateaux. Zakłady szybowcowe od tego momentu mocno podupadły i czas tych szybowców minął. To była polityka Związku Radzieckiego, który nie pozwalał nam się wybić ponad nich.

Dziś też mamy bardzo dobrych konstruktorów, na przykład, jeśli chodzi o aerodynamikę. Krzysztof Kubryński zaprojektował ją w Dianie 2 w roku 2005. Profesor był odpowiedzialny za sukces wyczynowy tego projektu, za osiągi. Chodzi o kształt skrzydła i jego dopasowanie do kadłuba. Udało mu się bardzo dobrze zaprojektować profil aerodynamiczny, choć wtedy nie było dostępu do badań w tunelu aerodynamicznym. Wszystko wyliczył teoretycznie!

Jego konstrukcja pozwala lepiej wykorzystywać podmuchy w kominach termicznych, czyli tam, gdzie się wznosimy. Dzięki temu Diana może być cięższa, a jak jest cięż-

sza, to i szybsza. Od 2005 roku, kiedy startowałem na niej w mistrzostwach świata we Francji, nadal jest najlepszym szybowcem na świecie w klasie 15-metrowej, jeśli chodzi o osiągi.

To czego byś życzył polskiemu szybownictwu?

– Zmiany przepisów! Cały czas obowiązują nas bardzo podobne certyfikacje jak samoloty wożące setki pasażerów. To zupełnie niepotrzebne. To tylko sport, i do tego indywidualny, pilot sam sprawdza sprzęt i nim lata. Nie ma potrzeby, by urzędnik poświadczal, że sprzęt jest w stu procentach bezpieczny, tym bardziej że nawet nie jest w stanie tego sprawdzić, bo się po prostu nie zna. Polega tylko na papierach. Wystarczyłaby odpowiedzialność producenta gwarantującego, że szybowiec spełnia normę, i już.

Certyfikacje załóg, sprzętu, obsługi organizacji – to tony papierów, przepisów i kosztów, które niczego nie gwarantują, tylko hamują rozwój. Te wymogi obowiązują w całej Unii, ale Niemcy są bogaci i mogą to przełknąć. Nam jest trudniej, bo płacimy tej samej organizacji, a więc w euro.

Ogromne szkody wyrządził wymóg badań pierwszej klasy, takich jak do Boeinga, który wprowadzono na jakiś czas dla instruktorów szybowcowych. Wielu z nich to byli świetni starzy piloci na emeryturach, którzy mieli czas na szkolenie młodzieży i to kochali.

Ale nie było ich stać na drogie specjalistyczne badania co 6 miesięcy i odeszli. Umiejętności muszą być przekazywane, a skończyło się tak, że często szkolą piloci, którzy nigdy nie mieli czystego pilotażu, więc uczą słabego latania następnych.

Życzylbym sobie też więcej takich zawodów jak te w Nowym Targu. Brakuje nam zawodów w górach, a zatraskanie w nich jest ważne, bo w taki teren przenosi się wiele imprez finałowych, gdyż ruch komunikacyjny omija góry bardzo wysoko i jest przestrzeń do latania.

Formuła Grand Prix na krótkich dystansach mogłaby zainteresować ludzi, przekonaliśmy się o tym w Nowej Zelandii, ale do tego potrzebne są zdjęcia z powietrza, lokalizacja umożliwiająca publiczności obserwację niemal całej trasy oraz komentator, który opowie, co się dzieje.

W Nowym Targu pod tym względem nie było źle, ale nawet tam zabrakło promocji. A że można inaczej, pokazują zawody baloniarskie, na których niewiele się dzieje – polatają godzinę o świcie i koniec. Ale można zrobić fajne zdjęcia, przewieźć pasażerów. To się sprzedaje. U nas tego brakuje, choć mamy dyscyplinę znacznie bardziej efektywną.

No i chciałbym, aby powstały warunki, by doświadczeni piloci mogli bez chodzenia na kompromisy czy kosztów osobistych poświęcić czas na przekazywanie doświadczeń młodszemu. Również latając porządnym dwuosobowym szybowcem.

Jednak przede wszystkim życzyłbym sobie entuzjastów – pilotów i konstruktorów – którzy nie będą patrzeć na pieniądze i będą chcieli to popchnąć do przodu.

Któryś z Polaków zakwalifikował się do mistrzostw świata?

– Zawody w Nowym Targu wygrał Staszek Biela, któremu pomagałem poprawić to i owo w lataniu. Właściwie po to były te zawody, aby on się zakwalifikował (*śmiech*). Trzymajmy za niego kciuki! ●

* W czwartek 3 lipca, już po naszej rozmowie, szybowiec Diana 4 rozbił się na prywatnej posesji i nie doleciał do lotniska w Bielsku-Białej. Za sterami siedział pilot oblatywacz. Jak donosi portal Dlapilota.pl, „pilot wydmuchał 1,62 promila alkoholu. Jak się okazało, pilotem szybowca był inspektor z Urzędu Lotnictwa Cywilnego”. Z kolei z doniesień wstępnych Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych wynika, że na wysokości 2000 metrów awarii uległy hamulce.

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan
WICEPREZES ZARZĄDU: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:

MAGAZYN-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; **FOTOEDYCJA:** Dominik Gajda
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan
WICEPREZES ZARZĄDU: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:

reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Litwini i ruch artystyczny Fluxus

SAMĄ MUSZTARDĄ SIĘ NIE POŻYWISZ

Żał mi klasycznej sztuki,
którą dzisiaj zastępują
gry i żarty. Nie zawsze
dowcipne

Tomas Venclova*

Być może świadczy to o moim braku ciekawości, ale przez pierwsze dziesięć lat mojej emigracji [autor wyjechał na Zachód pod koniec lat siedemdziesiątych] nigdy nawet nie słyszałem o Fluxusie i Jurgisie Mačiūnasie. Nie jest to może zaskakujące. Nie mieszkałem – i nie chciałem mieszkać – w Nowym Jorku, nie miałem kontaktu z jego lewicową bohemą, a tym samym ze środowiskiem Fluxusu i jego publicznością, której, nawiasem mówiąc, nie brakowało naiwnych prokomunistycznych ciągót.

Jak prawie każdy, kto opuścił ZSRR, miałem zdecydowanie negatywny pogląd na komunizm, a także trockizm, anarchizm i podobne ideologie. Usłyszałem, że chce się ze mną spotkać Almus Šalčius, ale moi znajomi mnie od tego odwiedli.

Šalčius (zmarły w 2000 roku) był bliskim przyjacielem Mačiūnasa i prowadził z nim galerię sztuki w Nowym Jorku, z której wyrósł ruch Fluxus. Początkowo była ona czysto litewskim pomysłem, organizowała wystawy litewskich emigrantów, a także koncerty i wieczory poetyckie. W odróżnieniu od innych emigrantów Šalčius nie stronił od kontaktów z ówczesną oficjalną Litwą, na przykład z tak zwanymi postępowcami. Nie interesował mnie więc zbytnio.

Dopiero znacznie później, gdy Litwa stawała się coraz bardziej wolna, a stosunki z przyjaciółmi, którzy pozostali w kraju, bardziej ożywione, usłyszałem od Pranasa Morkusa [scenarzysty i eseisty]: „Co? Nic nie wiesz o Jurgisie Mačiūnasie? Przecież w kulturze on jest najbardziej znanym Litwinem w Ameryce i na świecie!”.

Mačiūnas wtedy już dawno nie żył – zmarł w drugim roku mojej emigracji – ale zacząłem szukać informacji o nim. Jurgis był kowieńskim chłopcem z ulicy Parodos, raczej słabego zdrowia, który przybył do USA z rodzicami w 1948 roku, miał wtedy 16 lat. Jego matka, baletnica z Kowna, miała kontakty z rosyjską emigracją, była nawet maszynistką byłego szefa Rządu Tymczasowego Aleksandra Kierenskiego, pracowała też w Muzeum Roericha [w Nowym Jorku].

O Nikołaju Roerichu można by opowiadać długo. Malował dość spektakularne himalajskie krajobrazy, ale przede wszystkim zajmował się budowaniem własnego wizerunku, glo-



• Instalacja Jurgisa Mačiūnasa w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku FOT. PATTI MCCONVILLE / ALAMY STOCK PHOTO

sząc ezoteryczne, na wpół buddyjskie nauczanie, które znalazło (i nadal ma) zwolenników w różnych krajach, także na Litwie.

Młody Jurgis studiował architekturę i muzykologię, był dobrze zorientowany w sztuce klasycznej – którą, nawiasem mówiąc, uwielbiał. Po dołączeniu do galerii założonej przez Šalčiusa wypłynął na międzynarodowe wody i zaczął promować awangardę. W ten sposób narodził się Fluxus (co po łacinie znaczy „przepływ”, „upływ”), gdzieś w latach 1962-66, kiedy Mačiūnas był przed trzydziestką.

Fluxus był nie tyle ruchem artystycznym, ile sferą gier, „sztuczności życia”, codziennych żartów. Grupa Fluxus nieustannie się zmieniała, dołączali do niej, a potem odchodzili znani awangardiści, wywołując skandale, urządzając absurdalne prowokacje, próbując przyciągnąć uwagę publiczności, zwalich ją z nóg, zszokować na wszelkie możliwe sposoby.

Proponowali – ale nie zawsze realizowali – takie pomysły, jak blokowanie przejść ulicznych i linii metra swoimi plakatami, ogłaszanie fałszywych dat wystaw czy koncertów, zapraszanie publiczności na salę, a następnie opuszczanie jej – kompletna cisza i pustka, a zarazem wydarzenie artystyczne.

Nie miało to nic wspólnego z litewską diasporą – Mačiūnas był czasem uważany za Bulgara. Fluxiści odnosili się do swoich poprzedników dade-

istów, grupy, do której należeli między innymi poeci Louis Aragon i Paul Éluard. Inne pokrewne ruchy obejmują futurystów, wczesnych surrealistów, członków rosyjskiego ruchu awangardowego Oberiu – Daniila Charmsa i Aleksandra Wwiedienskiego, a także Alfreda Jarry'ego, który już w roku 1896 zapoczątkował performance.

Fluxus nie stworzył niczego trwałego. Nie chodziło o produkt, ale o proces; działania członków ruchu były skierowane przeciwko elitom akademickim, sztuce komercyjnej i wszelkiemu profesjonalizmowi. Na swoich festiwalach na całym świecie fluxiści jako jedni z pierwszych promowali innowacyjne gatunki: happening, performance, „akcję”. Pojawiały się tam także przedmioty wykonane z odpadów, pudełka niespodzianki, diagramy i inne dziwactwa mające zdumiewać lub oburzać (Mačiūnas miał kolekcję odchodów i narzekał, że trudno zdobyć odchody émy lub mrówki).

Podobnie jak w przypadku futurystów czy surrealistów, rytuały Fluxusu były zdominowane przez starożytnego ducha karnawału (któremu, nawiasem mówiąc, czasami pomagała litewskość).

Rozróżnienie między sztuką a niesztuką zostało zatarte – granice sztuki zostały „przetestowane” (Mačiūnas napisał utwór na fortepian, gdzie klawisze są przybite do instrumentu, dzięki czemu muzyka jest zawsze ciszą). Co więcej, sztuka stawała się nierozzerwalnie związana z co-

dziennym życiem artystów i ich publiczności.

Czy nam się to podoba, czy nie, było to odzwierciedlenie komunistycznego hasła: „Sztuka należy do ludu”. Nic dziwnego, że radykalowie tej tendencji – na przykład Aragon i Éluard – zostali członkami partii (choć czasami nie do końca lojalnymi). Nie stali się fluxistami. Nie mogli nimi zostać, bo okres stalinowski, a do pewnego stopnia także poststalinowski, zaczął sprzyjać konserwatywnemu akademizmowi, który był wrogi wszelkim eksperymentom.

A jednak rzadko miałem tak komiczne doświadczenie, jak nie tak dawno temu, kiedy czytałem listy Jurgisa Mačiūnasa do Vytautasa Landsbergisa, towarzysza z lat dzieciństwa w Kownie. W listach tych Mačiūnas szalał na punkcie nacjonalizmu i z sympatią wypowiadał się o komunizmie, szczerze wierząc, że takie poglądy są bliskie adresatowi jego słów.

Mačiūnas był uważany nie tyle za artystę, ile za organizatora, impresaria, lidera utopijnej społeczności. Nowy Jork znalazł go przede wszystkim jako założyciela spółdzielni artystów. Na południowym Manhattanie założył co najmniej 30 takich spółdzielni (Jonas Mekas, o którym za chwilę, mieszkał tam przez długi czas i miał własną filmotekę).

Również w tym przypadku jego awanturniczy charakter był oczywiście: prace budowlane łamały wszyst-

kie ówczesne prawa i zasady. Mačiūnas popadł w kłopoty finansowe, ukrywając się przed inspektorami podatkowymi w specjalnie wykopanych tunelach, przebijając się i nosząc perukę, jak w pewnym spektaklu Fluxusu.

Wszystko skończyło się smutno – w dniu swoich 44. urodzin Jurgis został brutalnie pobity przez dwóch elektryków, którzy stracili swoje pieniądze; jeden z nich ugodził go nożem w oko. Almus Šalčius znalazł go w szpitalu pokrytego krwią; Mačiūnas natychmiast go zapytał: „Masz aparat? Rób zdjęcia, nagrywaj film!”.

Wkrótce zdiagnozowano u niego raka pęcherzyka żółciowego i wątroby. Zmarł w cierpieniach, nie pozostawiając żadnego majątku, jedynie kolekcję Fluxusu, którą trudno nazwać artystyczną. Gmina Wilno zapłaciła za nią 5 mln dolarów. Słyszałem, jak ktoś sugerował, że suma ta powinna zostać rozdana w postaci fikcyjnych pieniędzy z gry „Monopol”, co byłoby aktem doskonałego fluxusowskim.

Zawsze patrzyłem na Fluxus cum grano salis, z dystansem; sam ten ruch mnie do tego skłaniał. Sztuka to nie tylko zabawa

**Na Sądzie
Ostatecznym Litwini
powiedzą z dumą:
„Przetrwaliśmy
w niebezpiecznym
świecie”. A Bóg
im odpowie: „I co
z tego? Sumerowie nie
przetrwali, ale zrobili
tak wiele, że żyją
do dziś”**

i szokowanie, ale także wiedza, katharsis itd. Przez wieki istniała tu pewna równowaga. Powiedzmy, że istniała literatura poważna – Proust, Rilke, Tomasz Mann, Faulkner, Achmatowa, Mandelsztam, Kafka, Beckett, Joyce (u tego ostatniego jest sporo pierwiastka „fluxusowego”, ale przede wszystkim jest on profesjonalistą). A obok, jak musztarda do jedzenia, byli Jarry, dadaści, futuryści, „oberiuci”, którzy powtarzali radykalne gesty, często twierdząc, że tylko w nich tkwią autentyzm, głębia, przyszłość itd.

Dopóki sztuka rozwijała się wraz z radykalnymi gestami, wszystko to wydawało się nieszkodliwe, zabawne, a nawet użyteczne. Ale dziś awangarda zdaje się wygrywać, zwłaszcza w sztuce, gdzie malarstwo i rzeźba zostały wyparte – lub prawie wyparte – przez instalacje, „akcje” i podobne gatunki. Trudno się żywić samą musztardą. Teraz pozostały tylko talerze, a obok nich głównie komercyjne słodycze.

Cokolwiek by powiedzieć, żal mi klasycznej sztuki, którą zastępują dziwaczne pomysły i żarty (nie zawsze dowcipne). Z drugiej strony sztuka klasyczna stała się bardziej dostępna niż kiedykolwiek

wiek dzięki sieci muzeów, reprodukcji, koncertów, nagrań, książek i dzięki całemu oceanowi internetu.

Chociaż nigdy nie spotkałem Mačiūnasa, znałem dość dobrze jego przyjaciela i współpracownika Jonasa Mekasa, równie znanego nowojorskiego awangardzistę. Słyszałem o nim na Litwie, a w roku 1971 widziałem go w Wilnie – choć tylko z daleka. Chodził wtedy po ulicach miasta, filmując rosyjskie ślady (widoczne bardziej niż zwykle, bo w Wilnie kręcono jakiś radziecki film, w którym stolica Litwy odgrywała rosyjską prowincję). Później przemawiał publicznie i nawet zalał się łzami ze wzruszenia.

Jak cała amerykańska lewicowa bohema, nie wstydził się swoich związków z ZSRR. Przedstawił ważnego dziennikarza „Prawdy” Jurija Żukowa Allenowi Ginsbergowi i jemu podobnym (spotkanie okazało się nie do końca udane, nie znaleziono prawdziwej wspólnej płaszczyzny, na co liczyła „Prawda”), a dzięki protekcji Żukowa uzyskał pozwolenie na odwiedzenie nie tylko Wilna, ale także swojej rodzinnej miejscowości Semeniskės.

Tomik wierszy Mekasa, „Semeniskių idilės”, dość tradycyjna książka wydana w 1948 roku, kiedy nikomu nie śniło się o Fluxusie, trafił w moje ręce, podobnie jak inne zakazane książki emigrantów. Bardzo mi się podobał, uznałem go za jedną z najlepszych litewskich książek poetyckich i nadal tak uważam. Późniejsze zbiory, niestety, nie robiły już takiego wrażenia.

W pierwszych latach mojej emigracji pokłóciłem się trochę z Mekasem – a raczej on pokłócił się ze mną. Wspomniałem w prasie o mojej rozmowie z litewskim pisarzem (był to Pranas Morkus, nie ujawniłem jego nazwiska).

Rozmawialiśmy o Sądzie Ostatecznym, na którym sądzeni będą nie tylko ludzie, ale także narody i ich kultury. Litwini powiedzą podczas procesu: „Przetrwaliśmy” – ich głównym zmartwieniem było zachowanie tożsamości w niebezpiecznym świecie Europy Wschodniej. Bóg może na to odpowiedzieć: „I co z tego? Sumerowie nie przetrwali, ale zrobili tak wiele, że żyją do dziś”.

Taka postawa rozwścieczyła Mekasa, który również w prasie odpowiedział. Napisał, że żądanie „zrobienia czegoś” przypominało mu przodownika pracy Stachanowa:

„Pracował tak ciężko, tak pilnie przez całe życie, że nawet teraz, gdy nie żyje, wciąż mierzy się wszystko tym, ile zrobił. Karą dla niego jest to, że nigdy nie pozna prawdziwej wartości życia, w którym małe codzienne radości i uczynki, niezauważane przez nikogo, łączą wszystkich z pokolenia na pokolenie... Och, byli cholernie mądrzy i pracowici ci Sumerowie! A w oczach Boga to wszystko nic”.

Mamy tu do czynienia z ideą „fluxiańską”: liczy się proces, a nie produkt, wolna anarchiczna egzystencja, a nie stopniowo rosnąca, pogłębiająca się kultura, która opiera się chaosowi.

Nie zgadzam się ani nie będę się zgadzał z takim podejściem



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

ks. Alfred Marek Wierzbicki*

Łodziolampa

Pamięci
Piotra Nowiny-Konopki

*Późno poznaliśmy się Piotrze
ale wystarczyło czasu na przyjaźń
na opowieści przy stole z sycylijskiej ceramiki
na podróże do miejsc gdzie żyli święci
czuliśmy się jak rozbitkowie z okrętów po katastrofie
wpatrzni wsłuchani w papieża Franciszka
robiło nam się ponuro gdy gasła jego latarnia
baliśmy się że świat przestanie odróżniać
cierpienie Ukraińców i cierpienie Rosjan*

*Umarłeś szybko po śmierci papieża
u którego byłeś ambasadorem
przebywajcie w jasności i pokoju
płyńcie zabawnymi łódkami między tu i tam
gdziekolwiek to jest*

*Skąd ten pomysł aby rzeźbić łodzie
z oliwkowego drewna i stroić je w żagle
z żarówką w środku
posługiwania się narzędziami nauczył cię ojciec
waszą liczną gromadkę obdarzał miniaturowymi
statkami które przywoził znad morza
aż do dnia kiedy wykoleił się pociąg a on zginął
czy po sukcesach i porażkach
po dziejowych przemianach w których miałeś udział
chciałeś dotrzeć do źródła które wraca
i obiecuje przygodę spotkanie i szczęście*

*Gościliście mnie w Amelii założonej przez Etrusków
pokazałeś mi chlubę małego muzeum
posąg Germanika wyorany w polu
żołnierze obwołali go cesarzem
ale on pozostał lojalny wobec brata Tyberiusza
ten nie miał skrupułów aby go zgładzić
poruszała nas dawna szlachetność
obrzydzenie budziły dawne zbrodnie
ani wygrany ani przegrany
nie wiedziałem co dalej robić
i wtedy dałeś mi łódkę
nie od razu dostrzegłem jaki ma ładunek
nie od razu wiedziałem z jakimi będzie mierzyć się wiatrami
nie od razu zrozumiałem że nie trzeba dużo światła
aby wypływać z twarzą pogodną wyzwoloną z bólu*

***ks. Alfred Marek Wierzbicki** - ur. w 1957 r., teolog i etyk, profesor nauk humanistycznych. Pracuje na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Pogrzeb Piotra Nowiny-Konopki rozpocznie się mszą św. w Kaplicy Matki Bożej Anielskiej na terenie Zakładu dla Niewidomych w podwarszawskich Laskach w piątek 25 lipca 2025 roku o godz. 14.00. Następnie urna z Prochami Zmarłego zostanie pochowana na miejscowym cmentarzu.

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



Fluxusu. Dobrze jednak, że Sumerowie wynaleźli pismo, zostawili po sobie „Gilgamesza” czy płaskorzeźby i położyli podwaliny pod to, czym żyjemy dzisiaj. Dobrze, że są nie tylko filmy Mekasa, w których rządzą przypadek i improwizacja, ale też Chaplina, Hitchcocka, Felliniego, Bergmana, Spielberga, którzy wymagali od siebie i innych ogromnej pracowitości.

Cóż, jestem kulturoznawcą, a nie kontrkulturoznawcą. Kultura jest dla mnie całym organizmem, rośliną wydającą trwałe owoce, a nie tylko serią „małych

codziennych radości” – choć i one mają w niej swoje miejsce.

Pomimo tej różnicy zdań Mekas i ja w końcu zaczęliśmy komunikować się w przyjazny sposób, choć rzadko. Sfilmował nawet moją ceremonię ślubną, jakby przyjmując mnie do utopijnego społeczeństwa Fluxusu. Wypiłem więcej niż jedną butelkę wina na jego „poddaszu”, strychu pełnym filmów, książek, czasopism, maszyn, przedmiotów o niezrozumiałym przeznaczeniu. „Niczego nie kolekcjonuję, po prostu ni-

czego nie wyrzucam” – powiedział Mekas mojej żonie.

Nie widziałem filmów w jego słynnej instytucji Anthology Film Archives, ale mój syn Andrius, awangardzista z Petersburga, był tam i pokazywał swoje eksperymentalne filmy. Fluxusowy duch Mekasa był bliski jego sercu, podobnie jak wielu innych młodych ludzi, w tym Litwinów, którzy szukali efemerycznej, marginalnej, ale wyrazistej pozycji w Nowym Jorku.

Mekas zdobył taką pozycję, co nie jest łatwe w „stolicy świata”: pomógł wizerunek dziecka na-

tury, reputacja naiwnego, ale szczerego buntownika, która przyciągnęła Allena Ginsberga, Susan Sontag i Andy’ego Warhola. Na swój sposób próbował powielić mit „szlachetnego barbarzyńcy” sięgający co najmniej Woltera i Rousseau – nie bez powodzenia.

●
Pogrzeb Jurgisa Mačiūna-sa był jedyną „fluxusową” akcją, w jakiej miałem okazję uczestniczyć. Wyglądało to tak: Mačiūnas chciał, żeby po jego śmierci skremowano jego ciało i wrzucono prochy do wody. Niedaleko tego miejsca pochówku – zatoki Long Island Sound – znajduje się New Haven, gdzie mieszkalem. Pranas Morkus wpadł na pomysł, że kilka atomów (lub cząsteczek) szczątków Mačiūnasa mogłoby trafić do tej zatoki, a potem mogłyby one drogą wodną wrócić do Wilna.

Miałem przyjaciela, fizyka pracującego w Yale, który podobnie jak ja był emigran-tem – fajnego Ormianina, Alio-sa Czikaniana (który, niestety, zmarł tak jak Mačiūnas, kilka lat później). Obliczył, że zgodnie z prawem Avogadra w butelce wody z zatoki musi być nie tylko kilka, ale niesamowita liczba cząsteczek, kilka milionów lub więcej, pochodzących z ciała Mačiūnasa. Napelnilem więc butelkę, zakorkowałem ją i jeździłem po Ameryce i Europie przez mniej więcej miesiąc, aż dotarłem na Litwę.

Było już ciemno. Siedzieliśmy w wileńskiej kawiarni z Vytautasem Landsbergisem i artystą Wołodią Tarasowem. Rytuał odbył się o 11 wieczorem 5 lipca 1997 roku. Nie brałem w nim udziału jako pomysłodawca czy wykonawca, a jedynie jako inscenizator. Jednak zgodnie z filozofią Fluxusu to w zupełności wystarczy. ●
przeł. darp



FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI /
AGENCJA WYBORCZA.PL

*Tomas Venclova

●
ur. w 1937 r., litewski poeta, eseista, tłumacz. W czasach ZSRR dysydent, obrońca praw człowieka. Od końca lat 70. na emigracji w USA, w 2019 r. wrócił do Wilna. Po polsku ukazały się m.in. jego poezje „Rozmowa w ziemie” czy „Wilno. Przewodnik biograficzny”. Ostatnio wyszła jego książka „Litwa, ojczyzna moja”, dzieje kraju od prehistorii do odzyskania niepodległości w 1990 r.

Tekst, który publikujemy (tytuł autorski: „Fluxus”), pochodzi z jego „Abecadła”. Ukazał się w kwietniu 2025 r. na stronie litewskiego pisma „Naujasis Židiny’s” (nzhidiny’s.lt).

Polska 2025 O nadziei i jej grabarzach

Nie wybiją nam z głów wolności

Mamy potężne moce, by skutecznie walczyć o demokrację, poukładać ją lepiej. Nawet jeśli będzie to bój długi i uciążliwy.

Marek Beylin

Nie czujcie się tylko ofiarami dziejów, bo wiele klęsk zawdzięczacie sami sobie. Co przyswoicie łatwiej, jeśli zauważycie również wasze imponujące sukcesy. To trzeźwe przesłanie towarzyszy ciekawej historii Polski napisanej przez Pierre’a Buhlera, francuskiego dyplomata, historyka i politologa.

Buhler wiele lat spędził w Polsce, także jako ambasador, obserwował nasze aspiracje i sukcesy oraz kryzysy, w tym rządy PiS-u. Jego książka „Pologne, histoire d’une ambition. Comprendre le moment polonais” („Polska, historia ambicji. Zrozumieć polski moment”, 2025) potwierdza regułę, że aby lepiej zrozumieć rzeczywistość, trzeba stanąć z boku.

Co zresztą polecam sobie i nam wszystkim w tym trudnym i rozbójconym czasie. Zdystansujmy się od bieżących wydarzeń, by lepiej pojąć, co nam się wydarzyło wraz ze zwycięstwem Karola Nawrockiego oraz dlatego tak się stało. I z tym nabytym rozumieniem wdajmy się znowu w nasze batalie. Bo Polska nie jest stracona. Mamy potężne moce, by skutecznie walczyć o demokrację, poukładać ją lepiej, nawet jeśli będzie to bój długi i uciążliwy.

Tą potężną siłą jesteśmy my sami, ta wielka część społeczeństwa, która dawno temu obudziła się do lepszego, demokratycznego życia. A społeczeństwo raz obudzone do dobrych wartości, choć po porażkach może przygasnąć, nigdy nie daje się bezpowrotnie uspić. O tym przekonuje też lektura książki Buhlera.

●
Na tym polega właśnie ów „polski moment”, rozłożony w czasie, ujawniający się, gdy nasze prawa i wolności są zagrożone. Było tak wiele razy, bo społeczeństwo obywatelskie nie powstało dziś. Dochodziło do głosu w insurekcjach, najbardziej wyraziście w 1905 roku, kształtowało się w międzywojniu, a potem w PRL-u, w Październiku ’56, podczas studenckiej rewolty w 1968, no i – co wyraziście wpłynęło na naszą współczesność – za sprawą opozycji demokratycznej, począwszy od lat siedemdziesiątych.

Jak zauważa Buhler, Komitet Obrony Robotników, w tym jego liderzy Jacek Kuroń i Adam Michnik, wzbudził i utrzymał ferment obywatelski, który wielce przyczynił się do powstania „Solidarności”. A później do przełomu w roku 1989. Stało się tak nie tylko za sprawą aktywizmu, materialnej pomocy robotnikom i w ogóle osobom prześladowanym, wydawania w podziemiu książek i pism, akcji ulotkowych. Równie ważna była praca ideowa – skupianie wokół opozycji środowisk o różnych światopoglądach i wrażli-

wościach, które podzielały wiarę w wartość praw obywatelskich.

Udało się wtedy opozycyjnym demokratom połączyć światy świeckie i katolickie, osoby bardziej konserwatywne i lewicowe, młodsze i starsze, o różnym statusie społecznym. Oraz te gotowe na ryzyko z tymi, które do tego się nie paliły. Wokół KOR-u utworzył się różnorodny świat obywatelski, „Solidarność” w pigułce.

Poczesną rolę w tym fermentcie – wywodzi Buhler – odegrał niezależny obieg idei wytwarzanych w Polsce, ale też pochodzących z Zachodu i z kręgów dysydenckich Europy Wschodniej. Co potwierdzało tezę, że choć reżim komunistyczny skonfiskował Europę w Polsce, to Polki i Polacy nigdy nie dali się z niej wygnać. Przypominę, że społeczeństwo obywatelskie musi – jeśli ma zachować sprawczość – stawiać i na działania, i na stałą weryfikację własnego myślenia, na odnowę idei.

Przykładem jest dla Buhlera książka Michnika „Kościół, lewica, dialog” (1977). Nie tylko proponowała sojusz kręgów demokratyczno-lewicowych ze środowiskami katolickimi budowany wokół praw człowieka, lecz także uświadamiała laickiej inteligencji, że prawo do nieskrępowanego wyznawania własnej wiary jest prawem podstawowym.

Bez podobnych rewizji myślenia własnego i swojego otoczenia ruchy obywatelskie i ich gniew są skazane na uwiąd.

●
Oczywiście, przeciw społeczeństwu obywatelskiemu występują potężne siły. Wyrastające ze współczesności, ze światowych trendów i takie, które dziedziczymy z przeszłości. Te współczesne dobrze widzimy. To przede wszystkim ofensywa narodowych populizmów powiązana z propagowaniem myślenia spiskowego, które znajduje chętnych odbiorców zwłaszcza w świecie zanurzającym się w chaosie.

W Polsce myślenie spiskowe, przez lata rozbudzane przez PiS, trzyma się mocno. Spiskują przeciw Polsce Niemcy, Europa, rzecznicy praw mniejszości, feministki, środowiska LGBT+, zwolennicy szczepionek, sprzymierzeńcy uchodźców, Ukraińcy. A od niedawna znów Żydzi, co pokazuje, że historyczne uprzedzenia, tutaj endecckie, nigdy nie wygasają. Czeka ją tylko w uśpieniu na dogodną koniunkturę.

Jak konstatuje Buhler, jednym z trwałych budulców polskiej tożsamości jest przekonanie, że jesteśmy jako Polacy jedyni tacy w historii i osobni od reszty świata. Ta megalomańska mitologia zrodziła się jeszcze w dawnej Polsce, gdy szlachta apologetyzowała tak zwaną demokrację szlachecką i wolność tej warstwy. Umocnił ten mit jedyności mesjański romantyzm, który klęski i rzezie przekuwał w wiarę w nieśmiertelną chwałę narodu.

Tyle że jedynność i osobność, gdy stają się współczesnym pro-

gramem, czego doznawaliśmy za rządów PiS-u, oznaczają pochwałę ignorancji i dążność do odgradzania się od świata zewnętrznego. Wtedy nowe idee oraz ich wolny obieg stają się wrogami polskiej tożsamości i „jedyne-go” polskiego losu. Co nie tylko uprzywilejowuje nacjonalizm, postawę przymocowaną w mitycznej przeszłości, ale też tworzy podatny grunt dla myślenia spiskowego. Dybią na nas wszędzie wokół – to motor takich rozpoznań. Podsy-canych dodatkowo przez dezinformację i działalność platform internetowych, które skupiają ludzi wokół skrajnych emocji i przeświadczeń, zamykając ich w twierdzach uprzedzeń.

●
Polska przeszłość niesie więcej takich ciężarów, dzisiaj wciąż obecnych. Na początku XIV wieku Władysław Łokietek odebrał wiele praw mieszczaństwu i miastom,

■
Spoczenieństwo raz obudzone do dobrych wartości po porażkach może przygasnąć. Ale nigdy nie daje się bezpowrotnie uspić

by oprzeć swą władzę na drobnej szlachcie. Co ułatwiło powstanie owej nieszcześniejszej „demokracji szlacheckiej” pyszniącej się swym istnieniem i zarazem nierządnej. Bo – jak trafnie notuje Buhler – ta nasza niby chluba oznaczała w rzeczywistości oligarchiczne rządy magnaterii, również nad zwykłą szlachtą sprowadzoną do roli usługowej klienteli.

Warto się więc zastanowić, w jakiej mierze owa kultura polityczna, zgodnie z którą interes magnackiej familii (dziś powiedzielibyśmy: grupy interesów) przeważał często nad dobrem państwa i społeczeństwa, kształtuje polityczną współczesność. My jesteśmy państwem i solą tej ziemi – to przeświadczenie wciąż dochodzi do głosu w rozmaitych partiach, najdobitniej w PiS-ie. Brzmi ono mocno również w Kościele. Da się też zauważyć ślady owej magnackiej kultury w organizacji życia partyjnego: jest szef magnat, jest dwór i są liczni klienci.

Za jeden z fundamentów polskiej tożsamości Buhler uważa katolicyzm. Tym samym konstruuje przeświadczenie, jakie żywi część Polek i Polaków, że polskie społeczeństwo może się szybko zeświecczyć. Kościół pozostaje potęgą, niegdyś na dobre i złe, dziś w dużej mierze na złe: jest jedną z sił nader często edukujących wiernych do nacjonalizmu i antydemokratycznej formy polskości. Odebranie mu tej skuteczności i wpływu na politykę będzie możliwe i potrwa długo.

Nielatwo też przyjdzie całkowite porzucenie tożsamościowej formuły Polaka katolika z odchyłem nacjonalistycznym, antysemitckim i patriarchalnym. Nie tylko dlatego, że obecna ofensywa ultraprawy w Polsce i na Zachodzie sprzyja ożywieniu takich tożsamości – one są i tak głęboko zakorzenione w naszej historii, więc i w naszych mentalnościach.

Stąd ożywienie antysemityzmu czy raczej ośmielenie go do jawnych manifestacji. Stąd rozkwit postaw antyukraińskich mających w Polsce długą historię. Już pod zaborami polscy nacjona-liści i konserwatyści sprzeciwiali się przyznaniu jakichkolwiek praw ukraińskiej mniejszości. Stąd też dziedziczona „stała nacjonalistyczna” w naszym życiu publicznym; w ostatnich latach, głównie za rządów PiS-u, uległa wzmoczeniu. Na tej nucie gra również część polityków demokratycznej koalicji.

●
Mimo tych przeciwności ów „polski moment” zachowuje sprawczość. Nie da się wybić nam z głów demokracji, choć jej przeciwnicy rosną w siłę. Przerażają nas antysemityzm i sprawność jego głównego rzecznika Grzegorza Brauna, ale w sprawie stosunków polsko-żydowskich dokonał się wielki zwrot. Głównie za sprawą licznych badaczek i badaczy ukazujących polskie antysemitckie postawy i współudział niemałej części społeczeństwa w Zagładzie. To zostanie dłużej i odcisnie się na nas mocniej niż działalność Brauna.

Boli nas rozkwit nastrojów antyukraińskich i w ogóle anty-uchodźczej ksenofobii, za co odpowiedzialność ponoszą głównie PiS i Konfederacja, choć część winy spada na obóz demokratyczny. Ale i tak w dużej mierze dzięki migracjom stajemy się coraz bardziej różnorodni. Już jesteśmy zbiorowością pluralizmu historii oraz pamięci i coraz bardziej zdajemy sobie z tego sprawę. To procesy nieodwracalne, które zniweczą zamysły rządzenia Polską według ksenofobicznej doktryny.

Boimy się o nasze miejsce w Unii Europejskiej. Bo prezydentura Nawrockiego i możliwe przyszłe rządy PiS-u z Konfederacją mogą nas ponownie zepchnąć na margines Europy. Ale – jak pisze Buhler – po przegnanu PiS-u w Unii dokonał się mentalny zwrot: Zachód na powrót zobaczył w Polsce silnego, atrakcyjnego partnera, na co wpłynęła rzecz jasna wojna Putina z Ukrainą i de facto z Unią. Owszem, grozi nam i Zachodowi, że Polska od tego partnerstwa odejdzie. Ale ma wszelkie możliwości, by do niego wrócić. Staliśmy się jedną z ważnych sił Europy, co Nielatwo wy-mazać ze świadomości polskiej i europejskiej.

Lektura Buhlera przekonuje, że demokratyczna część społeczeństwa ma więcej atutów niż przeciwnicy demokracji. Przed nami namysł, jak te atuty wykorzystać, i ciężka nad tym praca. ●

ALEHISTORIA



Drugi ojciec

KOZIOŁKA MATOŁKA

Podczas I wojny światowej
wybuchł mu w dłoni
ołówek-pułapka, prezent
od Niemca sabotażysty.
Ale rysować nie przestał.

Joanna Banaś

Opowieść Marka Górlikowskiego o Marianie Walentynowiczu (1896-1967), współtwórcy książek o przygodach Koziołka Matołka i malpki Fiki-Miki, zaczyna się od napadu na mieszkanie, w którym wisiały jego prace. A potem napięcie tylko rośnie. Nic dziwnego – niewielu ludzi miało w życiu tyle przygód, wykonywało tyle zawodów i miało tyle talentów co niesłusznie zapomniany Walentynowicz. W jednej osobie rysownik, fotoreporter, podróżnik, uczestnik kilku wojen, korespondent wojenny, karykaturzysta, scenograf, dekorator, nauczyciel, dyrektor baletu, poliglota, grafik reklamowy i radiowiec.

Ramą biografii autor uczynił buszowanie na strychu bratanicy Walentynowicza, wypełnionym pamiątkami po stryju Marianie, w poszukiwaniu zaginionego rękopisu jego książki „Podróż, w której zgubiłem piątek”. Rękopisu wprawdzie się udało się odnaleźć, ale otwieranie kolejnych teczek pozwoliło ukazać etapy życia bohatera „Ilustratora”.

Jednak Górlikowski to nie archiwista, ale świetny narrator. Dlatego jego książka nie jest przeglądem archiwaliów, lecz fascynującym spotkaniem z niebanalnym, ale i nieidealnym człowiekiem. Bo o ile talentu plastycznego Walentynowicza zwanego Marysiem nie sposób kwestionować, to były w jego dorobku rzeczy co najmniej kontrowersyjne. Można za takie uznać antysemickie i rasistowskie rysunki z międzywojnia czy powojenne ilustracje do książek Wandy Wasilewskiej i innych komunistycznych propagandzistów. Jego niektóre artystyczne i biznesowe wybory, trudne dziś do obrony, wynikały po części z ducha czasów, a po części pewnie z oportunizmu.

Jak je dziś ocenić? Czy przerysowywanie ilustracji do opowieści o Koziołku Matołku w kolejnych powojennych wydaniach książki wynikało z pragnienia, by odpowiadały rzeczywistości, w jakiej żyją czytelnicy? Czy raczej zmienił je w reakcji na prawdziwe lub domniemane oczekiwania komunistycznych władz? A może chodziło o honorarium za nowe rysunki? W każdym razie w powojennych wydaniach zniknął Żyd, policjant stał się milicjantem, a Koziołek leci nad Warszawą nie na gwieździe sześcioramienniej, jak przed wojną, tylko pięcioramienniej – radzieckiej, i nie nad Starówką, tylko nad Pałacem Kultury i Nauki.

STUDIA KRÓTKIE I BARDZO DŁUGIE

Z ołówkiem było tak: ledwie w 1915 roku syn „dziedzicznego szlachcica rzymskokatolickiej wiary” Marian Walentynowicz ukończył gimnazjum w Sankt Petersburgu i został studentem tamtejszego Uniwersytetu Politechnicznego, już w lutym 1916 roku jako sanitariusz carskiego wojska wyjechał na front. W szpitalu polowym ranny Niemiec w podzięce za papierosa dał Walentynowiczowi ołówek. Rysownik opowiadał potem rodzinie, że pewnego dnia ten ołówek wybuchł mu w dłoni i zdeformował palce lewej ręki – tzw. ołówki zapalające rzeczywiście były używane przez niemieckich dywersantów podczas wielkiej wojny.

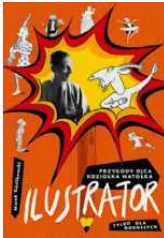
Kolejne studia, w Instytucie Inżynierów Cywilnych w Piotrogradzie, przerwała mu rewolucja

◀ **Marian Walentynowicz (1896-1967), rysownik, fotoreporter, podróżnik, korespondent wojenny, scenograf, radiowiec, a nawet dyrektor baletu**

FOT. ARCHIWUM
RODZINY
WALENTYNOWICZÓW

Marek Górlikowski, wieloletni dziennikarz „Wyborczej”, autor biografii Józefa Rotblata (2018) oraz Hanny i Antoniego Gucwińskich (2021).

Spotkanie z autorem na Plenerze Literackim – 20 lipca o godz. 11 na Bulwarze Nadmorskim w Gdyni



Ilustrator. Przygody ojca Koziołka Matołka (tylko dla dorosłych)

Marek Górlikowski
Wydawnictwo
Znak

lutowa 1917 roku. Znow został wcielony, służył w cesarskich kirasjerach, a potem w I. Korpusie Polskim. W 1918 roku bolszewicy skazali go na śmierć, ale jakoś się wywinął (opowieści rodzinne, jak tego dokonał, są dwie i obie interesujące).

Pod koniec wojny rodzina Walentynowiczów przeniosła się z Piotrogradu do Warszawy, gdzie Marian złożył papiery na politechnikę. Ale wtedy trzeba było rozbrajać Niemców. Wstąpił do ułanów krechowieckich, służył w Brześciu. I znów walczył – tym razem w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku, by jesienią w ułańskim mundurze pomaszerować na uczelnię. Architekturę studiował długo, zajęty wieloma innymi sprawami, głównie przynoszącymi dochód. Obronił się dopiero w marcu 1932 roku projektem lądowiska dla taksówek powietrznych na dachu wieżowca. Jego koledzy uczcili ten fakt transparentem „Walentynowicz skończył”.

Przyjmował zlecenia od brukowców i gazet o różnej proveniencji. Po śmierci ojca w 1927 roku utrzymywał rodzinę z rysowania. Projektował okładki do modnych wówczas zbiorów partytur szlagierów. Zilustrował pierwszy po odzyskaniu niepodległości zbiór „Bajki polskie” (1922), a później także klasyczne baśnie: Grimma, Andersena i z 1001 nocy. Anonimowo, bo był na to paragraf, rysował scenki erotyczne, które prawdopodobnie ukazywały się jako modne wówczas kolekcjonerskie pocztówki. Ilustrował też sprośne utwory literackie, jak „Baśń o trzech braciach i królownie Pizdolonie” Aleksandra Fredry.

W 1932 roku w ekipie dziennikarzy towarzyszył Józefowi Piłsudskiemu w Egipcie i Ziemi Świętej. Obserwował i rysował tubylców bezlitośnie i w sposób haniebny z dzisiejszego punktu widzenia. „Żydówce zwisa ogromny brzuch i jeszcze większy nos, sięgający dolnej grubej wargi; równie wątpliwej urody gruby wyznawca Mahometa groźnie lypie okiem, opierając się o komicznie małą parasolkę. Czytelnik widzi, że to ludzie brzydcy” – opisuje Górlikowski.

Po wojnie Maryś będzie tłumaczył dzieciom: „Rysując człowieka, dobrego, trzeba rysować okrągłą, miękką linią. Złośników liniami twardymi, ostrymi. Kapryśnych – linią kapryśną, a silnych ludzi linią wyraźną, śmiałą, zdecydowaną”.

HASŁO: „KOZIOŁEK”. ODZEW: „MATOLEK”

W 1932 roku, gdy Walt Disney dostał Oscara za Myszkę Miki, Walentynowicz wspólnie z wydawcą Janem Gebethnerem postanowili wydać polską historię obrazkową. Tekst miał napisać Kornel Makuszyński, z którym Walentynowicz już współpracował. Przy winie zastanawiali się, jakie zwierzę uczynić bohaterem. Gdy Walentynowicz rzucił: „koziołek”, Makuszyński odpowiedział: „matolek” i ponoć już po trzech dniach wrócił z gotową rymowaną opowieścią. „120 przygód Koziołka Matołka” miało być prezentem pod choinkę dla polskich dzieci. Książka sprzedawała się błyskawicznie. Druga księga przygód ukazała się już na Wielkanoc, a trzecia na kolejną Gwiazdkę.

Tandem Makuszyński-Walentynowicz stworzył także malpkę Fiki-Miki, której kolejne tomy będą się ukazywać do 1936 roku. Gdyby ktoś



➤ nie rozumiał wymowy tej przedwojennej bajeczki, to Górlikowski cytuje takie jej współczesne interpretacje, że aż kapcie spadają.

STRZELBĄ I APARATEM

Od 1929 roku należał do National Geographic Society. Podróżował luksusowo, szczególnie po zmonetyzowaniu Koziołka Matolka, a na miejscu zatrudniał służbę. Zwierzęta fotografował, rysował i z dumą zabijał. Chwalił się liczbą trofeów, na czele z trzema panterami.

W II notesach zachowały się jego spostrzeżenia z podróży. Tak samo rasistowskie i antysemickie jak jego rysunki. Jedynym krajem, z którego mieszkańców i kultury nie drwił, była Japonia.

W 1936 roku odbył podróż dookoła świata, którą zaczął podczas dziewiczego rejsu „Batorego”. Rok później zafundował sobie kosztowną wyprawę do Afryki Zachodniej. Natomiast w 1938 roku wyjechał do Kanady polować na łosie. Wrócił obładowany skórą i rogami. Ostatnią wielką przedwojenną podróż, zakończoną w lipcu 1939 roku, odbył z Polskim Baletem Reprezentacyjnym, którego był szefem (nie wiadomo z jakiej racji) i scenografem.

Wszędzie robił zdjęcia. Górlikowski chwali go za świetne kadrowanie zdjęć. Te zamieszczone w książce potwierdzają tę tezę, ale jest i wyjątek od reguły: nie wybaczę fotografowi obcięcia stóp i łydek szpalerowi tancerek płynących „Batorym” do Ameryki.

Z AMBICJAMI OFICERSKIMI

Bombardowania Warszawy nie przetrwały oryginalne rysunki do przygód Koziołka Matolka i łowieckie trofea Walentynowicza. On sam we wrześniu 1939 roku przez Rumunię dotarł do Francji, gdzie zgłosił się do formowanych polskich oddziałów jako 40-letni ułan w stopniu wachmistrza. Szybko stworzył swój pierwszy wojenny komiks: „Piecyk i Rzepka, czyli Przygody dwóch ochotników w Koczkodanie” – tak Polacy nazywali obóz wojskowy w Coëtquidan.

“

W II notesach zachowały się jego spostrzeżenia z podróży. Tak samo rasistowskie i antysemickie jak jego rysunki. Jedynym krajem, z którego mieszkańców i kultury nie drwił, była Japonia

Przez ponad trzy lata starał się o awans oficerski, przy czym nie chodziło mu tylko o prestiż: jako podoficer dostawał ledwie 90 franków miesięcznego żołdu, jako oficer otrzymywałby co najmniej 2 tys. Dostawał jednak odmowę za odmową, mimo zaliczania kolejnych szkoleń i entuzjastycznych rekomendacji – zaprzęgnięty z sanacją, padł ofiarą politycznych rozgrywek. Dorabiał, pisząc i rysując o życiu żołnierzy. Po kapitulacji Francji jego jednostka została ewakuowana do Szkocji. Po jakimś czasie dostał pracę w Sztabie Naczelnego Wodza w Londynie. W wolnych chwilach rysował tamtejszych oficerów. Jego dowódca zgodził się na zorganizowanie ich wystawy, ale ujrzawszy swoją karykaturę, od razu ją kupił i zabrał. Podobnie inni oficerowie. Który nie zdążył się wykupić, zawisł w holu dowództwa.

Biada temu, kto naraził się ostremu ołówkowi Walentynowicza. Oficer, który ścigał go za to, że w siedzibie Naczelnego Wodza chodził w mundurze polowym zamiast wyjściowego, został przez rysownika ukazany jako gołas na palmie polujący na żołnierza w battledressie.

W 1941 roku Walentynowicz zaprojektował graficzny symbol cichociemnych – orła spadającego na wroga. Znak zatwierdził Naczelny Wódz, gen. Władysław Sikorski dla nowego rodzaju wojsk polskich.

W czerwcu Maryś popłynął do Kanady werбовать polskich żołnierzy. Misja zakończyła się kląpą,



ale w jej trakcie dowiedział się, że po 12 odmowach awansu został wreszcie podporucznikiem. Od razu wyprowadził się z koszar i zamieszkał w hotelu w Windsorze, gdzie organizował huczne imprezy. Od 1941 do 1944 roku rysował komiks z Walentym Pompką w roli głównej, cwaniakiem z Powiśla, który walczy na Zachodzie. Formalnie urlopowany bez uposażenia, w czerwcu 1943 roku został polskim korespondentem wojennym z legitymacją numer jeden. Przeszedł cały szlak bojowy u boku gen. Stanisława Maczka. „Walentynowicz uganiał się po pierwszej linii i na przedpolu, wspaniale strzelając ze swego aparatu fotograficznego i doskonale łapiąc piórkiem co ciekawsze sytuacje” – relacjonował płk Władysław Dec.

POWRÓT DO INNEJ POLSKI

W lipcu 1947 roku Walentynowicz wrócił z Zachodu do Polski. W kronice filmowej pokazali nawet, jak na skrzyżowaniu rysuje słynną milicjantkę Lodzię. Inaczej niż jego koledzy maczkowcy Walentynowicz nie był represjonowany. Nie ma jego teczek w IPN. Został nawet kierownikiem graficznym w wydawnictwie Ministerstwa Obrony Narodowej, choć nie na długo. We wrześniu 1947 roku fotografował Józefa Cyrankiewicza, Władysława Gomułkę i Hilarego Minca na III Zjeździe Przemysłowym Ziem Odzyskanych. Rok później pojechał do Wrocławia na Wystawę Ziem Odzyskanych. Na dzień dobry w Polsce Ludowej stworzył bohatera wojennego komiksu zgodnego z duchem czasów: warszawiaka Felka Tarapatę, który walczy na szlaku od Lenino do Berlina. Natomiast na Gwiazdkę 1947 roku dzieci dostały powojenne wydanie „120 przygód Koziołka Matołka”. Kariera dzieła Walentynowicza i Makuszyńskiego w stalinowskiej Polsce nie potrwa długo. Ponieważ Makuszyńskiego władza ludowa uznała za „drobnomieszczański złóg poprzedniej epoki”, jego książki podlegały „niezwłocznemu wycofaniu”, w 1952 roku także Koziołek Matołek i małpka Fiki-Miki zniknęły z księgarni, szkół i bibliotek. Wróciły dopiero po odwilży, oczywiście z nowymi rysunkami.

JA OPOWIEM, A TY NARYSUJ

Od 1948 roku przez niemal 20 lat w radiu opowiadał dzieciom o świecie, który widział podczas licznych podróży. Zachęcał: „Rysujcie to, co w czasie mego opowiadania stanie wam najwyraźniej przed oczyma, co was najbardziej do rysowania zachęci. Odważnie i kolorowo”. Po każdej audycji przychodziło do niego kilkaset dziecięcych rysunków, niektóre omawiał na antenie. W 1963 roku Walentynowicz pochwalił akwarele Andrzejką Mleczki z Kolbuszowej. Jego ulubieńcem w latach 60. był jednak Adaś Myjak z Sandomierza. „Adaś interesuje się także rzeźbą i rzeźbi w kredzie szkolnej. Zaproponuję ci, Adasiu, wypróbowanie jeszcze jednego pseudomateriału, a mianowicie mydła” – mówił w radiu Walentynowicz. Kilkadziesiąt lat później Adam Myjak (1947-2025), wybitny rzeźbiarz, przez trzy kadencje będzie rektorem warszawskiej ASP. 12 czerwca 1967 roku, w ostatniej przed śmiercią audycji dla dzieci, radził: „Idealem jest malowanie w czasie marszu, bez potrzeby zatrzymywania się, co z własnej praktyki wiem, jest zupełnie możliwe”.

AUTOR ANONIMOWY

Wiele zdjęć wykonanych przez Walentynowicza podczas wojny publikowanych jest współcześnie bez podpisu autora. „Najbardziej znane i najczęściej kopiowane jest zdjęcie generała Stanisława Maczka jadącego w czołgu, w charakterystycznym berecie i ochronnych goglach, z ręką opartą na pokrywie” – pisze Górlikowski, który sprawdził, że owo zdjęcie ukazało się w fotoreportażu z Normandii dla „Polski Walczącej” 26 sierpnia 1944 roku. Wśród historycznych instytucji, które publikują zdjęcia Walentynowicza bez jego nazwiska, Górlikowski wymienia: Muzeum Historii Polski, Centralne Archiwum Wojskowe, Instytut Pamięci Narodowej. Na przedniej wyklejce „Ilustratora” przedstawił swój projekt muzeum Walentynowicza, łącznie z chambre séparée przeznaczoną tylko dla dorosłych, w których wyeksponowane byłyby rysunki erotyczno-pornograficzne. Pozostaje mi zaklaskać z entuzjazmem i może tylko dodać to, czego ze skromności Górlikowski nie napisał: w tym muzeum koniecznie trzeba wykorzystać jego talent opowiadacza. ●

MARZENIE REDAKTORA

Po prawie 60 latach ukazał się litewski numer „Kultury”. Imponujący.

Waldemar Kumór

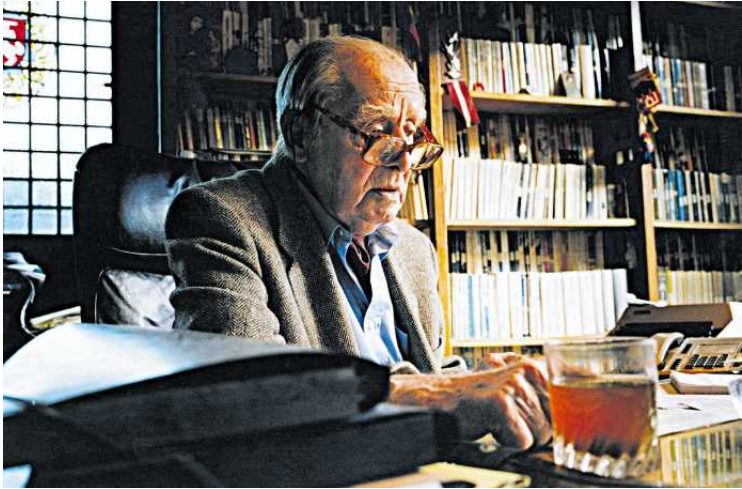
Redaktor planował ten numer jeszcze w 1966 roku, ale albo pojawiały się jakieś przeciwności finansowe, albo pilniejsze projekty do zrobienia. Galopująca Historia też robiła swoje. Giedroyc nie rezygnował jednak, kilkadziesiąt lat prowadził w tej sprawie korespondencję z Czesławem Miłoszem i Tomaszem Venclovą – bez ich tekstów o Litwie, o Wilnie nie wyobrażał sobie takiej „Kultury”. Prosił, popędzał, wiercił dziurę w bruchu, jak to uparty Redaktor.

Oto przykład: Giedroyc w listach prosi Miłosza, by ten naciskał na Venclovę, by tekst napisał. Venclova tłumaczy się obu nadmiarem pracy; proponuje materiały już napisane dla innych pism. Giedroyc nie odpuszcza i pisze do Venclovy w 1988 roku: „Z cech typowo litewskich zachowałem m.in. upór. Dlatego też niezrażony Pana milczeniem, piszę znowu, i to w sprawie, która wydaje mi się bardzo ważna i pilna. (...) Jest w tej chwili obawa zadrażnień polsko-litewskich na Litwie, spowodowana m.in. zapowiedzią wprowadzenia języka litewskiego jako języka państwowego. Te trudności językowe powodują, że młodzież kieruje się raczej do szkół z językiem wykładowym rosyjskim. Takich spraw jest więcej, jak chociażby nie bardzo rozsądne tendencje nacjonalistyczne Polaków, co niepotrzebnie antagonizuje. W związku z tym wielka prośba, by Pan napisał »List otwarty do Polaków na Litwie«, który bym zamieścił w »Kulturze« oraz w przygotowywanym numerze specjalnym w języku litewskim”.

Numer w 1988 roku się nie ukazał; „szedł opornie, gdyż są kłopoty z tłumaczeniami i drukarnią” – ubolewał Redaktor. Znowu musiało minąć kilkadziesiąt lat, wiele wizyt w Maisons-Laffitte ważnych oficjeli i deklaracji pomocy i wielkiego zainteresowania.

NIEPODLEGŁE POLSKA I LITWA

Anna Bernhardt, jedna z redaktorów wydania litewskiego „Kultury” w 2024 roku, pisze: „Każdy ambasador czy minister oglądał teczkę oznaczoną sygnaturą PiP 02 z materiałami do litewskiego wydania. Każdy Litwin zachwycał się pomysłem i obiecywał pomoc. Aż wreszcie konkretnie zrobił to profesor Alvydas Nikzentajtis, z pomocą niezastąpionej Barbary Stankiewicz”. Bo Giedroyc, pytany w radiowej Trójce latem 2000 roku, czyli miesiąc przed śmiercią, kim się czuje, odpowiadał bez wahania: „Mam pewien sentyment do Litwy, prawda (...), ale gdyby mnie ktoś zapytał, co jest moją



• Naczelnny paryskiej „Kultury” Jerzy Giedroyc (1096-2000) w swoim gabinecie Maisons-Laffitte w 1998 roku FOT.PIOTR WÓJCIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

ojczyzną, tobym odpowiedział, że wschodnia Europa”.

No bo czy byłoby możliwe, czy można by sobie wyobrazić Polskę i Litwę w obecnym kształcie – w Unii Europejskiej, w NATO – bez starań Giedroycia? Marzył o niepodległości Polski i Litwy. Redakcja tego wydania „Kultury” nie bez powodu przypomina sytuację dziś trudną do wyobrażenia. Redaktor świadomie zdecydował w 1952 roku, że wydrukuje w swoim piśmie list księdza Józefa Majewskiego. Ważny list, to w nim ks. Majewski napisał wprost: „Tak jak my Polacy mamy prawo do Wrocławia, Szczecina i Gdańska, tak Litwini słusznie domagają się Wilna, a Ukraińcy Lwowa”. I dalej: „Litwini nigdy nie zapomną o Wilnie i dopóty nie będzie zgody między nami, dopóki nie oddamy im tego Wilna. (...) Niech Litwini, którzy gorszy niż my los przeżywają, ciesząc się swym Wilnem”.

I bodaj najważniejsze zdanie listu – przypominam z 1952 roku: „Przy współpracy Ukrainy i Litwy federacja Europy Środkowo-Wschodniej stanie się faktem dokonanym”.

Duża część Polaków na emigracji powojennej zawyla. Padły oskarżenia o zdradę narodową i „kupczenie ziemią polskimi”. Prenumeratorzy przestali płacić za „Kulturę”. A Redaktor razem z Juliuszem Mieroszewskim z jeszcze większym animuszem – i litewskim uporem – myśleli i upowszechniali swoją koncepcję polityki wschodniej, zwanej potocznie doktryną ULB, czyli Ukraina-Litwa-Białoruś. Doktryna, o której dziś uczą w szkołach, zakładała w uproszczeniu, że nie będzie wolnej Polski, bez niepodległej Ukrainy, Litwy i Białorusi. Dzięki „Kulturze” o doktrynie usłyszeli Polacy, a właściwie dzięki tym, którzy „Kulturę” czytali i przekonywali, że w imię wolności warto i trzeba zrezygnować z imperialnych ambicji terytorialnych.

Niezwykle ważną rolę odgrywali przy tym wybitni ludzie kultury – stąd Venclova i Miłosz; Redaktor wiedział, że nie tylko politycy muszą w ten dialog być zaangażowani, ale także ludzie kultury z najwyższej półki. Także np. Juozas Tumelis, dysydent, historyk, wieloletni pracownik

Domu Książki Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i Biblioteki Narodowej, który jeszcze w czasach radzieckich próbował szerzyć idee Giedroycia.

MARZENIA O DEMOKRATYCZNEJ ROSJI

W tym wyjątkowym numerze „Kultury”, w którym teksty można czytać w obu językach, jednym z ważnych dla mnie jest esej Wiktora Sukiennickiego z dedykacją dla Czesława Miłosza z 1972 roku „»Rara avis«, czyli o Litwinach mówiących po polsku”.

Na zachętę: „Czy Jagiello z Jądwigą rozmawiali po polsku? Czy po polsku mówił Jagiello z Sońką Holszańską, matką jego synów i założycielką Jagiellońskiej dynastii?”. To fascynujący esej objaśniający konteksty wielowiekowej naszej wspólnej historii.

Dzięki tej „Kulturze” nawet laik zrozumie, o co chodziło w historii Polski i Litwy, kiedyś mocarstwa w skali europejskiej, i w pomyśle na współistnienie.

Jerzy Giedroyc urodził się w Mińsku w 1906 roku. – Mińsku Litewskim – podkreślał. Honorowym obywatelem Litwy stał się w 1997 roku. Dokument wisi na honorowym miejscu w jego podpa-rskim pokoju, po prawej stronie biurka. Rok później prezydent Valdas Adamkus wręczył mu najwyższe odznaczenie – order Wielkiego Księcia Litewskiego Giedymina.

Giedroyc odmawiał odznaczeń, dla Litwy zrobił wyjątek. Oprócz numeru litewskiego marzył też o czymś na razie niewyobrażalnym – przypomina Anna Bernhardt: „Jedyne doktoraty honoris causa, które mnie interesowały, to są uniwersytety Wileńskiego i Moskiewskiego. Można pomarzyć...”. Litwa, Polska jest wolna. A uniwersytet w Moskwie? Demokratyczna Rosja. Można pomarzyć. ●



Kultura. Szkice, opowiadania, sprawozdania

Wilno 2024

Archiwum

WAŻNIEJSZE NIŻ ŻYCIE

W dziesięciu pojemnikach o wymiarach 50 na 30 na 15 centymetrów zmieścili ponad 25 tysięcy stron. Ringelblum do ostatnich dni jeździł po getcie i zbierał teksty.

Marta Grzywacz

22 lipca w Warszawie siąpi deszcz. Jechiel Górny notuje w dzienniku, że o szóstej rano ulicami zaczynają maszerować kolumny żydowskiej policji. Już od kilku dni wiadomo było, że coś się szykuje. Wczoraj aresztowano sześćdziesiąt osób, głównie członków Judenratu, którzy mieli być zakładnikami, gdyby coś poszło nie tak. Ale co – nikt nie ma pewności. Po getcie krążą pogłoski, że będą wysiedlani Żydzi ze schronisk dla uchodźców, tak zwanych „punktów”, bo Judenrat i inne organizacje społeczne nie dają już sobie z nimi rady. Ale czy to prawda, czy plotki – nie wiadomo.

PISZCIE I UTRWALAJCIE

Jechiel Górny prowadzi swój dziennik od kilku miesięcy. Odpowiedział na wezwanie Emanuela Ringelbluma, żeby zapisywać obserwacje, refleksje i informacje, które płyną z różnych stron. Jako współzałożyciel tajnej organizacji Oneg Szabat, która dokumentuje życie Żydów pod okupacją

niemiecką, Ringelblum uważa, że notatki powinny być rzetelne, opisywać prawdę – jakakolwiek by była – i najlepiej gdyby powstawały w czasie rzeczywistym, w układzie chronologicznym, dzień po dniu. Zanim coś, co ważne i przerażające zostanie wyparte przez to, co jeszcze ważniejsze i straszniejsze.

Archiwum getta warszawskiego, które Ringelblum tworzy z grupą współpracowników niemal do początku wojny, pęka w szwach. Zgromadzono już tysiące zapisanych stron – monografii żydowskich miast i miasteczek, oficjalnych i osobistych dokumentów, wspomnień, dzienników, relacji z wojennych wydarzeń, utworów literackich, plakatów, obwieszczeń. Także mnóstwo ankiet, które miały być zaczątkiem pracy naukowej o społeczności żydowskiej w czasie wojny. Każdy, kto kiedyś zapragnie wiedzieć, będzie mógł przeczytać, jak się w getcie żyje – że głód, że choroby, że szmugiel i że gdyby nie on, to wszystko już dawno by padło. Że ludzi nie da się wyżywić za pomocą cienkich zupek z kuchni ludowych, choćby nie wiadomo, ile takich kuchni powstało. Że w getcie bar-

dziej się umiera, niż żyje. Z głodu na ulicy; w domu – w brudzie, chłodzie i cierpieniu; w szpitalu bez opieki, bo lekarze nie mają już sił i środków na ratowanie życia, i nawet łapówki nie pomagają.

Już dotarł do getta uciekinier z obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem, Szlama Ber Winer, który opowiedział Herszowi Wasserowi i jego żonie Blumie, także współpracownikom Ringelbluma, jak się gazuje ludzi w ciężarówkach, jak zasypuje się ich w dołach śmierci, jak strzela się w głowę grabarzom. Jego relacja także trafiła do zbiorów Archiwum.

Ale teraz na ulicach getta warszawskiego dzieje się coś, czego jeszcze nikt nie widział.

ILE ZA KROWĘ?

O dziesiątej rano, 22 lipca, przed główny gmach Judenratu zajeżdża kilka samochodów osobowych i dwie ciężarówki z żołnierzami. Kilkunastu esesmanów idzie do gabinetu przewodniczącego Adama Czerniakowa. W całym budynku zalega nagle

przytłaczająca cisza. Czekający na ulicy żołnierze umilają sobie czas słuchaniem muzyki. Przez otwarte okno do pokoi wpadają dźwięki walców Straussa. Z pochodzenia Żyda. Co prawda w linii męskiej, ale jednak. Czy niemieccy żołnierze o tym wiedzą?

Około południa na murach wiszą już obwieszczenia Rady Żydowskiej podyktowane przez okupanta, które zawiadamiają, że wszyscy Żydzi zamieszkali w Warszawie – bez względu na wiek i płeć – zostaną przesiedleni na Wschód. Żydowską Warszawę opanowuje chaos. Wszystkie sklepy i lokale zostają zamknięte. Ludzie biegają z miejsca na miejsce jak w czasie bombardowania. Ten i ów zgubił dziecko. Słychać krzyki i lamenty. „Z żydowskich ulic wieje strachem – pisze w dzienniku Abraham Lewin, także współpracownik Oneg Szabat. – Panuje niewysłowiony smutek. W wielu miejscach są zabici. W obliczu powszechnego, straszego nieszczęścia nie liczy się już ofiar, nie wymienia się ich nazwisk”.

Wiadomo jedno – jeśli chce się myśleć o ratowaniu życia, trzeba mieć zaświadczenie o zatrudnieniu, więc dziesiątki tysięcy Żydów zaczynają oblegać wejścia do szopów – niewielkich warsztatów przemysłowych: Toebbensa, Schultza, Oschmana, Hallmanna, Brauera i innych. Kierownicy wykorzystują ten paniczny strach i za „krowy”, czyli miejsca pracy w szopach – każą sobie płacić kolosalne sumy w walucie, złocie i brylantach.

Osiemnastoletni Nachum Grzywacz, współpracownik Oneg Szabat, także prowadzi dziennik. Jak inni chce zostawić po sobie ślad, symbolicznie wziąć odwet na oprawcach, przelać na papier napięcie, które trudno mu udźwignąć. „Ludzi, z ich piętnastokilogramowym bagażem – pisze Grzywacz – widziano na licznych furach, rozpaczających, krzyczących: »Powiedzcie mojej mamie, że odjeżdżam, nie wiadomo

Kilka osób wychodzi z domu po godzinie policyjnej, żeby dać się zastrzelić. Na rynku rośnie cena cyjanku. **Trucizna staje się produktem bardzo poszukiwanym, więc handlarze natychmiast wykorzystują sytuację**





dokąd...«”. Około siedemnastej wykonano plan. Dotarły już pierwsze wiadomości, że wszyscy chorzy, dzieci i starzy zostali zastrzeleni na placu [Umschlagplatzu]. W zamkniętych wagonach odjechał pierwszy transport”.

MASZYNA DO SZYCIA

Następnego dnia większość zakładników z Pawiaka jest już na wolności. Zwolniono ich na prośbę szefa Judenratu, bo najwyraźniej pierwszy dzień akcji przebiegł bez zakłóceń i zgodnie z planem. Choć jednak trochę za wolno, więc trzeba przyspieszyć.

„I tu rozpoczyna się rola żydowskiej policji – zapisuje Jechiel Górny. – Nasi bracia, bardziej papiescy od papieża, łapią zewsząd ludzi, blokują pojedyncze domy, wyciągają wszystkich, nie patrząc na żadne dokumenty”.

W tym dniu, a może dzień wcześniej odbywa się spotkanie gettowej konspiracji, w której biorą udział także członkowie Oneg Szabat. Długo trwa dyskusja: walczyć czy pozostać biernym? Co lepsze? Co da Żydom większe szanse na przetrwanie? Starsze pokolenie opowiada się za wstrzemięźliwością. Żydzi i tak przecież nie mają szans w starciu z Niemcami. I co z tego?! – odpowiada młodzież. Zginiemy, ale z honorem. Na własnych warunkach. To ich koncepcja zostanie pewnego dnia zrealizowana, ale na razie każdy zastanawia się, jak samodzielnie poradzić sobie z zagrożeniem.

Członkowie Oneg Szabat, którzy pracują w Żydowskiej Samopomocy Społecznej, także nie są bezpieczni. Jeszcze wolno im działać, Emanuel Ringelblum jeszcze może być na Umschlagplatzu, żeby kontrolować rozdział chleba i marmolady („jak dają chleb i marmoladę, to chyba nas nie zabiją, prawda? Może naprawdę pojedziemy na

wschód?”), ale za moment Żydowska Samopomoc Społeczna straci prawo istnienia i wszyscy tam zatrudnieni będą musieli szukać pracy w szopach.

„Kto posiadał jakąś specjalność fachową, jakąś maszynę krawiecką, szewską, trykotarską, jakąś tokarnię, warsztat stolarski czy ślusarski (...) jakąś piekarnię, kuchnię, nawet pralnię – wszyscy od jednego razu, w ciągu jednej doby zapalali gotowością, gorącym pragnieniem »uszopowienia« swoich dóbr, tj. dobrowolnego wydania wszystkiego firmie niemieckiej, byleby tylko za tę cenę raczyła zatrudnić u siebie ich dotychczasowych właścicieli i ich rodzinę” – notuje Rachela Auerbach, pisarka i dziennikarka, także członkini Oneg Szabat.

CENA CYJANKU

23 lipca wieczorem Adam Czerniaków, który ma dostarczać Niemcom określone kontyngenty ludzi, w tym dzieci, popełnia samobójstwo. Zamyka się w swoim gabinecie w Gminie i zażywa cyjanek. Na stole zostawia kartkę: „Żądają ode mnie, bym własnymi rękami zabijał dzieci mego narodu. Nie pozostaje mi nic innego, jak umrzeć”.

Wiadomość błyskawicznie obiega getto i wywołuje szok. A także sprzeczne komentarze. „Za późno – to oznaka słabości. Powinien był nawoływać do oporu” – pisze w dzienniku Ringelblum, pomijając fakt, że chwilę wcześniej jego własne środowisko opowiedziało się po stronie bierności.

Jednak szef organizacji pomocowej dla dzieci CENTOS Adolf Berman dojdzie do wniosku, że śmierć szefa Judenratu otworzyła ludziom oczy. Gestapo – podejrzewał – dało mu do zrozumienia, że akcja wysiedleńcza jest równoznaczna z likwidacją getta, dlatego się zabił.

Żydzi warszawscy tracą złudzenia i nadzieję na jakikolwiek ratunek. Archiwiści

▲ **Bańka, w której ukryto część Archiwum Oneg Szabat. Wystawa w Żydowskim Instytucie Historycznym w 2012 roku**

FOT. SEAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



▲ **Emanuel Ringelblum (1900-1944), historyk, filozof, inicjator gromadzenia dokumentów na temat życia w getcie warszawskim**

FOT. ARCHIWUM

Oneg Szabat notują, że z końcem lipca kilka osób wychodzi z domu po godzinie policyjnej, żeby dać się zastrzelić. Na rynku rośnie cena cyjanku. Trucizna staje się produktem bardzo poszukiwanym, więc handlarze natychmiast wykorzystują sytuację.

Perec Opoczyński, jeden z archiwistów Oneg Szabat, notuje, że niejaki Wajn, ma w kieszeni trucizny i oferuje je zrozpaczonemu ludziorz za trzydzieści złotych. „Jeden z jego [klientów] udał się do doktora w ambulatorium, aby się dowiedzieć, jak ta tru-

cizna działa. Wrócił z odpowiedzią, że po jej zażyciu śmierć nadchodzi wolno, powodując wielkie cierpienia. Ma się rozumieć, że wkrótce owa marka trucizny upadnie, ale Wajn śmieje się cynicznie, handel jest handel. Jakość towaru go nie obchodzi”.

ZEMSTA!

Niemal wszystkie kuchnie ludowe zawiesiły działalność, ludzie z głodu i przerażenia rzucają się z okien. Ale ci, którym została jeszcze jakaś nadzieja, zaczynają się dobrowolnie zgłaszać do „wysiedlenia”.

To moment, gdy Oneg Szabat wstrzymuje prace. Władzę nad ludźmi przejęły strach i chaos, o zbieraniu wywiadów czy wypełnianiu ankiet naukowych w tej sytuacji nie może być mowy. Nieliczni tylko, jak Abraham Lewin, Jechiel Górny czy Menachem Mendel Kohn, skarbnik organizacji, będą dokumentować wielką akcję likwidacyjną we własnych dziennikach.

Ringelblum, razem z Herszem Wasserem i Eliahu Gutkowskim, sekretarzami organizacji, skupia się na czym innym: na zbieraniu tekstów, które archiwiści mają u siebie w domach, bo albo nie zdążyli ich oddać, albo jeszcze nad nimi pracują. Jeśli nie skończyli pracy, to trudno, może kiedyś, teraz trzeba już wszystko ukryć.

27 lipca Rachela Auerbach oddaje Eliahu Gutkowskiemu swoje zapiski, pozostałą część wciąż nieskończonej monografii kuchni ludowej, dokumenty osobiste i tekst, który nazywa testamentem. „Piąty dzień akcji – pisze. – Takie okropieństwa zdarzały się już może w żydowskiej historii, ale hańby takiej jeszcze nie było... Żydzi jako narzędzia. Chcę pozostać przy życiu, jestem gotowa całować buty najpospolitszego chama, aby tylko dożyć chwili ZEMSTY. (...) Wszyscy ci Peterowie, Kurtenowie, Hermanowie z karabinami w rękach. Oby ni jeden z nich nie ujrzał ponownie domu. Za strach starców, za boleść małych dzieci, za bezsilną rozpacz mężczyzn i kobiet w kwiecie wieku”.

W czasie wielkiej akcji Rachela ma odrobinę szczęścia. Jej kuchnia ludowa zostaje co prawda zamknięta dla mieszkańców getta, ale staje się stołówką pracowniczą szopu Toebbensa. Rachela, mimo że traci posadę kierowniczką, może zostać na stanowisku pracownicy fizycznej. Zanim jednak powie swoim klientom, że to już ostatni dzień taniach obiadów, szeroko otwiera drzwi przed tłumami, które płyną ulicą Leszno niczym senne zjawy, i organizuje wielką „ucztę żebraków”. Każdy, kto tego dnia przychodzi do niej, żeby się pożywić, dostaje dokładkę.

OSTATNIA ŚRODA

Nietypowo, bo w środę, 29 lipca, odbywa się kolejne posiedzenie Oneg Szabat. Do tej pory, żeby omawiać sprawy i plany Archiwum, spotykali się w soboty – stąd nazwa organizacji – Radość Soboty. A teraz ta środa. Jeszcze się jakoś w chaosie getta odnaleźli, ale z biegiem dni będzie to coraz trudniejsze. Wielu ludzi zaczyna się ukrywać. W piwnicach, w mieszkaniach, na strychach budowane są już kryjówki, które – jest nadzieja – uchronią przed wywózką.

Kierownictwo Archiwum wciąż dyskutuje nad przyszłością swoich zbiorów. Kto o nie zadba? Czy komukolwiek uda się przeżyć? Menachem Mendel Kohn zapisuje w księdze kasowej Oneg Szabat opłatę za riksę dla Ringelbluma, który prawdopodobnie jeździ po mieście i zbiera ostatnie dokumenty. Do szkoły przy Nowolipki 68, gdzie mają być ukryte, dowozi je Hersz Wasser. Lichtensztajn i jego uczniowie – Nachum Grzywacz i Dawid Graber – mogą już zacząć kopać doły pod podłogą piwnicy.

Patrole żandarmów razem z żydowską policją chodzą od adresu do adresu i jeśli zastają kogoś w domu – strzelają. Dwoma strzałami odbierają życie kobiecie w pologu i jej niemowlęciu, na mężczyznę ze złamaną nogą, który nie może się



ruszyć, wystarczy tylko jedna kula. Ktoś umiera od razu, ktoś jest ranny, przeżywa i może zaświadczyć.

Nachum Grzywacz zapisuje: „Straszny był obraz wozu Mordechaja Pinkierta, który – jadąc z podwórza na podwórze – zbierał zabitych. Przez szpary między deskami ciekło dużo krwi. Czerwone od krwi były mieszkania, schody, podwórza i ulica. (...) Jeszcze jestem wśród szczęśliwców, jeszcze tu jestem, ale kto wie. (...) Nie znam mego losu. Nie wiem, czy będę mógł wam opowiedzieć, co się stało dalej. Pamiętajcie: nazywam się Nachum Grzywacz”.

STREFA OSIEDLENIA

6 sierpnia Menachem Mendel Kohn przeżywa się na Gęsią 30, do szopu swojego kolegi z Oneg Szabat Aleksandra Landaua, który wspierał organizację finansowo. Na miejscu są już setki ludzi, wśród nich wielu przyjaciół, którzy także szukają kryjówek. Kohn mówi im, że nie ma dokąd pójść, że do domu nie może, bo blokady, że to ostatnie chwile przed godziną policyjną, ale nagle dostrzega, że go nie słuchają, że odwracają wzrok. „Nie! Dla mnie nie ma tam miejsca – widzę – notuje potem w dzienniku. – Moi wczorajsi przyjaciele patrzą na mnie w jakiś obcy, wprost przesywający sposób, dokładnie tak, jak gdybym chciał siłą wdrzeć się w ich »strefę osiedlenia«, gdzie jedynie oni mają prawo przebywać”.

Kohn nie pisze ani o tym, kim byli jego „przyjaciele”, ani co w tym momencie czuje. Co czuje ktoś, kto tak jak on spędził lata wojny na pomaganiu innym, nie bacząc na własne wygodę i zdrowie, kto już dawno mógł znaleźć schronienie po „aryjskiej” stronie, ale został w getcie, bo obowiązek wobec ludzi i żydowskiego dziedzictwa były silniejsze niż strach. Tego dnia przyjmą go do kryjówki w piwnicy szkoły Lichtensztajn. Graber i Grzywacz. „Kładę się cały w śmiertelnym strachu – pisze. – Oceniamy plan ich »dzisiejszej« akcji i dochodzimy do wniosku, że krwiożerczy hitlerowscy sadyści nie zdołają dziś dotrzeć tu, na Nowolipki 68. Na wszelki wypadek przygotowaliśmy prowizoryczne kryjówki. Jak tylko zaczęło świtać, wstaję, myję się i biegnę zobaczyć, co słychać u moich najbliższych przyjaciół i znajomych, czy kogoś z nich nie brakuje. Biegnąc, słyszę już, że wielu zostało złapanych i wywiezionych w nieznanym »znanym« kierunku, gdzie wszyscy będą zabici w najokrutniejszy sposób”.

DZIESIĘĆ BLASZANYCH POJEMNIKÓW

Noc z 2 na 3 sierpnia jest bardzo ciemna. Od dziesiątej wieczorem do rana grzmiały wystrzały z automatów i erkaemów. Trudno spać. Rano Lichtensztajn, Graber i Grzywacz zaczynają pakować do skrzynek z blachy cynkowej ostatnie dokumenty zebrane przez archiwistów Oneg Szabat. W dziesięciu pojemnikach o wymiarach 50 na 30 na 15 centymetrów zmieścili ponad 25 tysięcy zapisanych stron.

Do piwnicy szkoły dobiegają odgłosy strzałów i turkot wozów jadących na Umschlagplatz. „Spodziewamy się najgorszego – pisze Graber, który razem z Lichtensztajnem i Grzywaczem wrzucają do skrzynek także swoje testamenty. – Spieszmy się. Prawdopodobnie zaraz będziemy zakopywać ostatnią część. Towarzysz Lichtensztajn jest zdenerwowany, Grzywacz trochę się boi. Ja jestem obojętny. Podświadomie czuję, że wyzwolę się od wszystkich nieszczęść. (...) Nie chcę podziękowań. Nie dla podziękowań czuwaliliśmy nocami. Ja z Grzywaczem, pod czujnym okiem i z pomocą tow. Lichtensztajna, z wielkim zapalem kopaliśmy doły na pudła z dokumentami. Z jaką radością przyjmowaliśmy każdy nowy materiał... Czuliśmy naszą odpowiedzialność. Nie baliśmy się ryzyka. Zdawaliśmy sobie sprawę,



• Wystawa poświęcona Archiwum Ringelbluma w Żydowskim Instytucie Historycznym w 2012 roku

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI /
AGENCJA WYBORCZA.PL;
KUBA ATYS / AGENCJA
WYBORCZA.PL

że tworzymy historię. A to jest ważniejsze niż nasze życie. To, czego nie mogliśmy wykrzyczeć przed światem, zakopaliśmy w ziemi. (...) Niech ten skarb dostanie się w dobre ręce, niech dożyje lepszych czasów, niech zaalarmuje świat o tym, co się stało w 20 wieku”.

Nachum Grzywacz: „Straciliśmy kontakt ze wszystkimi naszymi kolegami. Każdy działa na własną rękę, bo w żydowskim getcie panuje chaos. (...) Dziesięć minut po wpół do drugiej kończę moje pisanie. Chcielibyśmy zostać wśród żywych nie z powodów osobistych, ale dla zaalarmowania świata”.

Izrael Lichtensztajn w rozpacz i gniew chciałby podpalić getto, chciałby, żeby ludzie wyszli na mury z nożami i siekierami, żeby rzucili się na swoich oprawców, pomścili krzywdy. Ma żal do kolegów z Oneg Szabat, że nie nawołują do powstania. „To nic, że zginiemy – mówi swoim uczniom. – Zginiemy jak bohaterowie!”. Zamiast noża chwyta jednak ołówek i także pisze krótkie podsumowanie: „Wiem, że nie wytrzymamy. Jest niemożliwością przeżyć i wytrzymać takie przerażające morderstwa i zbrodnie. Dlatego piszę mój

testament. Może nie jestem wart, by o mnie wspomniano, ale zasłużyłem sobie na to moją odwagą, współpracując z grupą Oneg Szabat, i tym, że byłem godny największego zaufania, bo to właśnie mnie powierzono ukrycie całości zebranego materiału. (...) Nie chcę podziękowań (...), chcę jedynie, by wspomniano o mnie (...). Chcę, by wspomniano o mojej żonie Geli Seksztajn, zdolnej artystce malarce, której dziesiątki prac nie zostały wystawione, nie ujrzały światła dziennego. (...) Chcę, by wspomniano o mojej córeczce. Margolit ma dzisiaj dwadzieścia miesięcy (...).”.

35 TYSIĘCY STRON

Wielka akcja likwidacyjna – wywózka do Treblinki Żydów z warszawskiego getta – będzie trwała dwa miesiące. Getto zostanie zdziesiątkowane. Z około 330 tysięcy Żydów przeżyje 33 tysiące. W tych dniach zginie wielu członków Oneg Szabat, między innymi młodzi pomocnicy Lichtensztajna. Oneg Szabat wznowi prace już w getcie szczątkowym, gdzie poszczególne szopy będą jeszcze wspomagać niemiecki przemysł wojenny.

Prace organizacji nad Archiwum Getta Warszawskiego będą trwały do lutego 1943 roku, gdy w tym samym miejscu, przy Nowolipki 68 zostanie zakopana druga część dokumentów – około 10 tysięcy stron. Tym razem w dwóch metalowych bańkach po mleku.

Z około sześćdziesięciu osób, które tworzyły Oneg Szabat, wojnę przeżyją trzy. I tylko jedna będzie wiedziała, gdzie ukryto Archiwum Ringelbluma – Hersz Wasser, który dowoził materiały do szkoły przy Nowolipki. On, jego żona Bluma i Rachela Auerbach zrobią wszystko, aby Archiwum zostało odkopane spod gruzów getta. Stanie się to w roku 1946 i 1950. Archiwum Rinelbluma składające się z 35 tysięcy stron dokumentów w 1999 roku trafi na listę Pamięć Świata UNESCO. ●



Nakładem wydawnictwa Czarne Wołowiec ukazała się książka Marty Grzywacz, „Radość Soboty. Archiwum życia i śmierci”

Okruchy historii

Żonkile i test świecy chanukowej

Dlaczego prezydent Karol Nawrocki nie potępił słów i czynów Grzegorza Brauna?

Motyka



Do rzeczy, które zapamiętam z kampanii prezydenckiej 2025 roku, należy zniesławiająca pamięć powstańców w getcie warszawskim wypowiedź Grzegorza Brauna wygłoszona w czasie debaty w „Super Expressie”. Co szczególnie zawstydzające, towarzyszyło temu milczenie prowadzących spotkanie dziennikarzy oraz prezesa IPN, moralnie zobowiązanego do obrony prawdy o polskiej historii. Braun, zadając pytanie Rafałowi Trzaskowskiemu, stwierdził, że w Polsce trwa „proces judaizacji” i „naród polski jest marginalizowany”, czego dowodem jest na przykład to, że 19 kwietnia, w rocznicę powstania w getcie, prezydent Warszawy był „oflagowany żydowskim żonkilem, tym znakiem hańby”. Aż wstyd przypominać, że zwyczaj składania złotych żonkili w rocznicę wybuchu powstania w getcie wpro-

wadził Marek Edelman, jeden z przywódców Żydowskiej Organizacji Bojowej. Edelman walczył też w powstaniu warszawskim, a później, niezależnie od zawodowej pracy kardiologa, zaangażował się w ruch „Solidarności”. Na tyle mocno, że 13 grudnia 1981 roku został internowany, a np. Jarosław Kaczyński, przypomnijmy, o wprowadzeniu stanu wojennego dowiedział się w czasie południowej mszy. Edelman wybrał żonkile, bo te kwiaty akurat kwitną w kwietniu. Składając co roku pod pomnikiem powstania złotych bukieci, oddawał hołd nie tylko przyjaciółom z ŻOB, lecz też setkom tysięcy warszawiaków żydowskiego pochodzenia zamordowanym przez Niemców w komorach gazowych Treblinki. Edelman był członkiem Bundu, a więc tych socjalistów, którzy uważali, iż Żydzi, jako obywatele państwa polskiego, powinni czynnie angażować się w jego współtworzenie. W jego geście było zatem coś arcy-polskiego – przypomnienie, że Rzeczpospolita od wieków była państwem tworzonym przez przedstawicieli różnych grup etnicznych i religijnych. Głównie przez Polaków, lecz też przez Litwinów, Rusinów, Żydów i wielu innych. To właśnie zdolność zespolenia tych różnych grup wspólnym przywiązaniem do kultu-

ry, państwa, a nawet języka, świadczy o sile Polski. By daleko nie szukać, co zyskałaby polska literatura, gdyby z niej wykluczyć Tuwima, Leśmiana, Brzechwę czy Baczyńskiego? Swoją wypowiedzią w sposób oczywisty Braun depcze tradycję Rzeczypospolitej, jako domu różnych narodów. Patriotyzm obywatelski jest dla niego pomyłką historii i efektem spisku różnych tajnych sił. Twardo wierzy w nacjonalistyczną wizję świata, widzącą w każdym innym zagrożenie – dla niego narodowość przecież mają nawet kwiaty! Nie waha się przy tym zaatakować pamięci o powstaniu w getcie warszawskim. Jego zdaniem opowieść o nim jest „przeskalowana”. Czyżby? Garstka nędznie uzbrojonych bojowców, którzy podnieśli broń, nie licząc na zwycięstwo, lecz na godną śmierć, zabiła więcej Niemców i ich kolaborantów niż liczniejsza i dużo lepiej uzbrojona Brygada Świętokrzyska NSZ. Najnowsze badania naukowe jednoznacznie to potwierdzają! Co więcej, jak by nie oceniać pomocy AK dla ŻOB, świadczy ona o uznaniu jej przynajmniej za sojuszniczkę polskiego państwa podziemnego. Takiego uznania ze strony AK, co nasi nacjonaliści notorycznie przemilczają, Brygada Świętokrzyska NSZ nigdy się nie doczekała!

O tym wszystkim powinni przypomnieć dziennikarze oraz – tym bardziej – prezes IPN. Brak reakcji dzisiejszego prezydenta jego zwolennicy tłumaczyli gorącą chwilą. Znacznie bardziej przekonująco brzmi wszakże wyjaśnienie, iż Karol Nawrocki nie zareagował na wypowiedź Brauna, by nie zrażać do siebie jego elektoratu. Była to kalkulacja wyborczo skuteczna, niemniej z racji sprawowanej przez niego funkcji szefa IPN raczej wątpliwa moralnie. Być może jednak milczenie prezesa IPN było spowodowane czymś innym. 11 stycznia 2025 roku w RMF FM w rozmowie z Krzysztofem Ziembem dr Nawrocki zdecydowanie zapowiedział, że po wygranych wyborach prezydenckich nie podtrzyma zwyczaj zapalania w sejmie świec chanukowych. Ten podkreślający tolerancję religijną Rzeczypospolitej zwyczaj wprowadził prezydent Lech Kaczyński, lecz rozslawił go dopiero Grzegorz Braun, atakując świece gaśnicą. Za-uważmy, że dotąd blahy gest zapalenia świec nieoczekiwanie nabrał politycznego wyrazu, stając się swoistym testem nowej prezydentury. ●

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

Historia krzepi

Cichy pogrzeb demokracji

O tym, kto może kandydować do parlamentu, decydowali rządzący.

Natęczę



Niezauważona minęła 90. rocznica wydarzenia będącego pogrzebem demokracji ustanowionej w zaraniu II Rzeczypospolitej zgodną decyzją wszystkich sił politycznych. Ustrojową chorobę prowadzącą do tego zgonu zapoczątkowało zbrojne przejęcie władzy przez Józefa Piłsudskiego w maju 1926. Piłsudczykowska propaganda przedstawiała zamach jako ruch prewencyjny, ratujący Polskę przed nacjonalistyczną dyktaturą, planowaną przez Narodową Demokrację. Była to tylko zasłona dymna skrywająca prawdziwy cel marszałka, polegający na zastąpieniu systemu demokratycznego przez reżim autorytarny, dający mu pełnię władzy. Zamachowiec wprowadzał nowy ustrój etapami. Przez pierwsze cztery lata – od 1926 do 1930 – działał w aktywnych rękawiczkach, by nie prowokować rodaków, pamiętających o zaborczym ucisku i wyczulonych na kwestie wolności i praw obywatelskich.

Represje nie były potrzebne, bo nowej ekipie sprzyjała koniunktura gospodarcza, najkorzystniejsza w całym okresie międzywojennym. Rozwój kraju bardzo przyspieszył, znacząco poprawiając warunki życia, co rządzący reklamowali jako własną zasługę. Pozwalało to przejmować państwo i obsadzać je swoimi ludźmi, zwłaszcza w wojsku, policji i administracji. Dopiero kiedy wielki światowy kryzys ekonomiczny spowodował masowe zubożenie społeczeństwa i radykalizowanie postaw, Piłsudski uderzył z całą mocą. Rękami posłusznego mu prezydenta rozwiązał parlament i jesienią 1930 przeprowadził wybory, które dzięki masowym represjom i fałszerstwom dały mu bezwzględną większość w sejmie i senacie. Porzucił demokratyczny kamuflaż i przez pięć lat, od 1930 do 1935, aż do śmierci, rządził w dyktatorski sposób. Zwieńczyło ten etap podstępne, naruszające prawo uchwalenie w 1935 roku konstytucji kwietniowej. Propaganda rządowa odwracała kota ogona, zachwycając się nowym, konstytucyjnym zabezpieczeniem państwa i praworządności przed partyjnym egoizmem i populizmem. W rzeczywistości chodziło o zabetonowanie systemu autorytarnego, tak by legalne odebranie piłsudczykom władzy stało się niemożliwe.

Dodatkowe zabezpieczenie stanowiła nowa ordynacja do sejmiku i senatu z 8 lipca 1935. Wybory zamieniono w plebiscyt, którego obóz rządzący nie mógł przegrać. Nie miał bowiem konkurencji, gdyż ordynacja pozbawiła opozycję prawa do zgłaszania list z własnymi kandydatami. Wybory do sejmiku, zmniejszonego przez konstytucję z 444 do 208 posłów, przestały być proporcjonalne. W 104 dwumandatowych okręgach poddawano pod głosowanie tylko jedną listę, którą ustalały zmonopolizowane przez obóz rządzący zgromadzenia okręgowe. Na każdym z nich wyłaniano czterech kandydatów, przesądając o ich kolejności na liście. Wyborca miał prawo skreślenia dwóch osób, z tym że kartka bez skreśleń była ważna i oznaczała poparcie pierwszej dwójki kandydujących. Wybór trzeciej lub czwartej osoby niczego nie zmieniał, bo one też reprezentowały obóz rządzący. 96-osobowy senat wyłaniano w jeszcze bardziej koteryjny sposób. Jedną trzecią senatorów mianował prezydent. Dwie trzecie wybierali obywatele mający prawo głosu „z tytułu zasługi, wykształcenia lub zaufania”. Byli oni tak starannie wyselekcjonowani, że prawa wyborcze zachowało zaledwie 2 proc. wcześniej uprawnionych do głosowania. Na podstawie takiej ordynacji na ulicy Wiejskiej mogli znaleźć się tyl-

ko ludzie obozu rządzącego. Najcelniej skwitowali to satyrycy, trawestując biblijną frazę o szansach bogacza na zbawienie. To, że łatwiej jest wielbładowi przejść przez ucho igielne, niż opozycji trafić do parlamentu, powtarzało wiele humorystycznych rysunków i wierszyków. Nie mając najmniejszych szans na wygraną, cała opozycja od socjalistów na lewicy po narodowych demokratów na prawicy zdecydowała nie brać udziału w wyborczym oszustwie. Wezwała do bojkotu wyborów zarządzonych na wrzesień 1935 i wytrwała w tej postawie aż do końca II RP. Ordynacja z 1935 roku tak skutecznie zagwarantowała bezpieczne funkcjonowanie dyktatury, że po 1945 roku skopiovali ją komuniści i to właśnie z PRL-em kojarzy się dzisiaj ta wyborcza farsa. Warto o tamtych wydarzeniach pamiętać, zwłaszcza teraz, kiedy prezes Kaczyński, który już nie raz kopiował pomajowe gierki ustrojowe, zaczyna brzmieć jak echo z ponurych lat trzydziestych i mówić o „różnych pomysłach” na „nowe zabezpieczenie praworządności i demokracji”. ●

Tomasz Natęczę – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek sejmiku, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego



Dawno, dawno temu żyła sobie rezo-
lutna dziewczynka, którą nazywano
Czerwonym Kapturkiem. A to z racji
tego, że często nosiła takie właśnie
nakrycie głowy.

Pewnego dnia mama Czerwonego Kaptur-
ka poprosiła córkę, by zaniósła chorej babci
koszyk pełen smakołyków. Dziewczynka zga-
dza się ochoczo, ale po drodze spotyka wilka.
Ten sprytnie wyciąga z dziewczynki cel po-
dróży jak i wskazówki dotyczące zlokalizo-
wania babcinego domku. Zamiaruje pożreć
i babcię i wnuczkę, ale że nieopodał pracu-
ją drwale, postanawia urządzić zasadzkę
w domku starszej pani.

Po wysłaniu Kapturka dłuższą drogą (że
niby to taki skrót), podstępny zwier-
zra szybciej do babci, zjada ją, po czym prze-
biera się za staruszkę i kładzie do łóżka. Kap-
turek, z początku nieufny, czego dowodem są
przysłowia, sondujące pytania: „babciu, a dla-
czego ty masz takie wielkie uszy tudzież zę-
by?”, w końcu podchodzi bliżej. Zdaży jeszcze
zadać jedno dociekliwe pytanie, o wielkie zę-
by, po czym idzie śladami pechowej antenatki
i kończy w żołądku wilka.

Obie nieszczeniutki ocala jednak Myśliwy
(albo Gajowy), który grożąc wilkowi dubel-
tówką zmusza go do wypłucia obu niewiast,
po czym przepędza go gdzie pieprz rośnie.

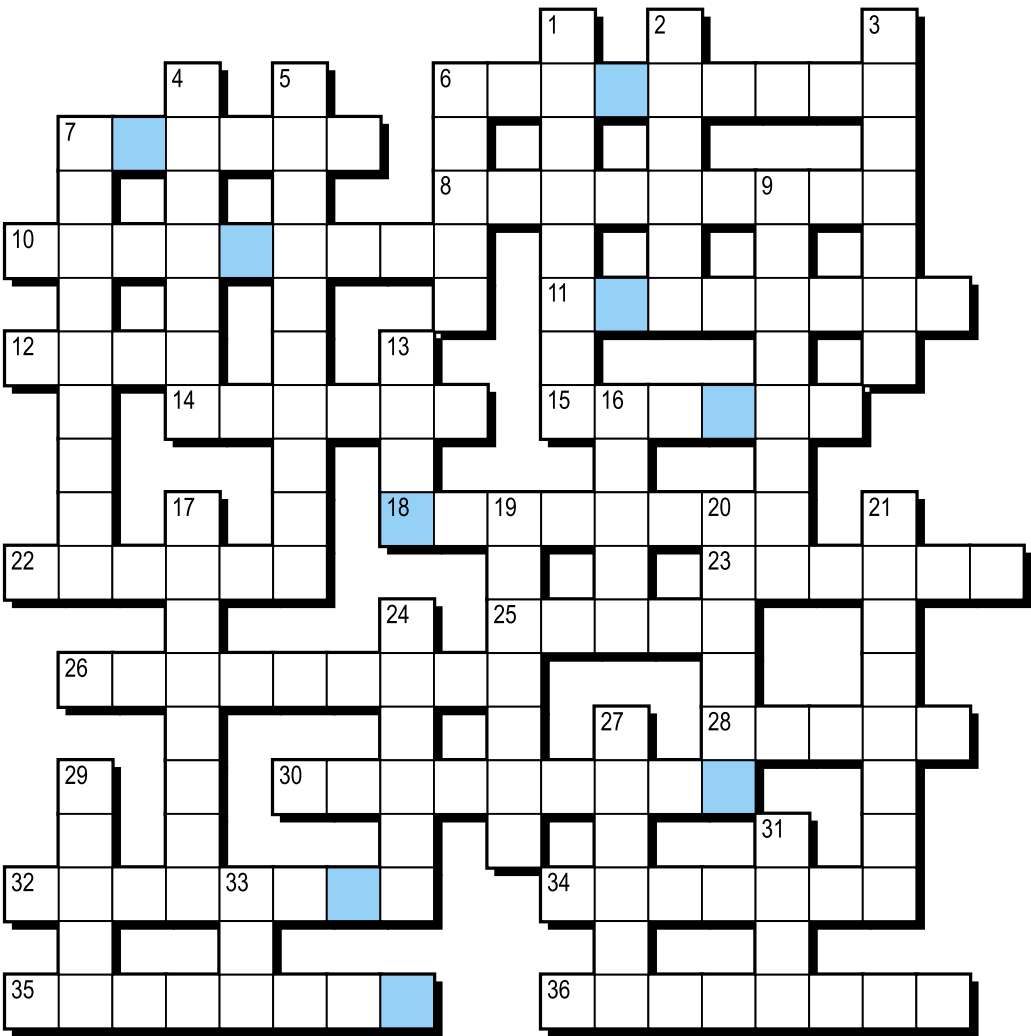
Tę popularną wersję – złagodzoną! – za-
wdzięczamy braciom Grimm. Oni to spisa-
li opowieści o Kapturku zasłyszane od siostr
Hassenpflug, które zresztą były ich „bankiem
informacji” nie tylko w tym przypadku. U bra-
ci Grimm – jak to u nich – koniec, jaki spotkał
wilka, jest nieco brutalniejszy. Myśliwy, po
rozpruciu mu brzucha i wyjęciu babci i Czer-
wonego Kapturka, zaszył mu w środku ka-
mienię, których zwierzak unieść nie zdołał.
I padł martwy.

Jeszcze brutalniejsza jest wersja Charle-
sa Perraulta, francuskiego pisarza przełomu
XVII i XVIII wieku, który jako pierwszy opo-
wieść spisał – dużo wcześniej funkcjonowała
w licznych bajaniach ludowych.

W „Le Petit Chaperon rouge” Kapturka nie
udaje się uratować. A marny tegoż koniec ma
stanowić przestrogę przed nadmierną ufno-
ścią i łatwowiernością.

Piszemy o tym wszystkim, bowiem 19 lip-
ca przypada Dzień Czerwonego Kapturka.
Święto nieoficjalne, ale to przecież nie zna-
czy, że nie warto go celebrować! A dzisiej-
szą „Weekendówkę” poświęcimy... nakryciom
głowy. Zresztą, materiał źródłowy też do te-
go skłania: u Grimmów bohaterka nazywa się
Rotkäppchen – Czerwona Czapeczka/Czepe-
czek zaś chaperon Perraulta to nakrycie gło-
wy bardziej przypominające turban.

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



**Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 162 z 12.07:**

- Poziomo:** 8) poeta
9) Poniedziałki 11) Wrona
12) Holski 13) patron 15) Radek
16) Sapkowski 19) Żuławski
20) Drawicz 23) Austriak
24) Johnson 25) orkiestra
28) zapasy 31) lanie 32) estrada
33) Warhol 35) bracia
36) Wellinger 37) klawiszowiec.
Pionowo: 1) Modrzewski
2) Zawada 3) Gołota 4) Piasek
5) Kiepski 6) Pluta 7) aktor
10) dziewczyna 14) napastnik
16) Strelau 17) guru 18) piłkarz
21) Wajda 22) Bobola 26) Ruiz
27) Supron 29) satyryk
30) Zaucha 33) Wilki 34) opera.

HASŁO: ANDRIJ RUBLOW

NAKRYCIA GŁOWY

Litery w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 6)** filcowy kapelusz z szerokim,
miękkim rondem
7) dawniej na głowie pielęgniar-
ki albo ekspedientki
8) czapki takie jak krakuski
10) „Trzynastego ...
z głów poważnych zrywa wiatr”
(Kasia Sobczyk)
11) okrywa czubek głowy,
noszona przez Żydów; mycka
12) czapka wojskowa w kształcie
ściętego stożka, z daszkiem
14) dawniej: ozdobny czepiec
kobięcy
15) palestyński przywódca, od
nazwiska którego powstała nazwa
chusty w biało-czarny wzór

- 18)** przyjmują zamówienia na
wykonanie damskich kapeluszy
22) letni kapelusz o szerokim
rondzie (jak nazwa państwa)
23) dla panien młodych i dla
akwarystek
25) barwa wojskowych czapek
maskujących
26) noszą kornety
28) nakrycie głowy noszone
dawniej przez papieży
30) czapki męskie z daszkiem
32) czapka z futra beczącego
ssaka
34) wstążkowy motylek przy
damskim kapeluszu
35) chusta, którą Danusia
Jurandówna zarzuciła Zbyszkowi
na głowę, ratując go przed
katowskim toporem („Krzyżacy”)
36) cesarz Francji często
przedstawiany w bikornie

Pionowo:

- 1)** czerwona czapka francuskich
rewolucjonistów
2) ostania twarz Robin Hooda
3) przygotowywane przez mistrza
w wysokiej białej czapce
4) z antenką (zdobnie)
5) pracownia, w której można
dobrać sztuczne włosy
6) graniasty lub okrągły, bez
daszka, jest oznaką godności
profesorskiej, sędziowskiej
7) bejsbolówka lub dżokejka
9) ... czapki na głowę, czyli jej
nakładanie
13) chroni głowę żołnierza
16) kraj kojarzący się z papachami
17) okrągłe, płaskie nakrycie
głowy, rodzaj beretu
19) czapka robotnika portowego
20) składniki wianka, ozdoba
wymyślnych eleganckich
kapeluszy damskich

- 21)** kapelusze kojarzące się
z Meksykiem
24) okrągła czapka kardynała,
biskupa
27) kapelusz prywatnego
detektywa z filmu noir
29) na głowach górników
w strojach galowych
31) koronowana głowa
33) skojarz: ciemność,
kominiarka, ninja

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

**SUDOKU
KRZYŻÓWKI
QUIZY**

**APLIKACJA
WYBORCZEJ**

Odkryj rozrywkę w aplikacji



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację

POBIERZ
Google Play

Pobierz w
App Store